

ANDRIEJ

PLATONOW

SZCZEŚLIWA MOSKWA



CZYTELNIK

ANDRIEJ PŁATONOW
SZCZĘŚLIWA MOSKWA
SPOR
POWIEŚĆ TECHNICZNA

Przełożył i posłowiem opatrzył
Henryk Chłystowski



CZYTELNIK
Warszawa 1997

SZCZĘŚLIWA MOSKWA

1

Ciemny człowiek z płonąca pochodnią biegł ulicą w posępna noc późnej jesieni. Mała dziewczynka ujrzała go z okna swego domu, zbudziwszy się od posępnego snu. Później usłyszała głośny wystrzał karabinowy i biedny smutny krzyk – zabito najpewniej biegnącego z pochodnią człowieka. Wkrótce doniosły się z oddali liczne wystrzały i ludzka wrzawa z pobliskiego więzienia... Dziewczynka zasnęła i zapomniała wszystko, co później, w kolejnych dniach, widziała: była zbyt mała, a pamięć i rozum wczesnego dzieciństwa na zawsze zarosły w jej ciele życiem, które nastąpiło. Ale aż do późnych lat niespodziewanie i smętnie podnosił się w niej i biegł bezimienny człowiek – w bladym świetle pamięci – i ponownie ginął w mroku przeszłości, w sercu dziecka, które wydorosłało. Pośród głodu i snu, w chwili miłości albo jakiejś młodej radości nagle w oddali, w głębinach ciała znów rozlegał się smutny krzyk martwego i młoda kobieta natychmiast odmieniała swoje życie – przerywała taniec, jeśli tańczyła, w większym skupieniu, wytrwałej pracowała, jeśli to była praca, zakrywała twarz rękami, jeśli była sama. W tę słomą noc późnej jesieni zaczęła się rewolucja październikowa – w mieście, gdzie mieszkała wówczas Moskwa Iwanówna Czestnowa.

Jej ojciec zmarł na tyfus, a głodna osierocona dziewczynka wyszła z domu i nigdy już tam nie wróciła. Z uszpaną duszą, niepomna ani na ludzi, ani na przestrzeń, chodziła i żywiła się po kraju jak w pustce, dopóki nie znalazła się w domu dziecka i w szkole. Siedziała w ławce przy oknie w mieście, które nazywało się Moskwa. Na bulwarze przestały już rosnać drzewa, bez wiatru opadały z nich liście i pokrywały zamilkłą ziemię – na długi nadchodzący sen; był koniec września i był rok ów, kiedy skończyły się wszystkie wojny i na nowo zaczęto uruchamiać kolej.

W domu dziecka Moskwa Czestnowa przebywała już dwa lata, tutaj też nadano jej imię, nazwisko, a nawet imię ojca, ponieważ dziewczynka pamiętała swoje imię i wczesne dzieciństwo bardzo niejasno. Wydawało jej się, że ojciec nazywał ją Olą, nie była jednak tego pewna, więc milczała niczym bezimienna, niczym ów zabity nocny człowiek. Nadano jej wówczas imię na cześć Moskwy, imię ojca, by upamiętnić Iwana, zwykłego rosyjskiego czerwonoarmistę, który padł w bojach, nazwisko zaś na znak czystości jej serca, które nie zdążyło jeszcze się zbrukać, jakkolwiek długo było nieszczęśliwe.

Jasne i wschodzące życie Moskwy Czestnowej rozpoczęło się od owego jesiennego dnia, kiedy siedziała w szkole przy oknie, już w drugiej grupie, patrzyła w śmierć liści na bulwarze i z zainteresowaniem czytała szyld na przeciwległym domu: „Robotniczo-chłopska biblioteka-czytelnia imienia A.W. Kolcowa”. Przed ostatnią lekcją wszystkim dzieciom rozdano po raz pierwszy w ich życiu po białej bułce z kotлетem i po kartoflu i opowiedziano, z czego robi się kotlety – z krów. Przy okazji polecono wszystkim napisać na następnym dzień

wypracowanie o krowie – kto ją widział – a także o swym przyszłym życiu. Wieczorem Moskwa Czestnowa, najadłszy się bułką i treściwym kotлетem, pisała wypracowanie przy wspólnym stole, podczas gdy wszystkie jej koleżanki już spały, a elektryczne światło ledwie się żarzyło. „Opowieść dziewczynki bez ojca i matki o swoim przyszłym życiu. – Uczą nas teraz rozumu, a rozum jest w głowie, po wierzchu niczego nie ma. Trzeba żyć po prawdzie z pracą, ja chcę żyć przyszłym życiem, niechby były herbatniki, konfitura, cukierki i żeby można zawsze chodzić po polu koło drzew. Bo inaczej żyć nie będę, jak tak, nie chce mi się z nieochoty. Chce mi się żyć zwyczajnie, ze szczęściem. Więcej nie ma co mówić”.

Ze szkoły Moskwa później uciekła. Sprowadzono ją znowu po roku i zawstydzano na ogólnym zebraniu, że jako córka rewolucji postępuje w sposób niezdyscyplinowany i nieetyczny.

– Nie jestem córką, jestem sierotą! – odpowiedziała wówczas Moskwa i znów zaczęła pilnie się uczyć, jakby nigdy nie uciekała.

Z przyrody podobały jej się najbardziej wiatr i słońce. Lubiła leżeć gdzieś w trawie i słuchać, o czym szumi wiatr w gęstwinie roślin niczym niewidzialny tęskniący człowiek, i oglądać letnie obłoki, płynące daleko nad wszystkimi niewiadomymi krajami i narodami; od obserwowania obłoków i przestrzeni w piersi Moskwy zaczynało bić serce, zupełnie jakby jej ciało zostało wyniesione wysoko i tam pozostawione samo sobie. Potem chodziła po polach, po zwykłej lichej ziemi i czujnie, ostrożnie wpatrywała się powszedy, przyzwyczajając się dopiero do życia w świetle i ciesząc się, że wszystko jej tutaj odpowiada – jej ciało, sercu i wolności.

Po ukończeniu dziewięciolatki Moskwa, jak każdy młody człowiek, zaczęła w sposób nie uświadomiony szukać drogi w swoją przyszłość, w szczęśliwą tłumność ludzi; świerzbiały ją ręce do działania, uczucia szukały dumy i heroizmu, w umyśle zawczasu triumfował jeszcze tajemniczy, ale już wysoki los. Siedemnastoletnia Moskwa nie mogła nigdzie wejść sama, czekała na zaproszenie, jakby ceniąc sobie dar młodości i nagromadzonej siły. Dlatego stała się na jakiś czas samotna i dziwna. Przypadkowy człowiek poznał pewnego razu Moskwę i pokonał ją swym uczuciem i uprzejmością – Moskwa Czestnowa wyszła wtedy za niego za mąż, raz i na zawsze psując swoje ciało i młodość. Jej duże ręce, zdadne do śmiałego działania, służyły objęciom; serce, poszukujące heroizmu, zaczęło kochać tylko jednego chytrego człowieka, który wczepił się w Moskwę jak w przynależną mu własność. Lecz pewnego ranka Moskwa poczuła tak dotkliwy wstyd swego życia – nie uświadamiając sobie dokładnie, dlaczego – że na pożegnanie pocałowała śpiącego męża w czoło i wyszła z pokoju, nie zabierając ze sobą ani jednej zapasowej sukienki. Do wieczora chodziła po bulwarach i po brzegu Moskwy, odczuwając jedynie wiatr byle jakiej wrzesniowej niepogody i nie myśląc o niczym – pusta i zmęczona.

Wieczorem chciała wleźć na nocleg gdzieś do skrzyni, znaleźć pustą budkę spożywczą Mostropu albo jeszcze co innego, tak jak robiła to dawniej w swym wędrownym dzieciństwie, spostrzegła jednak, że od dawna stała się duża i nigdzie niezauważalnie nie wlezie. Usiadła na ławce w ciemnościach późnego bulwaru i zdrzemnęła się, słysząc, jak w pobliżu łągą i naszeptują złodzieje i bezdomowi chuligani.

O północy na tej samej ławce przysiadł niepozorny człowiek z utajoną i rzetelną nadzieją, że ta kobieta pokocha go, być może, nagle sama z siebie, ponieważ z uwagi na niemrawość swoich sił nie potrafił natarczywie domagać się miłości; w istocie nie szukał ani pięknej twarzy, ani ślicznej figury – godził się na wszystko, nawet na największe ofiary ze swej strony, byleby człowiek odpowiedział mu wiernym uczuciem.

– Czego tu? – zapytała go rozbudzona Moskwa.

– Nie, nic! – odrzekł ów człowiek. – Ja... tak.

– Chce mi się spać, a nie mam gdzie – powiedziała Moskwa.

Człowiek natychmiast oznajmił, że ma pokój, lecz by uniknąć podejrzeń co do jego

zamiarów, lepiej dla niej będzie wynająć pokój w hotelu i tam odespać w czystej pościeli, owinąwszy się w kołdrę. Moskwa zgodziła się i poszli. Po drodze Moskwa poleciła swemu towarzyszowi, by umieścić ją gdzieś na naukę – z wyżywieniem i internatem.

– A co pani najbardziej lubi? – zapytał.

– Lubię wiatr w powietrzu i jeszcze inne różności – powiedziała wyczerpana Moskwa.

– A zatem szkoła aeronautyki, nic innego pani się nie nada – ustalił asystujący Moskwie człowiek. – Postaram się.

Znalazł jej pokój w Zajeździe Minina, zapłacił za trzy doby z góry i dał trzydzieści rubli na produkty spożywcze, sam zaś poszedł do domu, unosząc w sobie swoją pociechę.

Po pięciu dniach Moskwa Czestnowa dzięki jego staraniom wstąpiła do szkoły aeronautyki i przeniosła się do internatu.

2

W centrum stolicy na siódmym piętrze mieszkał trzydziestoletni mężczyzna, Wiktor Wasiljewicz Bożko. Mieszkał w małym pokoiku, oświetlanym jednym oknem; hałas nowego świata docierał na wysokość tego mieszkania jako dzieło symfoniczne – fałsz nikczemnych i przypadkowych dźwięków zacichał nie wyżej czwartego piętra. Pokój był biednie i surowo umeblowany, ale nie z nędzy, tylko z marzycielstwa: żelazne łóżko typu epidemicznego z wy szmelcowaną, przeczłowieczoną na wylot kołdrą, nagi stół, poręczny dla większego skupienia, krzesło z odpadów użytkowych, własnej roboty półki na ścianie z najlepszymi książkami socjalizmu i dziewiętnastego wieku, trzy portrety nad stołem – Lenin, Stalin i doktor Zamenhof, wynalazca międzynarodowego języka esperanto. Poniżej tych portretów wisiały w czterech rzędach małe fotografie bezimiennych ludzi, przy czym na fotografiach były nie tylko twarze białe, ale także Murzyni, Chińczycy i mieszkańcy wszystkich stron świata.

Do późnego wieczoru pokój ten bywa pusty; znużone, zesmętniałe dźwięki stopniowo w nim zamierają, znużona materia poskrzypuje niekiedy, światło słońca powoli wlecze się po podłodze czworokątem okna, by rozpląnąć się nocą na ścianie. Wszystko się kończy i tylko przedmioty zadręczają się w ciemnościach.

Przychodzi mieszkający tutaj człowiek i zapala techniczne światło elektryczności. Lokator jest jak zwykle szczęśliwy i spokojny, bowiem życie jego nie upływa na próżno; jego ciało zmęczyło się w ciągu dnia, oczy zbieleły, serce jednak bije równomiernie, a myśl rozbłyska równie jasno, jak rankiem. Dzisiaj Bożko, geometra i projektant terenów miejskich, zakończył starannie plan nowej ulicy, wyznaczywszy miejsca pod zieleń, dziecięce placzki zabaw i rejonowy stadion. Smakował zawczasu bliską przyszłość i pracował z sercem bijącym szczęściem, w stosunku do samego siebie zaś, jako do urodzonego za kapitalizmu, był obojętny.

Bożko wyjął paczkę prywatnych listów, które otrzymywał niemal codziennie na adres służbowy, i zagłębił się w nich swymi rozmyślaniami przy gołym stole. Pisano do niego z Melbourne, Kapsztadu, z Hongkongu, Szanghaju, z niewielkich wysepek, przycupniętych w wodnej pustyni Oceanu Spokojnego, z Megarydy – osady u stóp greckiego Olimpu, z Egiptu i z wielu punktów Europy. Urzędnicy i robotnicy, dalecy ludzie, przygnieci do ziemi bezwładem eksploatacji, nauczyli się esperanto i pokonali niemotę między narodami; osłabieni pracą, zbyt biedni, by podróżować, porozumiewali się ze sobą myślą.

Wśród listów było kilka przekazów pieniężnych: Murzyn z Kongo przysłał 1 franka, Syryjczyk z Jerozolimy 4 amerykańskie dolary, Polak Studziński co trzy miesiące przysyłał po 10 złotych. Sposobili sobie oni zawczasu robotniczą ojczyznę, aby mieli gdzie schronić się

na starość i aby ich dzieci mogły w końcu uciec i uratować się w zimnym kraju, rozgrzanym przyjaźnią i pracą.

Bożko akuratnie wpłacał te pieniądze na pożyczkę państwową, obligacje zaś odsyłał niewidzialnym właścicielom wraz z pokwitowaniami.

Przestudiowawszy korespondencję, Bożko pisał odpowiedź na każdy list, czując swą wyższość i dumę jako działacz ZSRR. Pisał jednak bez dumy, skromnie i z życzliwością:

„Drogi, oddalony przyjacielu. Otrzymałem Pana list, u nas tutaj idzie wszystko coraz lepiej, wspólne dobro pracujących codziennie się pomnaża, dla światowego proletariatu gromadzi się ogromna spuścizna w postaci socjalizmu. Każdego dnia rosną nowe ogrody, zasiedlają się nowe domy i szybko pracują wynalezione maszyny. Ludzie także wyrastają inni, wspaniali, tylko ja pozostaję jak kiedyś, dlatego że urodziłem się dawno i nie zdążyłem się jeszcze od siebie odzwyczaić. Po pięciu, sześciu latach chleba i rozmaitych kulturalnych wygód stworzy się u nas ogromna ilość i cały miliard pracujących na pięciu szóstych Ziemi, zabrawszy rodziny, będzie mógł przyjechać do nas żyć na wieki, a kapitalizm niech sobie zostanie pusty, chyba że nastąpi tam rewolucja. Zwróć uwagę na Ocean Wielki, mieszkasz na jego brzegu, pływają tam czasami radzieckie statki, to – my. Pozdrawiam”.

Murzyn Arratau powiadał, że umarła mu żona; w takich razach Bożko odpowiadał współczuciem, ale popadać w rozpacz nie radził – trzeba zachować siebie dla przyszłości, albowiem na Ziemi prócz nas nikt prawa być nie ma. A najlepiej niechaj Arratau natychmiast przyjeżdża do ZSRR, tutaj może żyć wśród towarzyszy, szczęśliwiej niż w rodzinie.

O poranku Bożko zasnął ze słodyczą pożytecznego znużenia; śniło mu się, że jest dzieckiem, jego matka żyje, na świecie trwa lato i wyrosły wielkie gaje.

W swej pracy Bożko słynął jako najpierwszy przodownik. Oprócz zwykłej roboty geometry był sekretarzem gazety ściennej, organizatorem komórek Osoawiachimu¹ i MOPR-u², kierownikiem gospodarstwa ogrodniczego i na swój koszt kształcił w szkole aeronautyki pewną mało mu znaną dziewczynę, aby choć odrobinę osłabić wydatki państwa.

Dziewczyna ta raz na miesiąc przychodziła do Bożki. Częstował ją cukierkami, wręczał jej pieniądze na jedzenie i swoją przepustkę do sklepu z towarami powszechnego użytku, a dziewczyna nieśmiało wychodziła. Miała niepełnych dziewiętnaście lat, nazywała się Moskwa Iwanowna Czestnowa; spotkał ją pewnego razu na jesiennym bulwarze w chwili niepohamowanego smutku i od tej pory nie mógł zapomnieć.

Po jej wizycie Bożko kładł się zazwyczaj twarzą do dołu i gryzł się ze smutku, chociaż źródłem jego życia była sama tylko powszechna radość. Nasmęciwszy się, siadał pisać listy do Indii, na Madagaskar, do Portugalii, zachęcając ludzi do udziału w socjalizmie, do współczucia dla pracujących na całej bolesnej ziemi, a lampa oświetlała jego łysiejącą głowę, wypełioną marzeniami i cierpliwością.

Pewnego razu Moskwa Czestnowa przyszła jak zwykle i nie wyszła od razu. Od dwóch lat znalazł ją Bożko, ale nie mając nadziei na nic, krępował się z bliska wpatrywać w jej twarz.

Moskwa śmiała się, ukończyła szkołę pilotów i przyniosła poczęstunek za swoje pieniądze. Bożko zaczął pić i jeść z Moskwą, ale serce jego tłukło się z przerażenia, bo poczuło od dawna uwieczoną w nim miłość.

Kiedy nadciągnęła późna noc, Bożko otworzył okno na ciemną przestrzeń i do pokoju wleciały ćmy i komary, a wokoło było tak cicho, że Bożko słyszał bicie serca Moskwy Iwanowny w jej dużej piersi; bicie owo rozlegało się na tyle równo, prężnie i pewnie, że gdyby można było połączyć z tym sercem cały świat, mogłoby ono regulować bieg wydarzeń

¹ Osoawiachim – (1927–1948). Obszczestwo sodiejstwija oboronie i awiacyonno-chimiczeskomu stroitelstwu SSSR (Towarzystwo Wspierania Badań Lotniczo-Chemicznych w ZSRR) [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

² MOPR – Międzynarodowa Organizacja Pomoszczi Borcam Riewolucyi (Międzynarodowa Organizacja Pomocy Bojownikom Rewolucji).

– nawet komary i ćmy, siadając z przodu na bluzce Moskwy, natychmiast odlatywały, bojąc się łoskotu życia w jej potężnym i ciepłym ciele. Policzki Moskwy, poddane ciśnieniu serca, na długo, na całe życie nabrały barwy opalenizny, oczy błyszcząły jasnością szczęścia, włosy wypływały od skwaru nad głową, a ciało nabrzmiało późną młodością, znajdując się już na granicy kobiecej człowieczości, kiedy nowe życie niemal mimochodem pojawia się wewnątrz człowieka.

Bożko nieprzerwanie, do nowego świetlistego poranka, patrzył i patrzył na Moskwę, kiedy dziewczyna już dawno zasnęła w jego pokoju – i senna, szczęśliwa świeżość, jak zdrowie, wieczór i dzieciństwo, wchodziły w tego znużonego człowieka.

Następnego dnia Moskwa zaprosiła Bożkę na aerodrom – by zobaczyć działanie nowych spadochronów.

Niewielki aeroplan zabrał w swoje wnętrze Moskwę i poleciał wysoko w odwieczne pustynne niebo. W zenicie aeroplan przygasił motor, pochylił się do przodu i zrzucił spod swego kadłuba jasny kłębuszek, który bez tchu poniósł się w otchłań. W tym samym czasie niewysoko nad ziemią leciał powoli inny aeroplan, który zwolnił pracę swoich trzech silników, chcąc wylądować. Na małej wysokości, nad owym trój silnikowym szybującym samolotem samotne powietrzne ciało, bezbronne mknące z narastającą szybkością, rozwinęło się w kwiatek, napełniło powietrzem i zakołysało. Trójsilnikowy samolot natychmiast uruchomił wszystkie swoje motory, aby uciec od spadochronu, lecz spadochron był zbyt blisko, mogło go wkręcić pod śmigło w strugi powietrza, więc mądry pilot ponownie wyłączył silniki, dając spadochronowi możliwość orientacji. Wówczas spadochron opuścił się na powierzchnię nośną skrzydła i zwinął się, a po kilku chwilach po przechylenym skrzydle powoli i bez strachu przeszedł niewielki człowiek i zniknął w maszynie.

Bożko wiedział, że to przyleciała z przestworzy Moskwa; wczoraj słyszał jej równomierne, rozgłosne serce – teraz zaś stał i płakał ze szczęścia za całą śmiałą ludzkość, żałując, że w ciągu dwóch lat dawał Moskwie Czestnowej po sto rubli miesięcznie, a nie po sto pięćdziesiąt.

W nocy Bożko znowu, jak zwykle, pisał listy do całego zaocznego świata, opisując z zapalem ciało i serce nowego człowieka, pokonującego śmiertelną przestrzeń wysokości.

O świcie zaś, przygotowawszy pocztę dla ludzkości, Bożko zapłakały żal mu się zrobiło, że serce Moskwy może latać w powietrznym żywiole, ale kochać go nie może. Zasnął i spał bez pamięci do wieczora, zapomniawszy o pracy.

Wieczorem ktoś do niego zastukał i weszła Moskwa, jak zawsze szczęśliwa z wyglądu i z dawnym głośnym sercem. Bożko nieśmiało, z krańcowej potrzeby uczucia, objął Moskwę, a ona zaczęła całować go w odpowiedzi. W wychudłym gardle Bożki zabalgotła skryta bolesna siła i nie mógł się już opamiętać, poznając na całe życie jedyne szczęście ciepłoty człowieka.

3

Każdego ranka, budząc się, Moskwa Czestnowa długo patrzyła na światło słoneczne w oknie, mówiła w myślach: „To nadchodzi przyszłe czasy”, i wstawiała w szczęśliwej beztrosce, która zależała zapewne nie od świadomości, ale od siły serca i zdrowia. Potem Moskwa myśla się, dziwując się chemii natury, przekształcającej zwykłe skąpe pożywienie (jakie tylko nieczystości Moskwa jadła w swoim życiu!) w różową czystość, w kwitnące przestrzenie jej ciała. Nawet będąc sama, Moskwa mogła patrzeć na siebie jak na kogoś obcego i lubować się swoim korpusem w czasie, gdy go myśla. Wiedziała, rzecz jasna, że nie ma tutaj jej zasług, że jest za to precyzyjna robota dawnych czasów i natury – i później,

przezuwając śniadanie, Moskwa roiała coś o naturze płynącej wodą, dmącej wiatrem, nieprzerwanie poruszającej się, niczym w chorobliwej malignie, całą swą olbrzymią cierpliwą substancją... Naturze trzeba było koniecznie współczuć – tyle się natrudziła dla stworzenia człowieka, zupełnie jak uboga kobieta, która wiele rodziła, a teraz aż słania się wyczerpana...

Po ukończeniu szkoły aeronautyki Moskwę mianowano młodszym instruktorem przy tejże szkole. Uczyła teraz grupę spadochroniarzy beznamiętnego skakania z aeroplanu i spokoju charakteru przy spadaniu w rozgłośnej przestrzeni.

Sama Moskwa latała, nie czując w sobie żadnego szczególnego napięcia czy odwagi, jedynie ściśle, jak w dzieciństwie, wyliczała, gdzie jest „granica”, to jest koniec techniki i początek katastrofy, i do „granicy” nie dochodziła. Ale „granica” była znacznie dalej, niż myślano, a Moskwa wciąż ją przesuwała.

Pewnego razu uczestniczyła w wypróbowywaniu nowych spadochronów, nasyconych takim lakierem, który pozbywał się wilgoci atmosfery i pozwalał na wykonywanie skoków nawet w czasie deszczu. Czestnową zaopatrzone w dwa spadochrony – drugi dano na zapas. Podniesiono ją na dwa tysiące metrów i poproszono, by rzuciła się stamtąd na powierzchnię ziemską poprzez wieczorną mgłę, która podniosła się po deszczach.

Moskwa otworzyła drzwi aeroplanu i dała krok w pustkę; od dołu uderzył w nią twardy wichur, jakby ziemia była gardzielą potężnej dmuchawy, w której powietrze prasowane jest aż do twardości i podnosi się do góry – mocno, niczym kolumna; Moskwa poczuła się jak przedmuchiwany na wylot komin i przez cały czas trzymała otwarte usta, aby nadążyć z wydychaniem wdzierającego się w nią bez litości dzikiego wichru. Wokół niej było mętnie od mgły, ziemia znajdowała się jeszcze daleko. Moskwa rozkołysała się, niewidzialna dla nikogo z powodu mgły, samotna i wolna, po czym wyjęła papierosa i zapalki, żeby zapalić, ale zapalka zgasła; wówczas Moskwa skuliła się, aby utworzyć zaciszne osłonięte miejsce przy swej piersi, i podpaliła wszystkie zapalki w pudełku naraz – od ognia, pochwyconego ciągiem wichru, błyskawicznie zajął się łatwopalny lakier, którym przesiąknięte były jedwabne szelki, łączące ciężar człowieka z czaszą spadochronu; owe szelki spłonęły w marnej chwili, zdążywszy jedynie rozżarzyć się i rozsypać w proch – gdzie podziela się czasza, Moskwa nie dojrzała, jako że wiatr zaczął przypiekać skórę na jej twarzy na skutek surowej, coraz bardziej rosnącej szybkości spadania w dół.

Leciała z płonącymi czerwonymi policzkami, a powietrze brutalnie szarpało jej ciało, jakby to nie był wiatr podniebnych przestworów, ale ciężka martwa substancja – nie sposób było sobie wyobrazić, żeby ziemia była jeszcze twardsza i bardziej bezlitosna. „To takiś ty naprawdę, świecie! – myślała mimochodem Moskwa Czestnowa, przenikając przez mrok mgły w dół. – Jesteś miękki tylko wtedy, kiedy się ciebie nie tyka!” Szarpnęła rączkę zapasowego spadochronu, ujrzała ziemię aerodromu w światłach sygnalizacyjnych i krzyknęła od nieoczekiwanej męczarni – otwierający się spadochron porwał jej ciało do góry z taką siłą, że Moskwa poczuła swoje kości tak, jakby rozbolały ją wszystkie zęby naraz. Po dwóch minutach siedziała już na trawie, przykryta spadochronem i zaczęła wypełzać stamtąd, wycierając łzy, które wycisnął wiatr.

Pierwszy podszedł do Moskwy Czestnowej znany lotnik Arkanów, który przez dziesięć lat pracy nie uszkodził ani jednej lotki sterowej i nie doświadczył ani niepowodzenia, ani awarii.

Moskwa wypełzała spod czaszy jako wszechzwiązkowa znakomitość. Arkanów i drugi pilot ujęli ją pod ręce i poprowadzili do pokoju rekreacyjnego, gratulując jej po drodze. Na pożegnanie Arkanów powiedział Moskwie: „Szkoda nam was tracić, ale zdaje się, że już was straciliśmy... Pojęcia nie macie o flocie powietrznej, Moskwo Iwanowna! Flota powietrzna to skromność, a wy – to luksus! Życzę wam wszelkiego szczęścia!”

Po dwóch dniach Moskwę Czestnową odsunięto od pracy w powietrzu z tej przyczyny, że atmosfera to nie cyrk do puszczania fajerwerków ze spadochronów.

Przez pewien czas o szczęśliwym, młodym męstwie Moskwy Czestnowej pisały gazety i

czasopisma; nawet za granicą poinformowano szczegółowo o skoku z płonącym spadochronem i wydrukowano piękną fotografię „powietrznej komsomołki”, lecz potem to się urwało, a Moskwa w ogóle nie pojęła swojej sławy: czym ona była.

Mieszkała teraz na piątym piętrze nowego domu, w dwóch niewielkich pokojach. W domu tym mieszkali lotnicy, konstruktorzy, rozmaici inżynierowie, filozofowie, ekonomiczni teoretycy i inne profesje. Okna mieszkania Czestnowej wychodziły ponad okoliczne moskiewskie dachy, a w oddali – na słabnącym, umierającym krańcu przestrzeni – widać było jakieś nieprzebyte lasy i tajemnicze wieżyczki; o zachodzie słońca błyszczał tam samotnie niewiadomy dysk, odbijając ostatnie światło na obłoki i na niebo – do tej przyciągającej krainy było jakieś dziesięć, piętnaście kilometrów, ale gdyby wyszła z domu na ulicę, Moskwa Czestnowa nie odnalazłaby tam drogi... Zwolniona z floty powietrznej, Moskwa spędzała wieczory samotnie, do Bożki już nie chodziła, koleżanek nie zapraszała. Kładła się brzuchem na parapecie, jej włosy zwisały w dół, i słuchała, jak szumi wszechświatowe miasto w swej triumfującej energii, i jak rozlega się czasami głos człowieka z hałaśliwej ciasnoty pędzących mechanizmów; podniósłszy głowę, Moskwa widziała, jak wschodzi pusty, biedny księżyc na przygasłe niebo, i czuła w sobie grzejący bieg życia... Jej wyobraźnia pracowała bez ustanku i nigdy jeszcze się nie znużyła – odczuwała umysłem pochodzenie rozmaitych spraw i w myślach brała w nich udział; w samotności wypełniała cały świat swoją uwagą i pilnowała ognia latarni, tak by świeciły, rozgłosnych, równomiernych uderzeń parowych kafarów na Moskwie, ażeby pale pewnie wchodziły w głębinę, myślała też o maszynach, dzień i noc wyężdżających swe siły, by paliło się światło w ciemnościach, trwała lektura książek, by motory młóciły zboże na poranny wypiek chleba, by rury tłoczyły wodę do ciepłych pryszniców w salach tanecznych i aby dochodziło do poczęcia w gorących i mocnych objęciach ludzi – w mroku, odosobnieniu, twarzą w twarz, z czystym uczuciem połączonego zdwojonego szczęścia. Moskwa Czestnowa nie tyle pragnęła sama przeżywać to życie, ile chronić je – okrąglą dobę stać przy kranie hamulcowym parowozu, wioząc ludzi ku wzajemnym spotkaniom, reperować rurę wodociągową, odważać chorem lekarstwa na aptekarskiej wadze i zgasnąć w porę lampą nad cudzym *pocałunkiem*, wchłaniając w siebie ciepło, które dopiero co było światłem. Nie odrzucała przy tym własnych interesów – ona też musiała się gdzieś podziąć ze swym dużym ciałem – ona jedynie odkładała je na nieco dalszą przyszłość: była cierpliwa i mogła czekać.

Kiedy samotnymi wieczorami Moskwa zwieszała się ze swego okna, przechodzący ludzie wykrzykiwali do niej z dołu pozdrowienia, wołali gdzieś we wspólny letni mrok, obiecywali pokazać wszystkie atrakcje parku kultury i wypoczynku oraz kupić kwiatów i ciągu tek. Moskwa śmiała się do nich, lecz milczała i nie szła. Później Moskwa widziała z góry, jak zaczynają zaludniać się okoliczne dachy starych domów: przez strychy na żelazne pokrycia wychodziły rodziny, rozścielały kołdry i kładły się spać na powietrzu, umieszczając dzieci między matką a ojcem; w wąwozach dachów zaś, gdzieś między włazem przeciwpożarowym a kominem, chronili się narzeczeni i do rana nie zamykali oczu, znajdując się poniżej gwiazd i powyżej wieloludzia. Po północy niemal wszystkie widoczne okna przestawały się świecić – dzienna szturmowa praca wymagała zapomnienia we śnie – a późne samochody przepływały szmerem, nie niepokojąc sygnałami; z rzadka jedynie zagasłe okna ponownie rozświectły się na krótko – to przychodzili ludzie z nocnych zmian, jedli co bądź, nie budząc śpiących i natychmiast kładli się sami; inni zaś, wypawszy się, wstawali, by wyjść do pracy: maszyniści turbin i parowozów, radiotechnicy, mechanicy pokładowi porannych rejsów, badacze naukowcy i inni wypoczęci.

Drzwi do swego pokoju Moskwa Czestnowa często zapomniała zamknąć. Pewnego razu zastała nieznanego człowieka śpiącego na podłodze na swym wierzchnim ubraniu. Moskwa zaczekała, dopóki zmęczony gość się nie obudzi. Obudził się i powiedział, że będzie tutaj mieszkał w kącie – bo więcej nie ma już gdzie. Moskwa popatrzyła na tego człowieka; miał

koło czterdziestki, na jego twarzy leżały zapiekłe szramy minionych wojen, skóra miała smagłą, brunatną barwę dobrego zdrowia i dobrego serca, a rudawe wąsy nieśmiało rosły nad znużonymi ustami.

– Nie wszedłbym do ciebie bez potrzeby, kudłata ślicznotko – rzekł nieznany gość – ale ciału trzeba dawać odpocząć, a miejsca nie ma... Nie ukrzywdzę cię, miej mnie za nic, niby dodatkowy stół. Nie uświadczysz ode mnie ni dźwięku, ni zapachu.

Moskwa zapytała go, co on za jeden, gość objaśnił się szczegółowo wraz z okazaniem dokumentów.

– A jakże by inaczej! – wyrzekł nowo zasiedlony. – Jestem człowiekiem zwyczajnym, wszystko u mnie w porządku.

Okazał się wagowym w składzie drewna, rodem z Jelca, Moskwa Czestnowa zaś nie zdecydowała się odkładać komunizmu z powodu niedostatku mieszkań i swego prawa do dodatkowej powierzchni – zmilczała i dała lokatorowi poduszkę i kołdrę. Lokator zaczął mieszkać, po nocach wstawał i podchodził na palcach do łóżka śpiącej Moskwy, aby okryć ją kołdrą, kręciła się bowiem, odkrywała i ziębła; rankami zaś nigdy nie chodził do ubicacji przy mieszkaniu, nie chcąc zapełniać jej swoim paskudztwem i szumieć wodą, lecz wyprawiał się do publicznego klozetu na podwórzu. Po kilku dniach życia w mieszkaniu Czestnowej wagowy przytwardzał już obcasy do zdeptanych pantofli Moskwy, po kryjomu czyścił jej jesienne palto z osiadłego na nim kurzu i zaparzał herbatę, z radością oczekując na przebudzenie się gospodyni. Moskwa rugała początkowo Wagowego za podlizywanie się, a potem, by wyplenić takie służalstwo, wprowadziła ze swym lokatorem rozrachunek gospodarczy – zaczęła cerować mu skarpetki, a nawet golić maszynką szczecinę na jego twarzy.

Wkrótce organizacja komsomolska skierowała Moskwę do tymczasowej pracy w rejonowej komendzie wojskowej – w celu likwidacji zaniedbań w ewidencji.

4

Pewnego razu w korytarzu komendy wojskowej stał blady i chudy nie podlegający służbie zasadniczej z książeczką wojskową w rękach. Wydawało mu się, że w komendzie rejonowej pachnie tak samo, jak w miejscach długotrwałego odosobnienia – bezwładem umęczonego ludzkiego ciała, świadomie zachowującego się skromnie i ekonomicznie, aby nie rozbudzać w sobie zamierającego pociągu do odległego życia i nie zdręczyć się potem w daremności, od bólu rozpaczy. Obojętna ideologiczność wystroju, opartego na niskim budżecie państwowym, i miałość urzędniczego personelu obiecywały przybyłemu człowiekowi nieczułość, biorącą się z ubóstwa albo bezwzględności serca.

Nie podlegający służbie zasadniczej wyczekiwał na urzędniczkę przy jedynym oknie, ona zaś tymczasem doczytywała wiersze w książce; nie podlegający służbie sądził, że od wierszy każdy człowiek robi się lepszy – on sam w młodości swego życia czytał książki do północy i potem czuł w sobie smutek i obojętność. Urzędniczka, doczytawszy wiersz, zaczęła wciągać nie podlegającego służbie do nowej ewidencji, dziwiąc się, że ów człowiek, wedle ewidencyjnego formularza, nie był ani w białej, ani w czerwonej armii, nie odbywał powszechnego przeszkolenia wojskowego, nie stawiał się nigdy na punkty zborno-szkoleniowe, nie uczestniczył w oddziałach obrony terytorialnej i w pochodach Osoawiachimu i o trzy lata przekroczył termin swej ponownej rejestracji. Nie wiadomo, jakim sposobem, w jakim zaciszu dany nie podlegający służbie potrafił ukryć się przed czujnością administracji domu ze swą książeczką wojskową starego typu.

Wojskowa urzędniczka popatrzyła na nie podlegającego służbie wojskowej. Przed nią, za

barierką oddzielającą spokój biura od ludzi, stał interesant z dawno wychudłą twarzą, pokrytą zmarszczkami przygnębiającego życia i bolesnymi śladami słabości i cierpienia; ubranie na tym kompletnym cywili było równie znoszone, jak skóra na jego twarzy, i ogrzewało człowieka dzięki długowiecznym brudom, które wżarły się w zetłałość tkaniny; spoglądał na urzędniczkę z nieśmiałą chytryością, nie oczekując dla siebie współczucia, a często, opuściwszy oczy, zamykał je w ogóle, aby nie widzieć życia, tylko ciemność; przez chwilę wyobrażał sobie obłoki na niebie – lubił je dlatego, że go nie dotyczyły i że był im obcy.

Popatrzawszy mimochodem w dal komendy, kompletny cywil wzdrygnął się ze zdziwienia: spoglądało na niego dwoje jasnych oczu, obrośniętych skupionymi brwiami, nie grożąc mu niczym. Kompletny cywil wiele razy widywał gdzieś takie oczy, uważne i czyste, i zawsze mrugał na ich spojrzenie. „To prawdziwa czerwona armia! – pomyślał z bolesnym wstydem. – Boże! Dlaczego niepotrzebnie przepuściłem całe swoje życie, gwoli utrzymania samego siebie!...” Kompletny cywil oczekiwał zawsze od urzędów zgrozy, wyczerpania i długotrwałej udręki – tutaj zaś ujrzał w oddali człowieka, myślącego w związku z nim przychylnie.

„Armia Czerwona” wstała z miejsca – okazała się kobietą – i podeszła do kompletnego cywila. Przeraził się uroku i siły jej twarzy, ale z litości dla swego serca, które mogłoby nadaremnie zachorować z miłości, odwrócił się od owej urzędniczki. Moskwa Czestnowa wzięła od niego książeczkę wojskową i ukarała go grzywną w wysokości pięćdziesięciu rubli za naruszenie przepisów ewidencyjnych.

– Pieniądzy nie mam – powiedział kompletny cywil. – Już lepiej wypłacę się jakoś na żywca.

– A jak by to było? – zapytała Moskwa.

– Nie wiem – cicho wyrzekł kompletny cywil. – Żyje mi się tak sobie.

Czestnowa ujęła go za rękę i poprowadziła do swego stołu.

– Dlaczego żyje się wam tak sobie? – zapytała. – Czegoś byście chcieli?

Kompletny cywil nie mógł odpowiedzieć; czuł, jak pachniało od tej biurowej czerwonoarmijnej kobiety mydłem, potem i jakimś miłym życiem, obcym dla jego serca, ukrywającego się w swej samotności w słabo tłącym się ciepłe. Pochylił głowę i zapłakał za sprawą swego żalnego położenia, a Moskwa Czestnowa z zakłopotaniem puściła jego rękę. Kompletny cywil powstał przez chwilę, a potem ucieszył się, że go nie zatrzymują, i ukrył w swoim nie znanym mieszkaniu, aby przebytować jakoś do śmierci bez ewidencji i bez zagrożenia.

Czestnowa odnalazła jednak jego adres w formularzu rejestracyjnym i po pewnym czasie poszła do kompletnego cywila w odwiedziny.

Długo chodziła po zapadłych kątach rejonu baumanowskiego, zanim odnalazła pewną niewielką spółdzielnię mieszkaniową, w której figurował kompletny cywil. Był to dom z niezdolnym do pracy zarządem i z deficytowym bilansem, tak że jego ściany już od kilku lat nie były malowane świeżą farbą, a odludne, puste podwórze, gdzie nawet kamienie starły się od dziecięcych gier, od dawna domagało się odpowiedniej troski.

Ze smutkiem przeszła Moskwa wzdłuż ścian i po mętnie oświetlonych korytarzach tej spółdzielni, jakby skrzywdzono ją lub jakby była winna obcego niedbałego i nieszczęśliwego życia. Kiedy Moskwa Czestnowa wyszła na drugą stronę domu, zwróconą na długi zwarty parkan, ujrzała kamienny ganek z żelaznym daszkiem, nad którym paliła się lampa elektryczna. Wsłuchiwała się w hałas wiszący w powietrzu – za parkanem zrzucono na ziemię tarcice i słychać było, jak szpadle wbijają się w grunt; pod żelaznym daszkiem stał z odkrytą głową łysy człowiek i w samotności grał na skrzypcach mazurka. Na kamiennej płycie leżał kapelusz muzyka, który przetrwał wszystkie niedole na jego głowie: przykrywał niegdyś czuprynę młodości, teraz zaś zbierał pieniądze na utrzymanie starości, na podtrzymanie słabej świadomości w leciwej nagiej głowie.

Czestnowa włożyła do owego kapelusza rubla i poprosiła o zagranie jej czegoś Beethovena. Nie wyrzekłszy żadnego słowa, muzyk dograł do końca mazurka i dopiero potem zaczął Beethovena. Moskwa stała przed skrzypkiem po babsku, rozstawiwszy nogi i zafrasowawszy się na twarzy od bólu, falującego gdzieś w okolicy serca. Cały świat wokół niej stał się nagle ostry i bezwzględny – składały się nań same twarde i ciężkie przedmioty, a nieokrzesa ciemna siła działała z taką złością, że sama doprowadzała się do rozpacz i płakała ludzkim wyczerpanym głosem na granicy własnego milczenia. I znów powstawała owa siła ze swego żelaznego posterunku i z szybkością krzyku gromiła jakiegoś zimnego biurokratycznego wroga, który swym martwym cielskiem zajął całą nieskończoność. Jednakże owa muzyka, tracąc wszelką melodię i przechodząc w zgrzytliwy wrzask ataku, mimo wszystko miała rytm zwykłego ludzkiego serca i była prosta jak praca ponad siły w ludzkiej nędzy.

Muzyk patrzył na Moskwę obojętnie i bez zainteresowania, nie kusily go żadne jej uroki – jako artysta czuł niezmiennie w swojej duszy znacznie lepszy i dzielniejszy urok, pchający wolę naprzód obok zwyczajnej rozkoszy, i przedkładał go ponad wszystko, co namacalne. Pod koniec gry z oczu skrzypka wypłynęły łzy – umęczył się życiem i, przede wszystkim, przeżył siebie nie w muzyce, nie znalazł swej wczesnej zguby pod murem niezniszczalnego wroga, ale stoi teraz – żywy i stary nędzarz – na wyludnionym podwórzu kooperatywy, z wycieńczonym umysłem, w którym nisko ściele się ostatnie wyobrażenie o heroicznym świecie. Naprzeciw niego – po drugiej stronie parkanu – budowano instytut medyczny w celu poszukiwania długowieczności i nieśmiertelności, stary muzyk nie mógł jednak zrozumieć, że ta budowa kontynuuje muzykę Beethovena, Moskwa Czestnowa zaś nie wiedziała, co tam się buduje. Wszelka muzyka, jeśli była wielka i ludzka, przypominała Moskwie o proletariacie, o ciemnym człowieku z płonąca pochodnią, biegnącym w noc rewolucji, i o niej samej, słuchała jej zatem jak przemówienia wodza i jak własnego słowa, które od zawsze w niej tkwi, lecz którego nigdy głośno nie wypowiada.

Na drzwiach wejściowych wisiał kawałek dykty z napisem: „Zarząd kooperatywy mieszkaniowej i administracja budynku”. Czestnowa weszła tam, aby dowiedzieć się o numer mieszkania kompletnego cywila – w formularzu ewidencyjnym podał jedynie numer domu.

Do kancelarii kooperatywy prowadził drewniany korytarz, po którego dwóch stronach mieszkały najwyraźniej wielodzietne rodziny – z urazą i niezadowoleniem krzyczały tam teraz dzieci, dzieląc między siebie strawę na kolację. W głębi drewnianego korytarza stali lokatorzy i rozprawiali na wszystkie tematy, jakie są na świecie – o aprowizacji, o remoncie wygódki na podwórzu, o przyszłej wojnie, o stratosferze i śmierci tutejszej głuchej i obłąkanej praczki. Na ścianach korytarza wisiały plakaty MOPR-u, Zarządu Kasy Oszczędnościowej, zasady opiekowania się niemowlęciem, człowiek w postaci litery „R”, skrócony o jedną nogę uliczną katastrofą, i inne obrazy życia, pożytku i klęsk. Wielu ludzi wychodziło tutaj, na drewniany korytarz administracji, koło piątej wieczorem, zaraz po pracy, i sterczało na nogach, rozmyślając i dyskutując, aż do północy, z rzadka jedynie domagając się od administracji jakiegoś zaświadczenia. Moskwa Czestnowa dowiedziała się o tym ze zdumieniem; nie mogła pojąć, dlaczego ludzie kupili się wokół kooperatywy, wokół biura, zaświadczeń, wokół lokalnych potrzeb niewielkiego szczęścia, aż do samowyniszczenia wśród błahostek, kiedy w mieście były światowe teatry, a w życiu nie zostały jeszcze rozwiązane odwieczne zagadki udręki; nawet u drzwi wejściowych grał wspaniałą muzykę skrzypkę, na którego nikt nie zważał.

Leciwy administrator domu, pracujący wpośród zgiełku ludzi – wśród dymu i rozmaitych problemów – udzielił Czestnowej ścisłej informacji o kompletnym cywilu jako takim: mieszkał w systemie korytarzowym pierwszego piętra, w pokoju numer 4, rencista trzeciej grupy, aktyw społeczny kooperatywy chodził do niego wiele razy – przekonywać go o

konieczności terminowego przerejestrowania się i uregulowania swych spraw wojskowych, a kompletny cywil już od kilku lat obiecywał to zrobić, zamierzając od następnego ranka zużyć cały dzień na formalne potrzeby, ale do tej pory nie wypełnił swojej obietnicy z powodu bezmyślności; jakieś pół roku temu sam administrator odwiedził w tej kwestii kompletnego cywila, nakłaniał go przez trzy godziny, porównywał jego stan z drętwością, marazmem i cielesną niechlujnością, zupełnie jakby nie czyścił zębów, nie mył się i w ogóle ściągał na siebie hańbę w celu krytyki człowieka radzieckiego.

– Nie wiem już, co z nim robić – powiedział administrator. – Jeden taki w całej kooperatywie.

– A czym on się w ogóle zajmuje? – zapytała Moskwa.

– Przecież ci mówiłem: rencista trzeciej grupy, czterdzieści pięć rubli dostaje. No, należy jeszcze do Osodmiłu³, pójdzie, postoi na przystanku tramwajowym, wypisze publice mandaty i znowu wróci do mieszkania...

Moskwie zrobiło się smutno od życia tego rodzaju człowieka i powiedziała:

– Jakie to wszystko niedobre!...

Administrator w pełni się z nią zgodził:

– Dobrego w nim nie ma!... Latem często chodził do parku kultury, ale też na próżno. Ani orkiestry nie posłucha, ani widowisk nie obejrzy, a jak przyjdzie, to usiądzie koło posterunku milicji i przesiedzi tam cały dzień – to trochę porozmawia, to dadzą mu jakieś polecenie: pójdzie, wykona – kocha robotę administracyjną, dobry z niego milicyjny pomagier...

– Jest żonaty? – zapytała Moskwa.

– Nie, ale nijak go określić... Formalnie jest kawalerem, ale wszystkie noce spędza w milczeniu z kobietami, ile już lat z rządu. To jego pryncypialna sprawa, kooperatywa trzyma się tutaj z boku... Ale kobiety przychodzą do niego niekulturalne, nieciekawe, taka jak wy – pierwsza. Nie radzę: człowiek byle jaki...

Moskwa wyszła z zarządu domu. Jak przedtem muzyk stał przy wejściu, niczego jednak nie grał, tylko w milczeniu nasłuchiwał czegoś z nocy. Daleka łuna drżała nad centrum miasta, falując na płynących chmurach, a przywalone ciemnościami niebo odsłaniało się nagle w momentalnym ostrym świetle, błyskającym spod przewodów tramwajowych. W pobliskim klubie lokalnej komunikacji śpiewał chór młodych robotnic, siłą natchnienia przenoszący własne życie w odległe krainy przyszłości. Czestnowa poszła do owego klubu, śpiewała tam i tańczyła, dopóki kierownik, troszcząc się o odpoczynek młodzieży, nie zgasił światła. Wówczas Moskwa zasnęła gdzieś za kulisami sceny na rekwizytach z dykty, objąwszy wedle dziewczynskiego obyczaju tymczasową koleżankę, równie zmęczoną i szczęśliwą, jak ona sama.

5

Zaniedbany i niechlujny za przyczyną ekonomii własnego czasu, Sambikin odczuwał zewnętrzną materię świata jako podrażnienie własnej skóry. Śledził wszechświatowy bieg wydarzeń dniem i nocą, a jego umysł żył w strachu wobec spoczywającej na nim odpowiedzialności za całość szaleńcych losów materii.

Nocami Sambikin długo nie mógł zasnąć, wyobrażając sobie pracę na radzieckiej ziemi, oświetloną teraz elektrycznie. Widział rusztowania, gęsto obite tarcicą, gdzie chodzili bez snu ludzie, umocowując młode deski ze świeżego drewna, aby móc utrzymać się na wysokości, gdzie dmie wiatr i widać, jak noc idzie skrajem świata w postaci resztek zorzy wieczornej.

³ Osodmił – Obszczestwo sodiejstwija miliciji (Towarzystwo Wspierania Milicji – polskim odpowiednikiem byłoby tutaj ORMO).

Sambikin zaciskał ręce z niecierpliwości i radości, a potem zamyślał się nagle w mroku, zaprzestając nawet mrugać oczyma. Wiedział, że tysiące młodych inżynierów, którzy zdali swoją zmianę, także teraz nie śpi, lecz przewraca się niespokojnie w hotelach robotniczych i w nowych domach po całej równinie kraju – inni zaś, którzy ledwie ułożyli się do wypoczynku, już coś mamroczą i stopniowo ubierają się na powrót, aby znowu wyjść na budowę, ponieważ ich umysł zaczynał dręczyć jeden zapomniany za dnia detal, grożący nocną awarią.

Sambikin wstawał z łóżka, zapalał światło i chodził wzburzony, pragnąc natychmiast cokolwiek przedsięwziąć. Włączał radio i słyszał, że muzyki już nie nadają, ale przestrzeń dudni zaalarmowana niczym wyludniona droga, którą chciało się uciec. Wówczas Sambikin dzwonił do kliniki instytutu i pytał, czy są jakieś pilne operacje – on będzie asystował. Tym razem odpowiedziano mu, że jest: przywieziono dziecko z guzem na głowie, który rośnie z minuty na minutę, a chłopczyk traci przytomność.

Sambikin wybiegł na moskiewską ulicę: tramwaje już nie jeździły, po asfaltowych chodnikach dźwięcznie stukwały obcasy kobiet, które wracały do domów z teatrów i laboratoriów albo od ukochanych ludzi. Sambikin, przebierając swoimi długimi nogami, szybko dobiegł do rejonu baumanowskiego, gdzie budowano eksperymentalny instytut medyczny o specjalnym przeznaczeniu. Instytut nie był jeszcze do końca urządzony, pracowały na razie tylko dwa jego oddziały – chirurgiczny i urazowy. Podwórze instytutu zawałone było rurami, deskami, wagonetkami i skrzyniami z wyposażeniem naukowym; parkan dziecięcych rozmiarów, odgradzający budowę od jakiegoś domu mieszkalnego, pochylił się i całkiem zawalił.

Na podwórzu Sambikin usłyszał nagle żałośliwą muzykę, która poruszyła jego serce nie tyle melodią, ile niejasnym wspomnieniem czegoś już przeżytego, co pozostało w zapomnieniu. Zasłuchał się na chwilę; muzykę grano po drugiej stronie nędznego parkanu. Sambikin wlaź na płot i ujrzał postarzałego łysego skrzypka, który grał na odludziu o drugiej w nocy. Sambikin przeczytał napis nad drzwiami wejściowymi domu, obok którego grał muzyk: „Zarząd kooperatywy mieszkaniowej i administracja budynku”. Wyciągnął rubla i chciał dać go muzykowi za jego pracę, skrzypek jednak odmówił. Powiedział, że teraz gra dla siebie, dlatego że jest mu tęskno i spać może dopiero przed świtem, a do świtu jeszcze daleko...

Obok małej sali operacyjnej wisiały już dwa miękkie balony z tlenem i stała starsza siostra dyżurna. W końcu korytarza, w wydzielonym pomieszczeniu-boksie, całkowicie oszklonym od strony korytarza, przygotowywano chore dziecko do operacji – dwie siostry szybko goliły mu głowę. Za lewym uchem chłopczyka, zajmąwszy pół głowy, wyrosła kula wypełniona brunatną ropą i krwią i kula owa przypominała drugą, dziką głowę dziecka wysysającą jego wyczerpujące się życie. Dziecko siedziało na łóżku i nie spało: miało lat siedem. Patrzyło opustoszałymi zamarłymi oczami i nieznacznie podnosiło ręce, kiedy jego serce tłukło się w bólu i męce, nie oczekując ulgi.

W żywej wyobraźni Sambikina z dokładnym wyczuciem pojawiła się choroba dziecka, aż potarł się za uchem, szukając kulistej narośli – drugiej szalonej głowy, w której rozpiera się śmiertelna ropa. Poszedł przygotowywać się do operacji.

Przebierając się i rozmyślając, słyszał szum w swym lewym uchu – to ropa w głowie dziecka rozpuszczała i przeżerała chemicznie ostatnią warstwę kostną chroniącą jego mózgi teraz w świadomości chłopca snuje się już mglista śmierć, życie trzyma się jeszcze pod ochroną kostnej powłoki, ale jej grubość jest nie większa niż ułamek milimetra, a kość wibruje pod ciśnieniem ropy.

– Co on widzi teraz oczyma swej duszy? – pytał sam siebie Sambikin o chorego. – Śni sny, które chronią go przed tą okropnością... Widzi swoje dwie matki, które myją go w wannie, a to dwie siostry strzygą jego włosy. I tylko jednego się boi: dlaczego dwie matki?... Widzi

ukochanego kota, który mieszka w jego pokoju, ale kot wczepił mu się teraz w głowę...

Przyszedł stary chirurg operator, któremu miał pomagać Sambikin. Stary był gotów i zapraszał swego asystenta. Samodzielnie przeprowadzać operacji Sambikinowi jeszcze nie dawano: miał dwadzieścia siedem lat i jego staż chirurgiczny trwał zaledwie drugi rok.

Wszystkie dźwięki w instytucie chirurgicznym starannie likwidowano, do sygnalizacji zaś używano zabarwionych lamp. W pokoju lekarza dyżurnego zapaliły się trzy lampy różnych kolorów i w ślad za tym niemal bezdźwięcznie wykonano kilka rzeczy: po korkowej wykładzinie korytarza przejechał niski wózek na gumowych kółkach i odwiózł chorego do sali operacyjnej; elektromonter przełączył światło elektryczne na zasilanie z baterii akumulatorowych instytutu, aby światło nie było zależne od kaprysów sieci miejskiej, i puścił w ruch aparat tłoczący do sali operacyjnej ozonowane powietrze; drzwi sali otworzyły się bezdźwięcznie i w twarz chorego dziecka wionął orzeźwiający, wonny wiatr ze specjalnego przyrządu – chłopiec otrzymał narkozę i uśmiechnął się, uwolniony od ostatnich śladów cierpienia.

– Mamo, bardzo ciężko zachorowałem, zaraz będą mnie ciąć, ale mnie ani trochę nie boli!
– powiedział i stał się bezradny i obcy samemu sobie. Życie jakby oderwało się od niego i skoncentrowało w odległych i smutnych widzeniach sennych; śnił przedmioty, całą sumę swych doznań – owe przedmioty mknęły obok niego, a on je rozpoznawał – oto zapomniany gwóźdź, który dawno temu trzymał w rękach, teraz gwóźdź zardzewiał, zrobił się stary; oto czarny maleńki piesek, z którym bawił się niegdyś na podwórku – leży martwy w śmieciach z rozbitym szklanym słoikiem na głowie; oto blaszany dach na niskiej szopie, włąził na niego, żeby patrzeć z góry, jest teraz pusty i blacha tęskni za nim, a jego długo nie ma; trwa lato, cień matki kładzie się na ziemi, maszeruje milicja, ale jej orkiestra gra niedosłyszalnie...

Stary chirurg zaproponował Sambikinowi prowadzenie operacji, on zaś będzie asystował.

– Zaczynamy! – powiedział stary w rozświetlonej głuchej sali.

Sambikin ujął ostry, błyszczący instrument i wszedł nim w istotę wszystkich rzeczy – w ciało człowieka. Przeszywająca, błyskawiczna strzała wyszła za oczami z głowy chłopca, pobiegła po jego ciele – śledził ją w wyobraźni – i ugodziła go w serce: chłopiec drgnął, wszystkie przedmioty, które go znały, zapłakały nad nim, a sen jego wspomnień zniknął. Życie zeszło jeszcze niżej i żarzyło się zwyczajną ciemną ciepłotą w swym cierpliwym oczekiwaniu. Sambikin wyczuwał rękami, jak coraz bardziej rozgrzewa się ciało dziecka, i śpieszył się. Spuszczał ropę z otwartej powłoki głowy i docierał do kości – szukał pierwotnych ognisk zakażenia.

– Spokojniej, wolniej! – mówił stary chirurg.

– Proszę podać puls! – zwrócił się do starszej siostry.

– Arytmia, doktorze – odpowiedziała siostra.

– Momentami niewyczuwalny.

– To nic, inercja serca jest zawsze duża – wyrówna się.

– Proszę trzymać mu głowę! – polecił Sambikin siostram. Przystąpił do resekcji fragmentów kostnych, w których kryła się ropa.

Instrument dzwonił jak przy obróbce metalu na zimno, Sambikin szedł w swych ciosach na dotyk – głębiej czy płycej – z niechybnym wyczuciem sztuki; jego oczy zmartwiały bez wilgoci – nie miał kiedy mrugać – blade policzki stały się ciemne od naporu krwi, która przysłała mu na pomoc z głębin serca. Wyciągając kostne sekcje, Sambikin patrzył na nie w świetle lampy, wachał i gniótł, by lepiej się z nimi zapoznać, i przekazywał starszemu chirurgowi; ów obojętnie wrzucał je do naczynia.

Mózg się zbliżał; wycinając kości z czaszki, Sambikin badał je teraz pod mikroskopem i wciąż jeszcze znajdował w nich gniazda streptokoków. W niektórych miejscach głowy dziecka Sambikin doszedł już do ostatniej kostnej płytki chroniącej mózg i oczyścił jej powierzchnię ze śmiertelnego szarego nalotu. Jego ręce działały tak, jakby same myślały i

wyliczały dopuszczalność każdego ruchu. W miarę usuwania streptokoków, stawało się ich mniej, ale Sambikin przechodził na silniejsze mikroskopy, które pokazywały, że liczba ropotwórczych ciałek, szybko się zmniejszając, w całości jednak nie znika. Przypomniawszy sobie słynne równanie matematyczne, wyrażające rozkład ciepła w przecie nieskończonej długości, i przerwał operację.

– Tamponować i bandażować! – polecił, albowiem żeby całkowicie zniszczyć streptokoki, trzeba byłoby posiekać nie tylko całą głowę chorego, ale i całe jego ciało aż po paznokcie na palcach nóg.

Dla Sambikina było jasne, że rozwarte, z tysiącami poprzecinanych ssących naczyń krwionośnych, gorące, bezbronne ciało chorego łapczywie wchłaniało streptokoki zewsząd – z powietrza, a zwłaszcza z instrumentu, którego do czysta wysterylizować nie sposób. Należało już dawno przejść na chirurgię elektryczną – wchodzić w ciało i kości czystym i szybkim, błękitnym płomieniem łuku woltowego – wówczas wszystko, co niesie śmierć, samo będzie zabite, a nowe streptokoki, przeniknąwszy do ran, znajdą w nich wypaloną pustynię, nie zaś pożywne środowisko.

– Skończone! – powiedział Sambikin.

Siostry już przewiązywały głowę chorego. Odwróciły go twarzą do lekarzy.

Ciepło życia, przedzierając się od wewnątrz, różowymi smugami przechodziło przez bladą twarz dziecka i szybko się rozmywało; po czym pojawiała się ponownie i ponownie gasło. Jego oczy były półotwarte i wyschły na tyle, że substancja siatkówki od suchości się zmarszczyła...

– Jest martwy! – powiedział stary lekarz.

– Jeszcze nie – odrzekł Sambikin i pocałował dziecko w zwiędłe wargi. – Będzie żył. Dajcie mu trochę tlenu. Pić nie dawać do rana.

Po wyjściu z kliniki Sambikin spotkał trzęsącą się, drżącą kobietę – matkę dziecka. Nie wpuszczano jej zgodnie z zarządzeniami i z powodu późnej nocy. Sambikin uklonił się jej i polecił wpuścić ją do syna.

Zapalał się ranek. Sambikin popatrzył przez parkan na sąsiednią kooperatywę mieszkaniową, wszędzie było pusto, skrzypek poszedł spać. Z drzwi wyszedł człowiek skromnej powierzchowności z pomarszczoną, zużytą latami i trudnościami kobietą. Jej towarzysz z przekonaniem wyznawał miłość; Sambikin mimochodem wsłuchał się w jego głos – w głosie tym brzmiał ciemny serdeczny smutek i to czyniło go wzruszającym, chociaż człowiek mówił banały i głupstwa.

– A jak będzie wojna, to mnie rzucisz – nieśmiało oponowała kobieta.

– Ja? Nie, w żadnym razie! Jestem ostatnia kategoria, nie podlegam służbie wojskowej, prawie nikt... Chodźmy, legniemy za szopą, poleżymy, dusza znowu cierpi.

– Czyżbyś mnie w pokoju nie dokochała? – szczęśliwie zdziwiła się kobieta.

– Nie za bardzo – powiedział kompletnie cywilny kochanek. – Serce jeszcze boli, nie ochłonęło.

– Patrzajcie go, jaki hamlet! – uśmiechnęła się kobieta. – I zdrowia mu nie szkoda!

Była teraz dumna, że podoba się i pociąga mężczyzn. Kompletny cywil skulił się od porannego chłodu w swym wytartym i znużonym palcie i pośpieszył pod rękę z kobietą, najwyraźniej pragnąc jak najszybciej uporać się ze wszystkim...

Sambikin ruszył po Moskwie. Dziwno mu było i nawet smutno oglądać puste przystanki tramwajowe, martwe czarne numery tras na białych tablicach – razem z tramwajowymi słupami, chodnikami i zegarem elektrycznym na placu tęskniły za wieloludziem.

Sambikin zamyślił się, wedle swego obyczaju, nad życiem materii – nad samym sobą; sam do siebie odnosił się jak do zwierzęcia doświadczalnego, jak do cząstki świata, która dostała mu się, by zbadać całość i wszystko, co niewiadome.

Myślał zawsze i nieprzerwanie, jego dusza natychmiast stawała się chora, jeśli Sambikin

zatrzymywał się w myśleniu, więc znowu pracował nad konstrukcją świata w głowie, gwoli przekształcenia go. W nocy śniły mu się jego rozpadające się myśli, a on na próżno poruszał się w łóżku, usiłując przypomnieć sobie ich dzienny porządek, męczył się i budził, ciesząc się na poranne światło i przywróconą jasność umysłu. Jego długie, wyschłe ciało, dobre i duże, zawsze głośno żyło i oddychało, zupełnie jakby ów człowiek zawsze był złąkniony – nieustannie chciał jeść i pić, a jego ogromna twarz przypominała zmartwione zwierzę i tylko jego nos był na tyle wielki i obcy nawet na ogromnej twarzy, że zaświadczał o dobrośliwości wszystkich przejawów charakteru.

Sambikin przyszedł do domu, kiedy już było widno, kiedy letni wielki poranek płonął na niebie tak potężnie, że Sambikinowi wydawało się – światło grzmi. Zadzwoił do instytutu, powiedziano mu, że operowane dziecko śpi dobrze, temperatura opada, jego matka także zasnęła w drugim łóżku. Przemyślawszy całą dzisiejszą operację i wszystkie pozostałe problemy, Sambikin poczuł swoje stęsknione, opustoszałe serce – trzeba mu było znowu podjąć działanie, żeby uzyskać materiał do rozmyślań i uspokoić niejasny i łapczywy, wrażliwy krzyk w duszy. Spał mało, najlepiej po dużej pracy, wtedy i sny z wdzięczności go opuszczały. Teraz działał niedostatecznie, rozum w głowie nie mógł się zatrzymać i chciał jeszcze pracować, odrzucając sen. Sambikin tłukł się bezradnie po pokoju, po czym poszedł do łazienki, rozebrał się tam i ze zdziwieniem obejrzał swoje ciało młodzieńca, następnie coś wymamrotał i włożył do zimnej wody. Woda ukoiliła go, ale tu zrozumiał nagle, na ile człowiek jest jeszcze chałupniczo, słabo urządzoną istotą – nie więcej niż bezkształtny zarodek i projekt czegoś bardziej rzeczywistego – i ile trzeba jeszcze pracować, aby rozwinąć z tego zarodka uskrzydłony, wyższy obraz, pogrzebany w naszym marzeniu...

6

Wieczorem w rejonowym klubie komsomołu zebrali się młodzi uczeni, inżynierowie, lotnicy, lekarze, pedagodzy, artyści, muzycy i robotnicy nowych fabryk. Nikt nie miał więcej niż dwadzieścia siedem lat, ale wszyscy stali się słynni na cały swój kraj – w nowym świecie – i wszystkim było trochę wstyd od wczesnej sławy, a to przeszkadzało żyć. Leciwi pracownicy klubu, którzy zmarnowali swoje życie i talent w nieudanych czasach burżuazyjnych, ze skrywanymi westchnieniami wewnętrznego ubóstwa porządkowali meblowe wyposażenie w dwóch salach – jednej na posiedzenia, drugiej na dyskusje i poczęstunek.

Jako jeden z pierwszych przyszedł dwudziestoczteroletni inżynier Sielin z komsomołką Kuźminą, pianistką, nieustannie zadumaną od naporu muzyki.

– Chodźmy coś przetrącić! – powiedział do niej Sielin.

– Przetrąćmy – zgodziła się Kuźmina.

Poszli do bufetu; tam Sielin, różowy tęgi żarłok, zjadł za jednym zamachem osiem kanapek z kiełbasą, Kuźmina zaś wzięła sobie tylko dwa ciasteczka; żyła dla gry, a nie dla trawienia.

– Sielin, dlaczego tak dużo jesz? – zapytała Kuźmina. – Może to i dobrze, ale wstyd na ciebie patrzeć!

Sielin jadł z rozdrażnieniem, przeżuwał, jakby orał – z uporczywym trudem, z gorliwością w swych obydwu niezawodnych szczękach.

Wkrótce nadeszło jednocześnie dziesięcioro ludzi: podróżnik Gołowacz, mechanik Siemion Sartorius, dwie dziewczyny przyjaciółki – obydwie hydrauliczki, kompozytor Lewczenko, astronom Sicylin, meteorolog lotniczy Wieczkin, konstruktor stratosferycznych samolotów Muldbauer, elektrotechnik Guńkin z żoną – ale tuż za nim dały się słyszeć głosy i

przyszło jeszcze trochę ludzi. Wszyscy już się ze sobą znali – z pracy, ze spotkań, ze słyszenia.

Dopóki nie zaczęło się posiedzenie, każdy oddał się własnym przyjemnościom – ten towarzystwu, ów jedzeniu, inny kwestiom nie rozwiązanych problemów, jeszcze inny muzyce i tańcom. Kuźmina znalazła niewielki pokój z nowym fortepianem i z upojeniem grała tam dziewiątą symfonię Beethovena – wszystkie części, jedna po drugiej, z pamięci. Ścisnęło jej się serce od głębokiej wolności i uduchowionej myśli tej muzyki i od egoistycznego smutku, że ona tak komponować nie potrafi. Elektrotechnik Guńkin słuchał Kuźminy i myślał o wysokiej częstotliwości elektryczności, która przestrzeliwuje kosmos na wylot, o pustce wysokiego groźnego świata, który wsysa ludzką świadomość... Muldbauer widział w muzyce wyobrażenie odległych lekkich sfer powietrza, gdzie znajduje się czarne niebo, a na nim wisi wiecznie świecące Słońce w martwym żarze swego blasku, gdzie – daleko od ciepłej mętnozielonej Ziemi – zaczyna się prawdziwy poważny wszechświat: niema przestrzeń z rzadka płonąca sygnałami gwiazd – na znak, że droga od dawna wolna i otwarta... Szybciej by skończyć z ciężką krzątaniną na Ziemi i niechaj tenże sam stary Stalin skieruje wartość i napór ludzkiej historii poza granicę siły ciężenia – w celu intensywnej edukacji Ziemi, w celu wielkiego wyedukowania rozumu w heroizmie od dawna przeznaczonych mu działań.

Nieco później przyszła Moskwa Czestnowa i w milczeniu uśmiechała się z radości, że spotkała swoich towarzyszy i słucha muzyki, pobudzającej jej życie do wypełnienia wyższych przeznaczeń.

Najpóźniej ze wszystkich w klubie pojawił się chirurg Sambikin; dopiero co był w klinice instytutu i osobiście zmieniał opatrunek operowanemu przez siebie chłopcu. Przyszedł zgębiony ułomnością urzędnika ludzkiego ciała, zamykającego w swoich kościach znacznie więcej cierpienia i śmierci niż życia i ruchu. I dziwnie było Sambikinowi mieć dobre samopoczucie – przy napięciu wywołanym troską i odpowiedzialnością. Cały jego umysł był przepełniony myślą, serce biło spokojnie i pewnie, nie domagał się lepszego szczęścia – a jednocześnie robiło mu się wstyd, kiedy uświadamiał sobie to swoje skryte zadowolenie... Chciał już wyjść z klubu, aby popracować nocą w instytucie nad swoim studium o śmierci, gdy nagle ujrzał przechodzącą Moskwę Czestnową. Niejasny powab jej powierzchowności zdumiał Sambikina; zobaczył świetliste uduchowanie, skryte za skromnością, a nawet nieśmiałością oblicza. Rozległ się dzwonek rozpoczynający zebranie. Wszyscy wyszli z pokoju, gdzie znajdował się Sambikin, jedynie Czestnowa zatrzymała się, poprawiając pończochę na nodze. Kiedy uporała się z pończochą, ujrzała samotnego Sambikina, który na nią patrzył. Ze skrzepowania i niezręczności – żyć na tym samym świecie, robić to samo i nie znać się – ukłoniła mu się. Sambikin podszedł do niej i ruszyli razem wziąć udział w zebraniu.

Usiedli obok siebie i w powodzi przemówień, glorii i adresów pochwalnych Sambikin wyraźnie słyszał pulsowanie serca w piersi Moskwy.

Zapytał ją szeptem na ucho:

– Dlaczego serce tak wam stuka?... Ja je słyszę!

– Chce latać, to się i tłucze – z uśmiechem wyszeptała Moskwa do Sambikina. – Jestem przecież spadochroniarką!

„Ludzkie ciało latało w jakichś zamierzonych zagubionych tysiącletniach – pomyślał Sambikin. – Klatka piersiowa człowieka przypomina zwinięte skrzydła”.

Pomacał swą rozgrzaną głowę – tam także coś się tłukło, pragnąc wylecieć z ciemnej samotnej ciasnoty.

Po zebraniu nadszedł czas wspólnej kolacji i rozrywek. Młodzi goście rozeszli się po wielu pomieszczeniach, zanim zasiedli do wspólnego stołu.

Mechanik Sartorius zaprosił Moskwę Czestnową do tańca, więc poszła z nim wirować, z ciekawością przypatrując się wielkiemu krągłemu obliczu znakomitego wynalazcy w

dziedzinie przemysłu precyzyjnego, inżyniera projektanta o światowej renomie. Sartorius obejmował Moskwę mocno, tańczy! ciężko i nieśmiało się uśmiechał, ujawniając swój konwulsyjny pociąg do Moskwy. Moskwa zaś patrzyła na niego jak zakochana – szybko oddawała się swojemu uczuciu i nie odgrywała kobiecej polityki obojętności. Podobał jej się ów mało interesujący człowiek, niższy od niej, z dobrym posępnym obliczem, który nie przetrzymał swego serca i poważył się na ostateczną dla siebie śmiałość – zbliżył się do kobiety i zaprosił ją do tańca. Najwyraźniej jednak wkrótce mu się to sprzykrzyło, jego ręce już przywykły do ciepła ciała Moskwy, płonącego pod lekką sukienką, bo zaczął coś mamrotać. Moskwa zaś, usłyszawszy coś takiego, natychmiast się obraziła:

– Tu mnie niby obejmuje, niby ze mną tańczy, a myśli o czymś zupełnie innym! – powiedziała.

– Ja tylko tak – odrzekł Sartorius.

– Zaraz mi tu mówcie, co – tylko tak! – nachmurzyła się Moskwa i przestała tańczyć.

Sambikin z wichrem przemknął obok nich – on także tańczył, przypiawszy się do jakiejś komsomołki o wielce przyjemnym wyglądzie. Moskwa uśmiechnęła się do niego:

– Czyżbyście i wy tańczyli? Ale z was dziwak!

– Trzeba żyć wszechstronnie! – szybko odparł jej Sambikin.

– Macie na to ochotę? – zawołała do niego Moskwa.

– Nie, tylko udaję! – odrzekł Sambikin. – To teoria!

Komsomołka, nadąsawszy się, natychmiast porzuciła Sambikina, a on się roześmiał.

– No, mówcie szybciej! – z udawaną surowością Moskwa zwróciła się do Sartoriusa.

„Czyżby była głupia? Szkoda!” – pomyślał Sartorius. Tutaj podszedł do nich meteorolog Wiczkin, po nim Sambikin i Sartorius nie zdążył Moskwie niczego odpowiedzieć. Spotkali się dopiero po upływie godziny – przy wspólnej kolacji.

Duży stół był nakryty dla pięćdziesięciu osób. Kwiaty, które wydawały się pochłonięte swym pięknem, były rozstawione co pół metra i wydzielaly przedśmiertny zapach. Żony konstruktorów i młode kobiety inżynierki ubrane były w najlepszy jedwab republiki – rząd upiększał najlepszych ludzi. Moskwa Czestnowa była w herbacianej sukience, ważącej wszystkiego trzy, cztery gramy i uszytej tak kunsztownie, że nawet pulsowanie naczyń krwionośnych Moskwy zaznaczało się falowaniem jej jedwabiu. Wszyscy mężczyźni, nie wyłączając niedbałego Sambikina i zarośniętego, smętnego Wiczkina, przyszli w garniturach z delikatnego materiału, prostych i drogich; ubierać się źle i brudno byłoby wytykaniem biedy krajowi, który żywił i odziewał obecnych swym wyselekcjonowanym dobrem, sam wzrastając na sile i naporze tej młodości, na jej pracy i talencie.

Niewielka komsomolska orkiestra grała na balkonie za otwartymi drzwiami krótkie utwory. Rozległe powietrze nocy wchodziło przez drzwi balkonowe do sali i kwiaty na długim stole oddychały i silniej pachniały, jakby odżyły w utraconej ziemi. Wiekowe miasto szumiało i rozjaśniało się światłem niczym nowa budowa, niekiedy śmiech i głos przechodnia docierał tutaj, do klubu, i Czestnowej Moskwie chciało się wyjść i zaprosić wszystkich na kolację: tak czy owak socjalizm nadchodzi! Chwilami było jej tak dobrze, że pragnęła porzucić jakoś samą siebie, swoje ciało i sukienkę, by stać się innym człowiekiem – żoną Guńkina, Sambikinem, kompletnym cywilem, Sartoriusem, kołchoźnicą na Ukrainie...

Żyrandole fabryki „Elektroaparat” bladą i subtelną energią spowijały ludzi i bogaty wystrój; lekka wstępna przekąska stała na stole, a główne dania podgrzewały się jeszcze gdzieś daleko w kuchennych ostępach.

Zebrani, którzy byli piękni z natury lub za sprawą entuzjazmu i nie zużytej młodości, długo wybierali sobie miejsca, szukając najlepszego sąsiedztwa, by koniec końców chcieć zasiąść w pobliżu wszystkich naraz.

I wreszcie, kiedy usiedli, trzydzieści osób, ich wewnętrzne żywe zasoby, pobudzając się wzajemnie, umnożyły się i zrodził się pośród nich pospólny geniusz życiowej szczerości i

szczęśliwego współzawodnictwa w mądrej życzliwości. Lecz ostro nastrojony takt wzajemnych stosunków, nabyty w trudnej technicznej kulturze, gdzie zwycięstwo nie przychodzi dzięki dwuznacznej grze – ów takt postępowania nie dopuszczał ani głupoty, ani sentymentalizmu, ani zarozumiałstwa. Obecni wiedzieli lub domyślali się posępnych rozmiarów natury, rozciągłości historii, długości przyszłych czasów i rzeczywistej skali własnych sił; byli racjonalnymi praktykami, niewrażliwymi na puste iluzje.

Bardziej niż inni niecierpliwa i szalona była Moskwa Czestnowa. Wypiła, na nikogo nie czekając, szklankę wina i poczerwieniała z radości i nieprzyzwyczajenia. Sartorius spostrzegł to i uśmiechnął się do niej swym nieregularnym szerokim obliczem, przypominającym wiejską okolicę. Nazwisko jego ojca brzmiało nie Sartorius, ale Żujboroda, a matka chłopka nosiła go w swych trzewiach razem z ciepłym przeżutym żytnim chlebem.

Sambikin także obserwował Moskwę i rozmyślał nad nią: kochać by mu ją czy też raczej nie; ogólnie biorąc była ładna i niczyja, ile jednak myśli i uczucia należałoby wypędzić ze swego ciała i serca, aby pomieścić tam przywiązanie do tej kobiety? A poza tym tak czy owak Czestnowa nie będzie mu wierna i nie może nigdy zamienić całego zgiełku życia na szept jednego człowieka.

„Nie, kochać jej nie będę i nie mogę! – raz na zawsze postanowił Sambikin. – Tym bardziej że przyjdzie jakoś tam psuć jej ciało, a mnie szkoda, i udawać dniem i nocą, że jestem wspaniały... Nie chcę, trudno!” Zatracił się w ciągach swoich rozmyślań, wyrzuciwszy z pamięci wszystkich obecnych. Obecni zaś, jakkolwiek siedzieli przy obfitym i smacznym stole, jedli mało i po trochu, żalowali cennej strawy, zdobytej przez kołchoźników pracą i cierpliwością, pośród klęsk walki z przyrodą i wrogiem klasowym. Jedynie Moskwa Czestnowa zapamiętała się i jadła, i piła jak drapieżnica. Mówiła różne głupstwa, kpiła z Sartoriusa i czuła wstyd, przekradający się do serca z jej kłamliwego, pospolitego umysłu, smętnie uświadamiającego sobie swoją sromotną próżnię. Nikt nie obraził Czestnowej i nie powstrzymał jej, dopóki nie przesiliła się i nie zamilkła sama. Sambikin wiedział, że głupota to naturalny wyraz zbłąkanego uczucia, które nie znalazło jeszcze swego celu i pasji, Sartorius zaś lubował się Moskwą niezależnie od jej zachowania; kochał ją już jako wcielenie prawdy i poprzez swą radość widział ją niejasno i niepewnie.

Pośród ludzkiego rozgwaru i późnego już wieczoru do sali wszedł niepostrzeżenie Wiktor Wasiljewicz Bożko i usiadł przy ścianie w fotelu, nie chcąc być zauważonym. Ujrzał zaczerwienioną, wesołą Moskwę Czestnową i zadrżał z lęku przed nią. Do niej zaś zbliżył się jakiś młody uczonek człowiek i zaśpiewał nad nią:

*Ty chodzisz pijana,
Tyś zbladła jak ściana,
Ty moja, ty miła,
Wierna i kochana...*

Moskwa, usłyszawszy to, zasłoniła twarz rękami i nie wiadomo – zapłakała czy zawstydzona się. Sartorius w tym momencie sprzeczał się z Wieczkinem i Muldbauerem; Sartorius dowodził, że po człowieku klasowym na Ziemi żyć będzie wzniosła techniczna istota praktycznie, poprzez pracę odczuwająca cały świat... Starożytni ludzie, którzy rozpoczęli historię, także byli istotami technicznymi; greckie miasta, porty, labirynty, nawet góra Olimp – zostały wzniesione przez cyklopów, jednookich robotników, którym starożytni arystokraci wydłubali po jednej źrenicy – na znak, że jest to proletariat, skazany na budowanie krajów, siedzib dla bogów i statków dla mórz, i że dla jednookich nie ma ratunku. Minęło trzy lub cztery tysiące lat, sto pokoleń, i potomkowie cyklopów wyszli z mroków historycznego labiryntu na światło natury, utrzymali przy sobie szóstą część Ziemi, a cała pozostała część żyje jedynie w oczekiwaniu na nich. Nawet bóg Zeus najpewniej był ostatnim cyklopem, który pracował przy usypywaniu olimpijskiej góry, mieszkał w chacie na szczycie

i ocalał w pamięci antycznego arystokratycznego plemienia; burżuazja tych zamierzchłych czasów nie była głupia – zmarłych wielkich robotników wciągała do rejestru bogów, albowiem w skrytości nie mogła się nadziwić, nie będąc w stanie pojąć twórczości bez rozkoszy, że zmarli posiadali wyższą władzę – pracowitość i ducha pracy – technikę.

Sartorius stanął na nogi i ujął czarkę z winem. Miernego wzrostu, ze zwyczajną, ciepłą od życia twarzą, przejęty mózgową wizją, był szczęśliwy i ujmujący. Czestnowa Moskwa zapatrzyła się na niego i postanowiła gdzieś się z nim pocałować. Wyrzekł pośród swych zamilkłych towarzyszy:

– Wypijmy za bezimiennych cyklopów, za pamięć wszystkich naszych zmarłych, zamęczonych ojców i za technikę – prawdziwą duszę człowieka!

Wszyscy natychmiast wypili, a muzycy zagrali starą pieśń do wiersza Jazykowa:

*Tam za szanćem niepogody Błogosławiona kraina,
Nie gaśnie tu nieba równina,
Trwają ciszy gody.*

Bożko siedział pokornie i niepostrzeżenie; cieszył się bardziej niż uczestnicy wieczoru, wiedział, że niepogoda przechodzi, a błogosławiona kraina leży za oknem oświetlona gwiazdami i elektrycznością. Oszczędnie, milkliwie kochał tę krainę i podnosił każdą okruszynę, która odpadła od jej dobra, aby kraina zachowała się nienaruszona.

Podano obfitą kolację. Zaczęto ją z namaszczeniem kosztować, Siemion Sartorius jednak nie mógł już niczego ani jeść, ani pić. Męka miłości do Czestnowej Moskwy natychmiast zajęła się w całym jego ciele i w sercu, tak że z wysiłkiem oddychał, jakby zrobiło mu się niewygodnie w piersi. Moskwa z oddali zagadkowo uśmiechała się do niego, jej tajemnicze życie docierało do Sartoriusa ciepłem i lękiem, a jej bystre oczy patrzyły na niego nieuważnie, jak na pierwszy lepszy fakt. „Ech, fizyko podła! – Sartorius rozumiał swoją sytuację. – I cóż mi teraz robić oprócz głupstwa i osobistego szczęścia!”

Miejaska noc świeciła się w zewnętrznych ciemnościach, podtrzymywana wysiłkiem odległych maszyn; rozedrgane powietrze, nagrzane przez miliony ludzi, smutkiem przenikało do serca Sartoriusa. Wyszedł na balkon, popatrzył na gwiazdy i wyszeptał stare słowa, przyswojone ze słyszenia: „Boże mój!”

Sambikin wciąż siedział przy stole, nie tykając jedzenia; pogrążony był w swoich przemyśleniach, wybiegających poza jutrzejszy ranek, i mętnie, jak w nadmorskiej mgle, widział przyszłą nieśmiertelność. Chciał wydobyć długotrwałą siłę życia, a może nawet jego wieczność z trupów padłych istot. Kilka lat wcześniej, grzebiąc w martwych ciałach ludzi, pobrał niewielkie wycinki z serca, z mózgu i z gruczołów płciowych. Sambikin zbadał je pod mikroskopem i spostrzegł na wycinkach jakieś osłabłe ślady niewiadomej substancji. Później, poddając owe niemal zatarte ślady badaniom na reakcje chemiczne, na przewodnictwo elektryczne i na działanie światła, odkrył, że niewiadoma substancja dysponuje kipiącą energią życia, ale występuje tylko we wnętrzościach martwych, w żywych jej nie ma, w żywych gromadzą się piętna śmierci – na długo przed zagładą. Sambikin popadł wówczas na całe lata w zakłopotanie, a i teraz jeszcze ono nie minęło: trup, okazuje się, jest rezerwuarem najbardziej uporczywego, nieustępliwego życia, jakkolwiek na krótki czas. Badając dokładniej i rozmyślając niemal bez przerwy, Sambikin zaczął dochodzić do tego, że w momencie śmierci w ciele człowieka otwiera się jakaś tajemna śluza i stamtąd rozlewa się po organizmie szczególna wilgoć, trująca dla śmiertelnych jądów, zmywająca proch wyczerpania, pieczołowicie chroniona przez całe życie, aż do krańcowego zagrożenia. Gdzie jednak znajduje się ta śluza w mrokach, w cielesnych rozpadlinach człowieka, która oszczędnie i pewnie przechowuje ostatni ładunek życia? Tylko śmierć, kiedy rozpełza się po ciele, zrywa ową pieczęć z rezerwowego, skondensowanego życia, które rozlega się wewnątrz człowieka niczym niecelny wystrzał i pozostawia niewyraźne ślady na jego martwym sercu.

Świeży trup jest cały naznaczony śladami tajemniczej zmarłej substancji i każda cząstka nieboszczyka zawiera w sobie siłę tworzącą dla tych, którzy ocaleli, by żyć. Sambikin zamierzał przekształcić martwych w siłę, dającą żywym długowieczność i zdrowie. Doceniał dziewiczość i potęgę owej niemowlęcej wilgoci, która obmywa wewnątrz człowieka w chwili jego ostatniego tchnienia; owa wilgoć, zaaplikowana żywemu, ale steranemu człowiekowi, zdolna jest uczynić go prostym, twardym i szczęśliwym...

Sartorius stał długo; wszystko teraz było dla niego nie rozstrzygnięte i postronne. Obcy ludzie jechali tramwajem, a odgłosy jazdy i rozmów docierały do uszu Sartoriusa jakby z wielkiej oddali; słuchał ich bez zainteresowania i zaciekawienia, jak ktoś chory i samotny. Zapragnął natychmiast pójść do domu, położyć się pod kołdrą i rozgrzać swój nagły ból na tyle, aby pofolgował do rana, kiedy znowu przyjdzie iść [do pracy]⁴.

Za jego plecami rówieśnicy rozkoszowali się swoimi sukcesami i marzeniami o technicznej przyszłości. Muldbauer opowiadał o warstwie atmosfery na wysokości gdzieś między pięćdziesięciu a stu kilometrami; panują tam takie elektromagnetyczne, świetlne i temperaturowe warunki, że żaden żywy organizm nie wyczerpie się i nie umrze, lecz będzie zdolny do istnienia wiecznego pośród fioletowej przestrzeni. Było to „Niebo” ludzi głębokiej przeszłości i szczęśliwa kraina ludzi przyszłych: za dałą nisko rozpościerającej się niepogody rzeczywiście znajduje się błogosławiona kraina. Muldbauer przepowiadał bliski podbój stratosfery i dalszą penetrację granatowych wysokości świata, gdzie leży powietrzna kraina nieśmiertelności; wówczas człowiek uzyska skrzydła, Ziemia zaś przypadnie w spadku zwierzętom i ponownie zarośnie na zawsze ostępami swej odwiecznej dziewiczości. „I zwierzęta to wyczuwają! – z przekonaniem mówił Muldbauer. – Kiedy patrzę im w oczy, to wydaje mi się, że myślą: kiedy to się skończy, kiedy wreszcie nas zostawicie! Zwierzęta myślą: kiedy ludzie zostawią je same dla ich własnego losu!”

Sartorius uśmiechnął się z przymusem; chciałby teraz pozostać na samym dole Ziemi, umieścić się choćby w pustym grobie i nierozłącznie przeżyć z Moskwą Czestnową życie do śmierci. Jednakże żał mu było pozostawiać bez własnej odpowiedzi owe nocne gwiazdy, które od dzieciństwa spoglądały na niego, być nieczułym na powszechne życie, wypełnione pracą i poczuciem zbliżenia między ludźmi, bał się iść po mieście niemo, z pochyloną głową, ze skoncentrowaną samotną myślą o miłości i nie chciał stać się obojętny na własny stół, zapchany ideami w wykresach, na własne żelazne przeleżane łóżko, na lampę na biurku, ciepłego świadka w mroku i w ciszy przepracowanych nocy... Sartorius gładził pierś pod koszulą i powtarzał sobie: „Odejdź, zostaw mnie znowu samego, paskudny żywiole! Jestem zwykłym inżynierem i racjonalistą, odrzucam cię jako kobietę i miłość... Lepiej już będę składał hołd atomowemu pyłowi i elektronowi!” Lecz świat, rozpościerający się przed jego oczyma ogniem i zgiełkiem, już zamierał w swoich dźwiękach, już przekraczał ciemny próg jego serca i pozostawiał po sobie żywą tylko jedną jedyną, najbardziej wzruszającą istotę pod słońcem. Czyżby miał odrzucić ją, aby złożyć hołd atomowi, pyłowi i prochowi?

Moskwa Czestnową wyszła do Sartoriusa na balkon. Powiedziała mu z uśmiechem:

– Dlaczego jesteście taki smutny... Kochacie mnie czy nie?

Dyszała na niego ciepłotą uśmiechających się ust, jej sukienka szeleściła – zły męski ból ogarnął Sartoriusa. Odpowiedział:

– Nie. Zakochany jestem w innej Moskwie – w mieście.

– To nic takiego – chętnie pogodziła się z tym Moskwa. – Chodźmy na kolację. Najwięcej ze wszystkich zjada tam towarzysz Sielin... Objadł się cały, siedzi czerwony, a oczy wciąż ma smutne. Nie wiecie dlaczego?

– Nie – cicho odrzekł Sartorius. – Ja sam także jestem smutny...

Moskwa przyjrzała się w mroku jego nieproporcjonalnej twarzy – z otwartych oczu

⁴ Słowa przekreślone ręką autora.

płynęły po niej łzy.

– Lepiej nie płaczcie – powiedziała Moskwa. – Ja też was kocham...

– Kłamiecie – nie uwierzył Sartorius.

– Nie, to prawda – absolutnie tak! – zawołała Czestnowa. – Chodźmy stąd jak najszybciej...

Kiedy przechodzili pod rękę wśród świętujących przyjaciół, Sambikin popatrzył na nich swymi oczyma, które zapomniały mrugać i przeniosły się w odległą od osobistego szczęścia stronę. Przed wyjściem, tuż u piersi Moskwy znalazł się Bożko i z szacunkiem przedłożył swą cierpliwą prośbę. Czestnowa tak się nań ucieszyła, że pochwyciła ze stołu kawałek tortu i natychmiast go ugościła.

Wiktor Wasiljewicz pracował teraz w truście wag i urządzeń pomiarowych i całkowicie pochłaniała go troska o wagi i odważniki. Poprosił Moskwę Iwanownę, by poznała go z jakimś znamienitym inżynierem, który mógłby wynaleźć prostą i dokładną wagę, którą można by wykonać tanio dla wszystkich kołchozów i sowchozów, i dla radzieckiego handlu. Zaraz potem Bożko opowiedział, nie widząc smutku Sartoriusa, o wielkich acz nudo zauważalnych plagach gospodarki narodowej, o dodatkowych trudnościach socjalizmu w kołchozach, o spadku ilości roboczodni, o kułackiej polityce rozwijającej się w oparciu o niedokładność odważników, o masowym, jakkolwiek nie zamierzonym oszukiwaniu robotniczego konsumenta w kooperatywach i w punktach sprzedaży na kartki... A wszystko to dzieje się z racji wysłużonego państwowego taboru wag, ich przestarzałej konstrukcji i braku metalu i drewna na produkcję nowych wagowych urządzeń.

– Proszę mi wybaczyć, że przyszedłem tutaj z musu – mówił Bożko. – Wiem, że się naprzykrzam. Tutaj mówiono, że człowiek wkrótce będzie latał i będzie szczęśliwy. Zawsze z przyjemnością tego posłucham, ale na razie potrzeba nam niewiele... Trzeba w kołchozach zboże i kaszę ważyć prawidłowo.

Moskwa uśmiechnęła się do niego z łagodnością swego zmiennego nastroju:

– Jesteście wspomniałem, radzieckim naszym człowiekiem!... Sartorius, idźcie zaraz jutro do ich trustu, zróbcie im rysunek techniczny najtańszej i najprostszej wagi – i żeby była dokładna!

Sartorius zamyślił się.

– To trudne – przyznał. – Łatwiej udoskonalić parowóz niż wagę. Wagi działają już od tysięcy lat... To tak, jakby wynaleźć nowe wiadro na wodę. Ale przyjdę do waszego trustu i pomogę wam, jeśli potrafię.

Bożko podał adres swej instytucji i poszedł szczęśliwy do swego pokoiku, gdzie oczekiwał go powszedni trud ogólnoswiatowej korespondencji.

7

Dojechali za miasto niemal ostatnim tramwajem i z powrotem nie mogli już wrócić. Odległą elektryczną lunę nieboskłon odbijał z powrotem na ziemię, tak że osłabła do ostateczności poświata docierała do tutejszych żytnich łanów i kładła się na ich kłosach niczym wczesna, niepewna zorza. Trwała jednak jeszcze głęboka noc.

Czestnowa Moskwa zdjęła pantofle i ruszyła boso po polnym mięszu. Sartorius obserwował ją ze strachem i radością; cokolwiek by teraz robiła, wszystko wprowadzało jego serce w drżenie i lękał się rozwijającego się w nim trwożnego i niebezpiecznego życia. Szedł za nią, wciąż mimochodem odstając, i jednocześnie myślał o niej, ale z takim wzruszeniem, że gdyby Moskwa przysiadła się wysiusiać, Sartorius by się rozpłakał.

Czestnowa dała mu do poniesienia pantofle, a on ukradkiem ob wachał je i nawet dotknął

językiem; teraz Moskwa Czestnowa i wszystko, co jej dotyczyło, nawet najbardziej nieczyste, nie wywoływało w Sartoriusie żadnej odrazy – na jej odchody mógłby patrzeć z najwyższym zainteresowaniem, bowiem odchody niedawno także składały się na część wspaniałego człowieka.

– Towarzyszu Sartorius, i cóż my teraz będziemy robić? – zapytała Moskwa. – Przecież noc wciąż trwa i wkrótce opadnie rosa...

– Nie wiem – ponuro odrzekł Sartorius. – Na pewno przyjdzie mi was kochać.

– Kołchoz śpi w parowie – wskazała Czestnowa w dal. – Pachnie tam teraz zbożem i dzieciaki posapują w stodołach. A krowy leżą gdzieś na wygonie i zaczyna się nad nimi unosić mgła świtu... Jakże ja lubię to wszystko widzieć i żyć!

Sartoriusowi jednak były teraz obojętne wszystkie krowy i posapujące przez sen dzieci. Chciał nawet, żeby ziemia opustoszała, tak by Moskwa nie rozpraszała na nic swej uwagi, lecz bez reszty skoncentrowała się na nim.

Nad ranem Moskwa i Sartorius usiedli w dole po geometrach, zarosłym ciepłym burzanem, który ukrył się tutaj przed uprawnymi polami jak kułak na chutorze.

Sartorius ujął Czestnową za rękę; natura – wszystko, co strumieniem myśli przepływało przez umysł, co gnało serce naprzód – zawsze nieznanne i pierwotne – i odsłaniało się przed spojrzeniem rosnącą trawą, jedynymi dniami życia, rozległym niebem, bliskimi twarzami ludzi – teraz owa natura zamknęła się dla Sartoriusa w jednym ciele i kończyła się na brzegu sukienki, na końcach bosych nóg.

Całą swoją młodość Sartorius spędził na studiowaniu fizyki i mechaniki; pracował nad wyliczeniem nieskończoności jako ciała, usiłując znaleźć ekonomiczną zasadę jej działania. Pragnął odkryć w głównym nurcie ludzkiej świadomości myśl, która pracuje w zgodnym rytmie z naturą i dlatego oddaje całą jej istotę – choćby z racji prostej przypadkowości, i tę myśl miał nadzieję zamknąć na wieki w formule rachunkowej. Teraz jednak nie uświadamiał sobie żadnej myśli, bowiem do jego głowy wzniosło się serce i biło tam nad oczyma. Sartorius pogładził rękę Moskwy, twardą i pełną jak rezerwuuar oszczędnego, ciasno upakowanego uczucia.

– Siemionie, i czegoż wy chcecie ode mnie?

– pokornie zapytała Czestnowa, gotowa na dobroć.

– Chcę się z wami ożenić – powiedział Sartorius. – Już więcej nie wiem, czego chceć.

Moskwa zamyśliła się i zjadła młodymi łąpczywymi ustami źdźbło burzanu.

– Bo i prawda, że więcej nie ma czego chceć, kiedy się kocha. Ale mówią, że to głupie!

– Niech mówią – mrocznie wyrzekł Sartorius.

– Tylko tak mówią, a sami na pewno nie kochają... Co na to począć, kiedy bez ciebie się męczę!

– To obejmij mnie, a ja ciebie.

Sartorius objął ją.

– I co, ulżyło ci w męczarniach?

– Nie, jest tak samo – odpowiedział Sartorius.

– No, to trzeba nam się będzie ożenić – zgodziła się Moskwa.

Kiedy niewinny codzienny poranek oświecił miejscowe kołchozy i okolice ogromnego miasta, Czestnowa i Sartorius jeszcze siedzieli w dole po geometrach. Poznawszy Moskwę w całości, całe ciepło, oddanie i szczęście jej ciała, Sartorius ze zdumieniem i przerażeniem poczuł, że jego miłość nie znużyła się, ale wzrosła, i że w istocie niczego nie osiągnął i pozostał po dawnemu nieszczęśliwy. To znaczy, że w ten sposób nie można było dotrzeć do człowieka i rzeczywiście podzielić z nim życie. To co w takim razie? Sartorius niczego nie wiedział.

Moskwa Czestnowa leżała na wznak; niebo nad nią było początkowo wodniste, potem stało się błękitne i kamienne, wreszcie przekształciło się w złociste i migotliwe, jakby

poprzerastane kwiatami – za Uralem weszło słońce i zbliżało się tutaj.

Moskwa wydostała się z dołu, obciągnęła na sobie sukienkę, obuła się i samotnie ruszyła do miasta. Sartoriusowi powiedziała, że będzie jego żoną później: niech na razie pracuje w truście wag i odważników, gdzie jest Bożko; kiedy będzie trzeba, ona go znajdzie.

Bezradny i zgnębiony, wylazł w ślad za nią Sartorius. Stał sam o świcie w pustce niedojrzałych pól, powalany i smutny, jak ocalały wojownik na zamartym pobojowisku.

– Dlaczego odchodzisz, Moskwo? Przecież kocham cię jeszcze bardziej!

Moskwa odwróciła się do niego.

– Nie rzucam cię, Siemionie! Przecież powiedziałam, że wrócę... Ja też cię kocham.

– To dlaczego ode mnie odchodzisz? Chodź tutaj znowu z powrotem.

Czestnowa stała niepewna o jakieś dziesięć kroków.

– Żal mi, Siemionie...

– Czego ci żal?

– Żal mi czegoś... Ile bym żyła, to życie mi się ani rusz nie spełnia tak, jak bym chciała.

Moskwa nachmurzyła się i stała nadąsana na skraju wysokiego żyta. Słońce błyszczało na jedwabiu jej sukienki, a na włosach wysychały ostatnie krople porannej wilgoci, która spłynęła na nią w burzanie. Lekki wiatr dął od chłodnych moskworieckich nizin i żyto niejasno szumiało napęczniałymi kłosami; światło słońca, jak myśl i uśmiech, wypełniło całą okolicę, i tylko Moskwa była niewesoła, a piękna sukienka i ciało jej, złożone z tej samej świetlistej przyrody, nie odpowiadały jej smutnej twarzy. Sartorius znowu zaprowadził Moskwę w ustronną trawę i nie mógł zrozumieć, dlaczego obojgu im zrobiło się tak niewyraźnie.

– Odczep się ode mnie! – Moskwa odsunęła się nagle od Sartoriusa. – Ja wszystko robiłam, w powietrzu latałam i z mężczyznami żyłam – nie tyś pierwszy przecież, smutny, miły mój!

Czestnowa odwróciła się i położyła twarzą do dołu. Widok jej dużego, niepojętego ciała, rozgrzanego pod skórą skrytą krwią sprawił, że Sartorius objął Moskwę i raz jeszcze w milczeniu i pośpiesznie stracił wraz z nią część swego życia – jedyne, co można zrobić – niech to będzie biedne i niepotrzebne i w istocie nie rozwiązuje miłości, a tylko wyczerpuje człowieka. Jeszcze nie docierpiawszy objęć Sartoriusa do końca, Moskwa odwróciła do niego twarz i kpiąco się uśmiechnęła – oszukała w czymś swego ukochanego człowieka.

Sartorius stanął na nogi, jakby niczego nie było. To go zaskoczyło, a jego płaczliwe, niewolące uczucie nie znalazło żadnego zaspokojenia – serce bolało z powodu Moskwy tak samo daremnie, zupełnie jakby umarła albo była nieosiągalna.

– Ty na pewno mnie nie kochasz! – powiedział, odgadując tajemnicę.

– Nie, kocham, podobasz mi się – przekonywała Moskwa. – Przecież i mnie samej jest trudno.

Gdzieś w dali ruszyły już po ziemi kolchozowe fury, była pora iść do miasta do pracy, rozłączyć się i porzucić nawzajem.

Moskwa siedziała na trawie urażona, Sartorius zaś pogodził się ze swą miłością do niej; wystarczy żyć z Moskwą w małżeństwie, cieszyć się nią, może nawet płodzić dzieci, a ból uczucia z biegiem czasu uśmierzy się, serce wyniszczy się i zamrze na zawsze na rzecz spokojnej i płodnej działalności umysłu.

– Widziałam w dzieciństwie – oznajmiła Moskwa – jak nocą biegł po ulicy człowiek z ogniem na kiju, z pochodnią. Biegł do ludzi w więzieniu, by je podpalić...

– Wiele się wtedy takich rzeczy działo – wyrzekł Sartorius.

– Żal mi go przez cały czas, potem go zabito...

– I cóż takiego! – zdziwił się Sartorius. – Martwych wielu leży w ziemi i na pewno nigdy nie znajdzie się takie serce, które by przypomniało sobie wszystkich zmarłych naraz i zapłakało nad nimi. To na nic.

Moskwa ścichła na pewien czas; patrzyła na wszystko jak chora, zmatowiałymi oczyma.

– Siemionie... Wiesz co: ty lepiej przestań mnie kochać... Ja wielu już przecież kochałam, a ty mnie pierwszą! Ty jesteś dziewicą, a ja kobietą!

Sartorius milczał. Moskwa objęła go jedną ręką.

– Tak, Siemionie: odkochaj się! Czy wiesz, jak wiele czułam i myślałam? Strasznie! I nic nie wyszło.

– Co nie wyszło? – zapytał Sartorius.

– Życie nie wyszło. Obawiam się, że ono nigdy nie wyjdzie i teraz się śpieszę. Widziałam raz pewną kobietę, oparła głowę o ścianę i płakała. Płakała ze zgryzoty – miała trzydzieści cztery lata i tak rozpaczała po swoim minionym czasie, że pomyślałam: chyba straciła sto rubli albo więcej.

– Nie, ja ciebie kocham, Moskwo – ponuro powiedział Sartorius. – Dobrze mi z tobą będzie żyć!

– A mnie z tobą będzie niedobrze! – odrzuciła Moskwa. – I tobie będzie źle: i dlaczego kłamiesz, że dobrze!... Ile to razy chciałam podzielić swoje życie z kimkolwiek i teraz chcę – ani trochę nie żałowałam swego życia i nie będę go żałowała nigdy! Na cóż mi ono potrzebne bez ludzi, bez całego zetesereru? Jestem komsomołką nie dlatego, że byłam biedną dziewczynką...

Czestnowa mówiła z goryczą, z powagą, jak sterana doświadczona starucha, aż pobladła ze słabości swego serca, które ścisnęło się teraz w jej piersi jak w czarnym zatraceniu.

– Pocałuję cię, żebyś mi uwierzył! – Pocałowała obłąkanego ze smutku Sartoriusa, który obserwował tylko przestraszony, jak szybko zestarzała się jej wyrazista uroda, ale to wzmocniło jeszcze bardziej jego miłość.

– Wymyśliłam teraz, dlaczego ludziom źle się ze sobą żyje. Dlatego, że przez miłość połączyć się nie sposób, ja tyle razy się łączyłam i wszystko jedno – nic, samo tylko jakieś nasycenie... Ty żyłeś teraz ze mną i co – dziwno ci się od tego zrobiło albo wspaniale!? Tak sobie...

– Tak sobie – zgodził się Siemion Sartorius.

– Moja skóra zawsze się po tym robi zimna – wyrzekła Moskwa. – Miłość nie może być komunizmem: myślałam, myślałam i zobaczyłam, że nie może... Kochać na pewno trzeba i ja będę, to to samo, co jeść – ale to jedynie konieczność, a nie zasada życia.

Sartorius poczuł się urażony, że jego miłość, gromadzona przez całe życie, zaraz za pierwszym razem zginęła bezwzajemnie. Rozumiał jednak dręczącą myśl Moskwy, że najlepsze uczucie polega na poznaniu innego człowieka, na dzieleniu ciężaru i szczęścia innego, nieznanego życia, miłość w objęciach zaś niczego nie dawała oprócz dziecięcej błogiej radości i nie rozwiązywała problemu skłonności ludzi do tajemnic wzajemnego istnienia.

– I jak to teraz z nami będzie? – zapytał Sartorius.

– Będzie jeszcze długo – uśmiechnęła się Moskwa. – Czekaj na mnie, pracuj z Bożką w fabryce wag i odważników, przyjdę do ciebie znowu... A teraz odchodzę.

– Dokąd? Posiedź jeszcze ze mną – poprosił Sartorius.

– Nie, tak trzeba – powiedziała Moskwa i podniosła się z ziemi.

Słońce już się zmniejszyło na niebie i dawało skoncentrowany żar. W pobliżu gwizdały parowozy na torach dojazdowych do pobliskiej budowy, małe aeroplany latały po niebie w lotach ćwiczebnych, pięciotonowe ciężarówki wiozły kłocę, przemieszczając grunt na proch – skwar i praca od rana rozprzestrzeniały się po ziemi.

Moskwa pożegnała się z Sartoriusem, objął ją rękami jego głowę. Była znów szczęśliwa, pragnęła odejść w bezkresne życie, od dawna dręczące jej serce przecuciem niewiadomej rozkoszy – w mrok stłoczonych ludzi, aby przeżyć z nimi tajemnicę swego istnienia.

Odeszła zadowolona, pohamowując satysfakcję; zachciało jej się zrzucić sukienkę i pobiec

przed siebie, zupełnie jakby była na brzegu południowego morza.

Sartorius pozostał sam. Chciał, żeby Czestnowa do niego wróciła i żeby stali się mężem i żoną ufnie i na zawsze. Sartorius czuł, jak jego ciało wypełniają smutek i obojętność na ciekawość życia – mętne i dręczące siły wezbrały w jego wnętrzu i zaćmiły cały rozum, wszelkie zdrowe działanie ku bardziej odległym celom. Sartorius jednak godził się na to, by wyczerpać w objęciach Moskwy wszystko, co – subtelne, dziwne i ludzkie – pojawiło się w nim, byle nie czuć się tak trudno i móc ponownie oddać się jasnemu ruchowi myśli, codziennej długiej pracy w szeregach cierpliwych towarzyszy. Chciał odkupić się od wszelkich obecnych i przyszłych wstrząsów swego życia przy pomocy prostej, ukochanej żony i dlatego postanowił doczekać się powrotu Moskwy.

8

Instytucja znajdowała się w przededniu likwidacji. Dopiero po pewnym czasie Sartorius zrozumiał, że przeznaczone do likwidacji może okazać się nie tylko najbardziej trwałe, ale nawet skazane na wieczne istnienie. Owa instytucja mieściła się w Starym Targowisku na antresoli, gdzie niegdyś przechowywano towary wrażliwe na wilgoć. Schody z owej instytucji prowadziły w dół do kamiennej galerii, która otaczała całe targowisko.

Na drzwiach wejściowych widniał blaszany szyld: Republikański Trust Wag, Odważników i Miar Długości – „Miarka Pracy”.

Biuro zarządu owej na wpół zapomnianej i biednej gałęzi przemysłu stanowiła jedna duża mroczna sala, z niskim sufitem, sklepionym jak w podziemnym lochu; przy ścianach sufit opuszczał się tak nisko, że urzędnicy, którzy pod nimi siedzieli, niemal dotykali go głowami. W sali stało kilka stołów, a przy każdym siedziało po jednym albo po dwóch ludzi, którzy pisali albo rachowali na liczydłach. Wszystkich pracowników było około trzydziestu czy może czterdziestu, jednakże hałasem swej pracy, ruchem, pytaniami i przekrzykiwaniem wywoływali wrażenie ogromnej instytucji o pierwszorzędym znaczeniu.

Tego samego dnia Sartoriusa przyjęto na stanowisko inżyniera do spraw nowych konstrukcji wagowych, zasiadł więc przy rozległym stole naprzeciwko Wiktora Wasiljewicza Bożko.

Potoczyły się dni jego nowego życia. W ciągu kilku nocy Sartorius zakończył swój ostatni projekt dla doświadczalnego instytutu budowy maszyn, gdzie dotąd pracował, i skoncentrował się na najstarszym urządzeniu świata – na wadze. Nic tak mało się nie zmieniło w ciągu ostatnich pięciu tysięcy lat historii, jak instrument wagowy. Za czasów cyklopów, w antycznej Grecji i w Kartaginie, w wielkiej Persji, która legła pod ciosami Aleksandra Macedońskiego – wszędzie, we wszystkich czasach i obszarach najpowszechniejszym i najniezbędniejszym urządzeniem była waga. Waga równie stara, jak broń, a może były one tym samym – waga to żołnierski miecz, umieszczony swym środkiem na krawędzi kamienia w celu sprawiedliwego podziału zdobyczy między zwycięzcami.

Bożko, który nie potrafił pracować bez miłości serca i umysłu do przedmiotu powierzonego mu trudu, szeroko objaśnił Sartoriusowi decydujące znaczenie wagi w życiu ludzkości.

– Jeszcze nieboszczyk Dimitrij Iwanowicz Mendelejew – mówił – najbardziej ze wszystkiego ukochał wagę. Nawet swą okresową tablicę pierwiastków mniej kochał. Choć cóż! Tam przecież cała sprawa oparta jest na tejże wadze: ciężar atomowy, nic więcej!

Bożko wiedział także, dlaczego instrument wagowy jest najbardziej niezauważalnym i pospolitym przedmiotem; dlatego że człowiek wpatruje się bystro tylko w to, co leży na wadze – w kiełbasę lub w chleb, ale co pod nimi – nie dostrzega; a pod chlebem i pod

kiełbasą znajduje się waga – instrument uczciwości i sprawiedliwości, prosta uboga maszyna, licząca i chroniąca święte dobro socjalizmu, odmierzająca strawę robotnika i kołchoźnika na miarę ich twórczej pracy i rozrachunku gospodarczego.

Z gorliwością zatem i ze skąpstwem na okruchy chleba, które przepadają z racji niedokładności wag, Sartorius pogrążył się w swoich zajęciach. W jego wnętrzu w tajemnicy przed wszystkimi spotkały się i połączyły dwa uczucia – miłość do Moskwy Czestnowej i oczekiwanie na socjalizm. W jego niejasnych wyobrażeniach pojawiło się lato, wysokie zboża, głosy milionów ludzi, którzy po raz pierwszy urządzają się na Ziemi bez obciążenia potrzebą i smutkiem, i Moskwa Czestnowa, która z daleka idzie być mu żoną; właśnie obeszała całe życie, przeżyła je razem z nieprzeliczalną liczbą ludzi i zostawiła lata cierpień i uczucia w mrokach minionej młodości; wracała taka sama, tyle że w ubogiej sukience, bosa, z wyciągniętymi od pracy rękami, ale jeszcze bardziej wesoła i jasna niż była dawniej; znalazła wreszcie zaspokojenie dla swego zbłąkanego serca...

Zbłąkane serce! Długo drży w człowieku od przecuć, ściśnięte kośćmi i nędzą codziennego życia, aż wreszcie rzuca się naprzód, tracąc swoje ciepło na zimnych, odludnych drogach.

Zgarbiwszy się nad stołem w instytucji, Sartorius najszybciej, jak to możliwe, pracował nad ulepszeniem konstrukcji wagi. Kierownik trustu oznajmił Sartoriusowi o zagrożeniu Wagowymi buntami w kołchozach, na wzór buntu solnego w dawnych czasach, albowiem niedostatki wag oznaczają niedoważanie zboża za roboczo dni lub też zboża wydaje się za dużo, a wówczas wychodzi na to, że oszukiwane jest państwo. Prócz tego szala wagi towarowej, jeśli waga jest niedokładna, staje się polem dla kułackiej polityki i walki klasowej. Problem odważnikowy jest także brzemienny w groźne następstwa – w wielu punktach kładą już zamiast cechowanych odważników straszne głupstwa, w rodzaju cegieł, żeliwnych bałwanków, a w określonych przypadkach sadzą nawet ciężarne kobiety i wypłacają za wahnięcie się ich kadłubów jak za roboczo dzień. Wszystko to nieuchronnie doprowadzi do utraty setek tysięcy cetnarów ziarna.

Tęskniąc za Czestnową i bojąc się mieszkać samemu w swoim pokoju, Sartorius pozostawał czasami nocować w instytucji. O dziesiątej wieczorem stróż zasypiał wstępnie na krześle przy wejściu, po czym szedł do gabinetu kierownika ze sklejki i układał się w miękkim fotelu. Mijał czas na dużym oficjalnym zegarze, puste stoły wywoływały tęsknotę za pracownikami, czasami pojawiały się myszy i łagodnymi oczkami patrzyły na Sartoriusa.

Siedział samotnie nad tym samym zadaniem, nad którym myślał niegdyś Archimedes, a później Mendelejew. Zadanie mu nie wychodziło, waga i tak była dobra, jednakże potrzebna była inna, lepsza, żeby mniej tracić metalu na jej wykonanie. Sartorius pokrywał całe wstęgi papieru wyliczeniami pryzmatów, dźwigni, naprężeń deformujących, kosztami własnymi materiałów i innymi danymi. Nagle łzy mimowolnie wypływały z jego oczu i ciekły po twarzy, że aż Sartorius dziwił się temu zjawisku; w głębinach jego ciała żyło samodzielnie jakieś zwierzę i w milczeniu płakało, nie interesując się wytwórczością wag. Po północy, kiedy przez otwarty lufcik – ponad całym miastem – docierała fala zapachu odległych roślin i świeżych przestrzeni, Sartorius opuszczał głowę na stół, tracąc precyzję myślenia. Tak samo pachniała kiedyś przy nim Czestnowa, naturą i dobrocią. Nie był teraz o nią zazdrosny: niechaj je smacznie i dużo, nie choruje, cieszy się, kocha postronnych przechodniów i śpi potem gdzieś w ciepłe, nie pamiętając żadnego nieszczęścia.

Raz czy dwa rozlegał się niespodziewanie w nocy dzwonek telefonu i wówczas Sartorius podnosił pośpiesznie słuchawkę, lecz nikt go nie wzywał, była to pomyłka – człowiek przeproszał i znikał na zawsze w milczącej pustce; spośród wielu przyjaciół nikt nie wiedział, gdzie podział się Sartorius, a on tymczasem na długo porzucił wielką drogę techniki i zapomniał o swojej sławie mechanika, która mogła ogarnąć cały świat.

Pewnego razu przyszedł do niego z wizytą Sambikin. Chirurg powiedział Sartoriusowi, że

rdzeń kręgowy człowieka posiada pewną zdolność racjonalnego myślenia, tak że myśleć może nie tylko sam rozum w głowie; Sambikin sprawdził niedawno to przypuszczenie na pewnym dziecku, któremu robił powtórny trepanację czaszki; zmuszony był usunąć⁵

– I cóż w tym takiego! – nie ucieszył się Sartorius.

– To podstawowa tajemnica życia, a w szczególności tajemnica człowieka jako takiego – z zadumą powiedział Sambikin. – Dawniej utrzymywano, że rdzeń kręgowy pracuje tylko dla serca i pełni funkcje czysto organiczne, mózg zaś to najwyższy ośrodek koordynujący... To nieprawda: rdzeń kręgowy może myśleć, a mózg bierze udział w najprostszych, instynktownych procesach...

Sambikin był szczęśliwy ze swego odkrycia. Wciąż wierzył, że można za jednym zamachem wejść na taki szczyt, skąd odkryje się widok na czasy i przestrzenie zwykłego, nijakiemu spojrzeniu człowieka. Sartorius lekko się uśmiechnął na naiwność Sambikina: natura, wedle jego rachub, była trudniejsza od takiego błyskawicznego zwycięstwa i w jedną regułę zamknąć jej nie można.

– Dalej! – poprosił Sartorius.

Sambikinowi zbulgotały wnętrzności od naporu wyższych przeżyć.

– Dalej tak... Trzeba sprawdzić jeszcze tysiąc razy eksperymentalnie. Może się jednak bardzo łatwo okazać, że tajemnica życia polega na podwójnej świadomości człowieka. Myślimy naraz zawsze dwie myśli, jednej nie możemy! Mamy wszak dwa organy do tego samego celu! Obydwa myślą ku sobie, i to na jeden temat. Rozumiesz, że to może stać się podstawą prawdziwie naukowej, dialektycznej psychologii, jakiej na świecie nie ma. To, że człowiek zdolny jest myśleć podwójnie w każdej kwestii, uczyniło go najwyższym zwierzęciem na Ziemi...

– A inne zwierzęta? – zapytał Sartorius. – One także mają głowę i grzbiet.

– Słusznie. Różnica jest tutaj błaha, choć błahostka owa rozstrzygnęła o historii świata. Trzeba było przyzwyczać się do koordynowania, łączenia w jeden impuls dwóch myśli – jedna z nich wyłania się spod samej ziemi, z głębin kości, druga spływa z wysokości czaszki. Trzeba, żeby spotykały się zawsze w tym samym momencie i trafiały fala w falę, żeby ich rezonans się pokrywał... Co do zwierząt, to u nich także na każde wrażenie powstają dwie myśli, ale są one bezładne i nie składają się w jedno uderzenie. Oto, w czym jest tajemnica ewolucji człowieka, oto, dlaczego wyprzedził wszystkie zwierzęta! Dopiął tego niemal głupstwem: dwa uczucia, dwa ciemne prądy potrafił przyuczyć do spotkania się i mierzenia siłami... Spotykając się, przekształcają się one w ludzką myśl. Jasne, że nie jest to wyczuwalne. U zwierząt także mogą zdarzać się takie stany, ale rzadko i przypadkowo. Człowieka zaś wyhodował przypadek, kiedy stał się istotą dwoistą... I oto czasami, w chorobie, w nieszczęściu, w miłości, w koszmarnym śnie, w ogóle w stanach dalekich od normy wyraźnie czujemy, że jest nas dwóch: to znaczy, ja jeden, ale we mnie jest jeszcze ktoś. Ów ktoś, tajemniczy „on”, często mamrocze, niekiedy płacze, chce wyjść z ciebie gdzieś daleko, jest mu źle, jest mu straszno... Widzimy, że jest nas dwóch i że mamy siebie nawzajem dosyć. Czujemy lekkość, swobodę, bezmyślny raj zwierzęcia, kiedy świadomość nasza była nie podwójna, lecz pojedyncza. Od zwierząt oddziela nas tylko mgnienie, kiedy tracimy dwoistość naszej świadomości i bardzo często żyjemy w epoce archaicznej, nie rozumiejąc znaczenia tego... Ponownie jednak szepią się nasze dwie świadomości, znowu stajemy się ludźmi w objęciach naszej „dwuznaczonej” myśli, natura zaś, skonstruowana na zasadzie ubogiej pojedynczości, zgrzyta i skręca się od działania strasznych podwójnych struktur, których nie zrodziła, które wyniknęły same z siebie... Jakże mi strasznie być teraz samemu! To wieczne łączenie się dwóch namiętności, rozgrzewających moją głowę...

Sambikin, najwyraźniej od dawna bez snu i bez jedzenia, opadł z sił i usiadł zrozpaczony.

⁵ Zdanie nie dokończone.

Sartorius poczęstował go konserwami i wódką. Stopniowo obydwaj uśmierzyli się ze zmęczenia i położyli spać nie rozebrani, przy palącym się świetle, serca zaś i umysły wciąż głucho odzywały się w nich, śpiesząc odpracować we właściwym czasie zwyczajne uczucia i ogólnoświatowe zadania.

Już dawno na wieży Spasskiej wybrzmiała północ i umilkła melodia „Międzynarodówki”; wkrótce nadejdzie świt, w oczekiwaniu nań najdelikatniejsze, rzadkie ptaki odezwały się w krzakach i ogrodach, a potem zerwały się i odleciały hen, pozostawiając kraj, gdzie lato już zaczynało stygnąć.

Kiedy pojawiła się jutrzienka i poźółkły lampy, długi Sambikin i nieduży Sartorius wciąż spali na jednej kanapie i hałaśliwie oddychali, jakby ich ciała były puste. Przytłumiona snem troska o ostateczne urządzenie świata nie przestawała dręczyć ich sumień, od czasu do czasu mamrotali więc słowa, aby wypędzić z siebie niepokój. Gdzie była, gdzie spała teraz Moskwa Czestnowa, jakiego lata życia szukała dla siebie w początkach jesieni, pozostawiwszy przyjaciół w oczekiwaniu?

Pod koniec snu Sartorius uśmiechnął się; łagodnego charakteru, poczuł, że zakopano go martwego w ziemi, w głębokim cieple, na górze zaś, na dziennej powierzchni mogiły została, by płakać po nim, samotna Moskwa Czestnowa. Więcej nikogo nie było – umarł bezimiennie, jak człowiek, który rzeczywiście wykonał wszystkie swoje zadania: republika nasycona jest wagami do gromadzenia zapasów i sporządzony został cały arytmetyczny obrachunek przyszłych historycznych czasów, ażeby los stał się bezpieczny i nigdy nie napotykał na mur rozpaczy.

Zbudził się zadowolony, zdecydowany wykonać i doprowadzić do doskonałości całą techniczną armaturę, automatycznie przepompowującą z przyrody w ludzkie ciało podstawową życiodajną siłę pokarmu. Jednakże już od rana jego oczy przygasły na wspomnienie Moskwy, z lęku przed cierpieniem obudził więc Sambikina.

– Sambikin! – zapytał Sartorius. – Jesteś lekarzem, wiesz wszak, co jest całą przyczyną życia ... Dlaczego ono tak długo trwa i czym by je pocieszyć albo raz na zawsze wypełnić radością?

– Sartorius! – żartując odrzekł Sambikin. – Jesteś mechanikiem, wiesz, co to jest próżnia...

– No, wiem: pustka, która wsysa wszystko...

– Pustka – powtórzył Sambikin. – Chodź ze mną, pokażę ci przyczynę całego życia.

Wyszli i pojechali tramwajem. Sartorius patrzył przez okno i napotkał około stu tysięcy ludzi, nigdzie jednak nie spostrzegł twarzy Moskwy Czestnowej. Mogła ona nawet umrzeć, bo czas mija i zdarzają się przypadki.

Przyjechali do kliniki chirurgicznej Instytutu Medycyny Doświadczalnej.

– Dzisiaj przeprowadzam sekcję czterech trupów – oznajmił Sambikin. – Troje nas tutaj pracuje nad jednym tematem: uzyskać pewną tajemniczą substancję, której ślady są w każdym świeżym trupie. Owa substancja posiada wyjątkową, ożywiającą siłę dla żywych wyczerpanych organizmów. Co to jest – nie wiadomo! Ale my postaramy się to zgłębić...

Sambikin przygotował się jak zazwyczaj i poprowadził Sartoriusa do prosektorium. Była to zimna sala, gdzie czterech martwi ludzie leżeli w pojemnikach, które między podwójnymi ściankami miały lód.

Dwaj pomocnicy Sambikina wyjęli z jednego z pojemników ciało młodej kobiety i położyli przed chirurgiem na pochyłym stole, przypominającym powiększony pulpit muzyka. Kobieta leżała z jasnymi otwartymi oczyma; substancja jej oczu była na tyle zubożona, że mogła błyszczeć i po życiu, jeśli tylko nie ulegała rozkładowi. Sartoriusowi zrobiło się niedobrze; postanowił uciec jak najszybciej z instytutu do swego trustu, pojawić się w komitecie miejskim partii i poprosić o jakąkolwiek koleżeńską pomoc w obliczu rozpaczy swego stęsknionego serca.

– Dobrze – powiedział gotowy do pracy Sambikin i udzielił objaśnień Sartoriusowi. – W

momencie śmierci w ciele człowieka otwiera się ostatnia śluza, jeszcze przez nas nie odkryta. Za ową śluzą, w jakimś ciemnym zakątku organizmu oszczędnie i pewnie przechowywany jest ostatni łańcuch życia. Nic, prócz śmierci, nie otwiera tego źródła, tego rezerwuaru – zapieczętowany jest szczelnie aż do samej zagłady... Ale ja odnajdę ową cysternę nieśmiertelności...

– Szukaj – wyrzekł Sartorius.

Sambikin odciął kobiecie lewą pierś, po czym zdjął całe rusztowanie klatki piersiowej i z najwyższą ostrożnością sięgnął serca. Wraz z pomocnikami wy dostał serce i za pomocą instrumentów pieczołowicie włożył je do szklanego cylindra – do dalszych badań; cylinder ów zabrano i zaniesiono do laboratorium.

– Na tym sercu także są ślady owej nieznannej sekrecji, o której ci mówiłem – oznajmił Sambikin swemu przyjacielowi. – Śmierć, kiedy rozpełza się po ciele, zrywa pieczęć z rezerwowego, skondensowanego życia, które po raz ostatni rozlega się we wnętrzu człowieka niczym niecelny wystrzał i pozostawia niewyraźne ślady na jego martwym sercu... Ta substancja zaś to największa drogocенność ze względu na jej energię. A najdziwniejsze, że coś, co jest najbardziej żywe, pojawia się w momencie ostatniego tchnienia... Natura dobrze ubezpiecza swoje przedsięwzięcia!

Dalej Sambikin zaczął obracać martwą dziewczynę, zupełnie jakby demonstrował Sartoriusowi jej stopień odżywienia i niewinność.

– Jest ładna – w nieokreślony sposób rzekł chirurg; przemknęła mu myśl o możliwości ożenienia się z tą martwą – piękniejszą, wierniejszą i bardziej samotną niż wiele żywych; troskliwie owinął bandażem jej zniszczoną pierś. – A teraz zobaczymy powszechną przyczynę życia...

Sambikin otworzył powłokę tłuszczową brzucha, po czym powiódł lancetem wzdłuż jelit, pokazując, co w nich jest: leżała w nich zwarta masa jeszcze nie przerobionego pokarmu, wkrótce jednak pokarm się skończył i jelita stały się puste. Sambikin powoli minął pusty odcinek i doszedł do początku kału – tam zatrzymał się na dobre.

– Widzisz! – rzekł Sambikin, udostępniając lepiej pusty odcinek między pokarmem a kałem.

– Ta pustka w kiszkaх wsysa w siebie całe człowieczeństwo i napędza historię świata. To dusza – wachaj!

Sartorius powąchał.

– To nic – powiedział. – My tę pustkę wypełnimy, a wtedy duszą stanie się coś innego.

– Ale co? – uśmiechnął się Sambikin.

– Nie wiem co – odrzekł Sartorius, czując się żałośnie ponizony. – Najpierw trzeba nakarmić ludzi, żeby nie wciągało ich w pustkę kiszek...

– Nie mając duszy, nie można ani nikogo nakarmić, ani się najeść – ze znużeniem sprzeciwił się Sambikin. – Niczego nie można.

Sambikin pochylił się nad wnętrznościami trupa, gdzie w kiszkaх znajdowała się pusta dusza człowieka. Pomacał palcami resztki kału i pokarmu, starannie obejrzał ciasną, ubożuchną konstrukcję całego ciała, po czym rzekł:

– To właśnie jest najlepsza, zwyczajna dusza. Innej nigdzie nie ma.

Inżynier odwrócił się do wyjścia z trupiarni. Zgarbił się i ruszył stąd, czując za sobą uśmiech Sambikina. Był zatroskany smutkiem i nędzą życia, tak bezradnego, że niemal bez ustanku musi ono karmić się iluzją, by nie uświadamiać sobie swej rzeczywistej sytuacji. Nawet Sambikin szuka iluzji w swych myślach i odkryciach – on także w wyobraźni pochłonięty jest złożonością i wielką istotnością świata. Sartorius jednak dostrzegał, że świat składa się przede wszystkim z wyzutej ze wszystkiego substancji, której kochać prawie nie sposób, ale którą należy rozumieć.

Moskwa Czestnowa nie miała się gdzie podziąć, kiedy postanowiła do swego mieszkania nie wracać i Sartoriusa więcej nie kochać. Długimi godzinami chodziła i jeździła po mieście i nikt jej nie zaczepił ani o nic nie zapytał. Powszednie życie krążyło wokół niej tak byle jakim śmieciem, że Moskwie wydawało się, iż ludzie niczym nie są połączeni i zwątpienie tkwi w przestrzeni między nimi. Pod wieczór wybrała się do kooperatywy, gdzie mieszkał kompletny cywil. Skrzypek nastrojał swoje skrzypce przy wejściu do administracji, po drugiej stronie parkanu piszczalał pita tarczowa na budowie instytutu medycznego, a lokatorzy kooperatywy zbierali się w korytarzu na codzienne rozmowy.

Kompletny cywil Korniągin leżał na żelaznym łóżku w swym malutkim pokoiku. Bez rezultatu szukał w sobie jakiegokolwiek myśli, uczucia albo nastroju i przekonywał się, że niczego w nim nie ma. Starając się o czymkolwiek pomyśleć, już zawczasu nie miał zainteresowania dla przedmiotu tych przemyśleń i dlatego tłumił swoje pragnienie myślenia. Jeśli jednak w jego świadomości pojawiała się mimochodem jakakolwiek zagadka, tak czy owak nie mógł jej rozwiązać i tkwiła mu ona boleśnie w mózgu dotąd, dopóki nie zniszczył jej fizycznie poprzez, na przykład, wzmożone stosunki z kobietami albo długi sen. Wówczas budził się ponownie wypróżniony i spokojny, nie pamiętając swych wewnętrznych klęsk. Czasami wzbierało w nim cierpienie albo rozdrażnienie, niczym w burzanie na opuszczonym miejscu, lecz Korniągin szybko przekształcał je swoimi sposobami w pustą obojętność.

W ostatnich latach zaprzestał już jednak walczyć ze sobą jako z człowiekiem i tylko z rzadka płakał w ciemnościach, nakrywszy twarz kołdrą, nie praną od dnia jej wyprodukowania.

Były wszakże takie czasy, kiedy Korniągin żył w sposób niezwykły. Do tej pory na ścianach jego pokoju wisały nie dokończone obrazy olejne, przedstawiające Rzym, pejzaże, rozmaite chatynki i lany zbóż nad parowami. To sam Korniągin rozpoczął je niegdyś malować, ale ani jednego obrazu nie zdołał domalować, choć od czasu, kiedy się do tego zabrał, minęło już lat dziesięć albo więcej; dlatego chatynki pozostały rozwalone – bez dachów, zboże nie zdążyło się wykłosić, a Rzym przypominał gubernię. Gdzieś pod łóżkiem, wśród rupieci, walał się zeszytek z rozpoczętymi w młodości wierszami i cały dziennik, także nie zakończony niczym, urwany w pół słowa, zupełnie jakby ktoś uderzył Korniągina, a on wypuścił pióro na zawsze. Lat temu trzy Korniągin zapragnął zestawić spis swoich rzeczy i przedmiotów, lecz spisu tego również nie mógł dokończyć, zdążywszy wnieść tam jedynie cztery punkty: siebie samego, łóżko, kołdrę i krzesło, reszta zaś czekała na swą rejestrację w jakichś przyszłych, lepszych czasach.

Niedawno Korniągin szukał wszędzie guzika i znalazł zeszyt ze swoimi rozpoczętymi wierszami. Pisał je z życia wiejskiego i teraz przeczytał początek jednego z nich:

*Tamtej nocy, tamtej nocy czujnie spały pola, sioła,
Milcząc zwały do nich drogi, wiodły ku gwieździe.
A step omdlały dyszał sercem cichym, ciałem nagim,
Trwożnie, jak na drżącym, odpływającym moście...*⁶

Zakończenia wiersza nie było; jedyne krzesło nie chciało stać na nóżkach i domagało się pilnej naprawy, Korniągin przyniósł nawet kiedyś w tym celu dwa gwoździe, lecz do pracy wciąż jeszcze nie przystąpił.

Czasami Korniągin dawał sobie obietnice: za miesiąc lub dwa rozpocznę nowe życie – domaluję obrazy, zakończę wiersze, przemyślę ostatecznie swój światopogląd, wyrobię sobie dokumenty, podejmę określone zajęcie, zostanę przodownikiem pracy, pokocham kobietę-

⁶ Fragment wiersza Płatonowa z tomiku *Gołubaja głubina* z 1922 roku.

przyjaciela i ożenię się... Miał nadzieję, że w ciągu miesiąca, dwóch w obrębie samego czasu zdarzy się coś na tyle szczególnego, że ów, zatrzymawszy się, wciągnie go w swój ruch, ale lata za jego oknem mijały bez ustanku i bez szczęśliwego przypadku. Wówczas wstawał z łóżka i wychodził, by jako członek Osodmiłu ukarać mandata publiczną w miejscach jej nagromadzenia.

Lecz oto nadszedł sierpień jednego z bieżących lat. Nadciągał wieczór, rozsuwając po niebie oddalający się długi, smutny dźwięk, na który do każdego otwartego serca przenikały tęsknota i współczucie. Tego wieczoru Moskwa Czestnowa zastukała do drzwi Korniągina. Nie wstając z łóżka, odrzucił lewą ręką haczyk i zaprosił gościa, by wszedł. Weszła do niego, dziwna i znajoma, w swej drogiej sukience i rozejrzała się po owym pokoju jak po własnym mieszkaniu. Kompletny cywil postanowił poddać się od razu: dokumenty nie w porządku i usprawiedliwienia żadnego. Czestnowa zapytała go jednak tylko, jak mu się żyje i czy nie ma dosyć tkwić tak samotnie i daremnie.

– Ja się nie martwię – powiedział Korniągin.

– Ja przecież nawet nie żyję, ja jestem wmieszany w życie jako takie, wplątali mnie w tę sprawę... Ale niepotrzebnie!

– Co niepotrzebnie? – zapytała Moskwa.

– Nie chce mi się – powiedział Korniągin.

– Wciąż trzeba się wysilać: to myśleć, to mówić, to gdzieś iść, jakoś tam działać... A mnie się niczego nie chce, wciąż zapominam, że żyję, a jak sobie przypomnę – robi się strasznie...

Moskwa została, by u niego pobycć, dziwiąc się okolicznościom życia tego dawno rozpoczętego i nie zakończonego człowieka. Korniągin zagrzał jej kaszy na kolację, po czym pokazał jej swój ulubiony obraz z nie znanych dla Czestnowej czasów. Korniągin wyciągnął ów obraz spośród swych zapomnianych gratów spod łóżka; obraz nie był do końca namalowany, lecz jego myśl przedstawiała się wyraźnie.

– Gdyby państwo się nie sprzeciwiało, ja też bym tak żył – zaznaczył Korniągin.

Na obrazie przedstawiony był chłop albo kupiec, niebiedny, ale brudny i bosy. Stał na drewnianym, lichym ganku i sikał z góry na dół. Koszulę zadzierał mu wiatr, w poręcznej rzadkiej bródce tkwiły słoma i jakieś resztki, spoglądał on obojętnie gdzieś w odludny świat, gdzie blade słońce ni to wschodziło, ni to zachodziło. Za chłopem wyrastał duży, na oko samotny dom, w którym z całą pewnością przechowywane były słoje z konfiturami, pierogi i gdzie było drewniane łoże, przysposobione niemal do wiecznego snu. Leciwa baba siedziała w oszklonej przybudówce gospodarczej – widać było tylko jej głowę – i z wyrazem kretyнки wpatrywała się w puste miejsce na podwórzu. Chłop dopiero co ocknął się ze snu, a teraz wyszedł wypróżnić pęcherz i sprawdzić, czy nie wydarzyło się coś szczególnego – ale wszystko pozostawało po staremu, dął wiatr od niemiłych, ogołoconych pól i człowiek za chwilę znowu pójdzie spocząć – spać i nie śnić, byle już prędzej przeżyć życie w bezpamięci.

Później do Korniągina przyszła jego stara, rozwiedziona żona, wyniszczona kobieta, udęczona od dawna. Przychodziła do Korniągina bardzo rzadko, ale wyraźnie poruszała jeszcze jego uczucie wspomnieniem dawnego oddania. Korniągin przygotował poczęstunek dla swoich gości, lecz była żona, w milczeniu wypiwszy herbatę, wkrótce zebrała się do wyjścia, aby nie przeszkadzać mężowi być z nową grubą dziewczką, jak oceniła Czestnową. Dla tej kobiety wszyscy byli grubi i tylko nią samą nikt się nie interesował. Jednakże Korniągin wyprowadził Czestnową na korytarz i poprosił, żeby trochę pospacerowała, a potem wróciła, jeśli potrzebuje.

– Ja bo się męcę, kiedy nie pożyję z kobietą – przyznał się Korniągin. – Nie mam się gdzie podziąć, ciekawości do niczego i tak nie ma... A wy ze mną, wybaczcie, tak czy owak zapoznawać się nie będziecie.

– Nie, ja będę – powiedziała Moskwa, przybita zgryzotą Korniągina. – Idźcie do niej.

Korniągin jednak pozostał jeszcze z nią w korytarzu.

– Nie obrażajcie się...

– Nie obrażam się, wy mi się trochę podobacie – odpowiedziała mu Czestnowa.

Korniagin mimo to jednak zmartwił się i pochylił głowę.

– Ona przecież była mi żoną... Brzydko pachniała, rodziła moje dzieci, ale dzieci pomarły... Spaliśmy razem brudni. Ona stała się dla mnie jak brat, ona teraz chudnie i głupieje – miłość nasza już przekształciła się w coś lepszego – w naszą wspólną biedę, w nasze pokrewieństwo i smutek w objęciach...

– Ja to rozumiem – cicho zgodziła się Moskwa. – Jesteś takim malutkim gadem, który żyje w swojej ziemnej norce. Widywałam je jako dziewczynka, kiedy kładłam się na polu twarzą do ziemi.

– To całkowicie jasne – chętnie przystał Korniagin. – Jestem człowiek nikt.

Moskwa nachmurzyła się: „No i po co, i po co on na świecie? Z powodu jednego takiego wszyscy ludzie wydają się kanalami i każdy tłucze ich czym popadło na śmierć!”

– Kiedyś przyjdę do was i będę wam żoną – powiedziała Moskwa.

– Będę na was czekał – zgodził się Korniagin.

Moskwa jednak szybko się rozmyśliła, jak jeszcze nie stwardniała i niepewna substancja:

– Nie, nie czekaj, nigdy nie wrócę do tego domu – jesteś żalosnym trupem!

Stała się rozdrażniona i nieszczęśliwa i oparła głowę o ścianę.

W korytarzu z oszczędności zgasło światło.

Korniagin poszedł do swego pokoju i długo dochodziły stamtąd poprzez tymczasową ściankę odgłosy udręczonej miłości i oddech ludzkiego wyczerpania. Moskwa Czestnowa przycisnęła się piersią do rury kanalizacyjnej, idącej z górnego piętra w dół; spotulniała ze strachu i wstydu, a jej serce waliło jeszcze straszniej niż u Korniagina za przegródką. Kiedy jednak sama to robiła, nie wiedziała, że postronnemu człowiekowi bywa równie smutno, i to nie wiadomo dlaczego.

Nie, nie tędy prowadzi w dal wielka droga życia – nie w biednej miłości, nie w kioskach i nie poprzez pilne badanie precyzyjnych drobiazgów, jak czyni to Sartorius.

Wyszła na zewnątrz; była już noc. Ogromne chmury, oświetlone jedynie własnym słabym światłem, nawisały nisko nad płaszczyznami miejskich dachów i odpływały w mrok pól, w kose przestrzenie pustej, oszalałej ziemi.

Czestnowa ruszyła do centrum, zaglądając po drodze we wszystkie jasno oświetlone okna mieszkań i zatrzymując się przy niektórych z nich. Pito tam herbatę z rodzinami lub z gośćmi, piękne dziewczyny grały na fortepianach, z głośników radiowych rozlegały się opery i tańce, młodzieńcy spierali się w kwestiach Arktyki i stratosfery, matki kąpały swoje dzieci, naszeptywali dwaj, trzej kontrrewolucjoniści, postawiwszy na krześle przy drzwiach otwarty palący się prymus, żeby ich słów nie dosłyszeli sąsiedzi... Moskwa tak bardzo interesowała się tym, co się dzieje na świecie, że stawała czubkami pantofli na występach fundamentów i zapatrywała się w głąb mieszkań, dopóki nie zaczęli się z niej wyśmiewać przechodnie.

Spędziła kilka godzin na takiej obserwacji i niemal wszędzie spostrzegała radość albo zadowolenie, jednakże jej samej robiło się coraz smutniej. Wszyscy ludzie byli zajęci jedynie wzajemnym egoizmem z przyjaciółmi, ulubionymi ideami, ciepłem nowych mieszkań, przyjemnym poczuciem własnego zaspokojenia. Moskwa nie wiedziała, do czego by się jej przyłączyć, do kogo wejść, aby żyć szczęśliwie i zwyczajnie. W domach nie było dla niej radości, w ciepłe pieców i w świetle abażurów na stołach nie widziała spokoju. Kochała ogień dREW w piecach i elektryczność, ale tak, jak gdyby sama była nie człowiekiem, tylko ogniem i elektrycznością – burzeniem się siły, która obsługuje świat i szczęście na Ziemi.

Moskwie już dawno chciało się jeść, weszła więc do nocnej restauracji. Pieniądzy żadnych nie miała, ale usiadła i zamówiła kolację. Orkiestra przez cały czas grała jakąś szaloną europejską muzykę, zawierającą w sobie siły odśrodkowe; po tańcach do tej muzyki brała ochota, by zwinąć się w ciepłe i położyć na długo w ciasnej, porzuconej trumnie. Nie

zwróciwszy na to uwagi, Moskwa wzięła udział w tańcach pośrodku sali; zapraszał ją niemal każdy spośród gości, znajdując w niej coś utraconego w samym sobie. Wkrótce niektórzy już płakali, wtuliwszy się w sukienkę Moskwy, dlatego że opili się wina, inni spowiadali się zaraz z dokładnymi szczegółami. Sferyczna sala restauracji, ogłuszona muzyką i wrzaskami ludzi, wypełniona gryzącym dymem papierosów i oparem stłumionych namiętności, owa sala zupełnie jakby się obracała – każdy głos rozlegał się w niej dwukrotnie i cierpienie się powtarzało; człowiek nijak się tutaj nie mógł wyrwać z powszedniości – z okrągłej bryły swej głowy, gdzie toczyły się jego myśli po od dawna wytyczonych drogach, z torebki serca, gdzie stare uczucia tłukły się jak pojmane, nie wpuszczając niczego nowego i nie tracąc już doświadczonego, a krótkie zapomnienie w muzyce albo w miłości do napotkanej kobiety kończyło się albo rozdrażnieniem, albo łzami rozpaczy. Im stawało się później, im bardziej zagęszczała się zabawa, tym szybciej obracała się sferyczna sala restauracji, tak że wielu gości zapomniało, gdzie są drzwi, i w przerażeniu kręcili się na jednym miejscu pośrodku, sądząc, że tańczą. Niestary, długo milczący człowiek, z ciemnym blaskiem w oczach, z rozkoszą i sadyzmem częstował Moskwę, zupełnie jakby wprowadzał w nią nie słodkie jedzenie, ale własne dobre serce. Czestnowa przypominała sobie jednak inne wieczory, spędzone ze swymi rówieśnikami; widziała tam za otwartymi letnimi oknami zwykłe pole, otwarte na równinę nieskończoności, a w piersiach jej towarzyszy nie obracała się owa sferyczna, wiecznie powtarzająca się myśl, doprowadzająca się do rozpaczy – tkwiła tam strzała działania i nadziei, napięta dla bezpowrotnego ruchu w dal, w prostą, surową przestrzeń.

Noc skłaniała się ku rankowi. Gdzieś spał KorniaGIN z chudą kobietą, siedział Sartorius nad rozwiązaniem wszystkich problemów, jeden i ten sam takt grała w różnych wariacjach orkiestra, jakby tocząc go po wewnętrznej powierzchni połogiej kuli bez wyjścia; współmówca Moskwy mamrotał odwieczną myśl o swej miłości i smutku, o samotności i przypadał ustami do czystej skóry u łokcia Moskwy. Czestnowa milczała. Wówczas jej znajomy, wypiwszy nieco wina dla oddechu, znowu mówił jej o swym oddaniu, o przyszłym możliwym szczęściu, jeśli Moskwa odpowie mu również miłością.

– Przestańcie buksować w jednym i tym samym miejscu – odpowiedziała mu Czestnowa. – Jeśli pokochaliście, to przestańcie...

Rozmówca Moskwy nie zgodził się:

– Rodzimy się i umieramy na piersi kobiety – lekko się uśmiechnął – tak wynika z treści naszego losu, z całego kręgu szczęścia...

– Życie lepiej wzdłuż linii prostej, bez treści i kręgu – poradziła Moskwa; lekko dotknęła swoich piersi wskazującym palcem. – Popatrzcie, na mnie trudno wam będzie umrzeć, nie jestem miękka.

Silny, dobry blask pojawił się w mroku oczu owego niespodziewanego towarzysza Czestnowej; przypatrzył się jej obydwu piersiom i powiedział:

– Ma pani rację, moja droga. Jest pani jeszcze bardzo szorstka, na pewno nikt nie ścisnął pani na śmierć... U pani nawet sutki patrzą przed siebie jak dwa przebijaki... Jakże mi to ciężko i dziwnie widzieć!

Odwrócił smętnie głowę; jasne było, że jego miłość do Moskwy umacnia się od każdej spostrzeżonej w niej nowości, nawet od koloru pończoch. Podobnie kochał ją Sartorius, a zapewne i Sambikin też... Moskwa obojętnie popatrzyła na swego przyjaciela; nie chciało jej się spotykać w nowych osobach tych, których zostawiła wcześniej. Jeśli siedzi przed nią taki sam człowiek, jak Sartorius, to lepiej wrócić do pierwszego Sartoriusa i nie opuszczać go nigdy.

Przed świtem zagrano tak energicznego fokstrota, że działał nawet na trawienie. Moskwa wyszła tańczyć ze swym nowym przyjacielem; tańczyli prawie sami na środku sali, opustoszałej od długiej zabawy jak po kłęsce. Wielu bywalców już drzemało, niektórzy

patrzyli jak martwi, przesyleni jadem i pozornymi namiętnościami.

Muzyka związała się szybko, jak zgryzota w kościanej i okrągłej głowie, skąd wyjść nie sposób. Na tyle wielka była jednak ukryta energia melodii, że obiecywała zetrzeć kiedyś gnuśne kości samotności albo wyjść przez oczy, choćby w postaci łez. Czestnowa zdawała sobie sprawę z głupstw, jakie wyprawia właśnie nogami i rękami, ale podobało jej się wiele rzeczy, nawet niepotrzebnych.

Nastawał świt za oknem sferycznej sali restauracji. Na zewnątrz rośło drzewo; teraz widać je było w świetle jutrzeńki. Gałęzie wyrastały prosto do góry i na boki, nigdzie się nie zaokrąglały, nie zwracały, a drzewo kończyło się ostro i raptownie – tam gdzie nie starczało mu sił i środków, by pójść wyżej. Moskwa patrzyła na to drzewo i mówiła sobie: „To ja, jak dobrze! Zaraz odejdę stąd na zawsze”.

Pożegnała się z kawalerem, ale on strapił się z tego powodu.

– Dokąd pani? Nie trzeba się spieszyć... Chodźmy stąd jeszcze gdzieś. No, proszę troszkę zaczekać, bo się rozplaczę...

Moskwa milczała. Zaproponował jej jeszcze więcej:

– Pójdziemy stąd w pole... przed nami nie ma na świecie niczego, dmie tylko jakiś wiatr z ciemności! A w ciemnościach zawsze dobrze...

Uśmiechał się z napięciem, skrywając zmartwienie i licząc ostatnie sekundy przed rozstaniem.

– No, nie! – powiedziała wesoło Moskwa. – Patrzajcie go, jaki głupek się znalazł... Do widzenia, dziękuję wam.

– Gdzie panią można pocałować – w policzek czy w rękę?...

– W te miejsca nie wolno – śmiała się Moskwa. – Można w usta. Dajcie – ja sama was...

Pocałowała go i odeszła. Człowiek został bez niej regulować rachunek, dziwiąc się nieczułości młodego pokolenia, które namiętnie się całuje, zupełnie jakby kochało, a w rzeczywistości – żegna się na zawsze.

Czestnowa szła o świcie sama po stolicy. Szła dumnie i kpiąco, tak że dozorczy zawczasu usuwali swoje węże do polewania i ani jedna kropla nie spadła na sukienkę Moskwy.

Życie jej było jeszcze długie, przed nią rozpościerała się niemalże nieśmiertelność. Nic nie trwożyło jej serca, a na straży jej młodości i wolności drzemały armaty gdzieś w oddali, jak zimną śpi burza w chmurach. Moskwa popatrzyła w niebo; widać tam było, jak idzie wiatr niczym żywa istota i porusza w górze mętną mgłę, która nawdychała się w nocy człowieczości.

Na placu Kałanczewskim za drewnianym ogrodzeniem szybu sapały kompresory metra. Przy roboczym wejściu wisiał plakat: „Komsomolcu, komsomołko! Idź do tunelu metra!...”

Moskwa Czestnowa uwierzyła i weszła w bramę; wszędzie pragnęła być współuczestniczką i pełna była owej nieokreśloności życia, które jest równie szczęśliwe, jak i jego ostateczne rozwiązanie.

Sartorius rozwiązał problem wag dla kołchozów. Wymyślił sposób ważenia ziarna na kamieniu kwarcowym. Ów kamień był niewielki, wszystkiego kilka gramów. Przy nacisku ładunku kwarcowy kamyczek wydzieliał słabą elektryczność, która wzmacniana była lampami radiowymi i poruszała, ile trzeba, strzałkę cyferblatu, gdzie zaznaczona była waga. Radio było wszędzie, i w punktach skupu, i w kołchozowych sadybach, i w klubach, dlatego waga składała się tylko z drewnianej szali, kwarcowego kamyczka i cyferblatu, co było trzykrotnie tańsze od poprzednich wag i nie wymagało żelaza.

Teraz Sartorius przestawiał cały tabor wagowy republiki na elektryczność. Chciał ziemską stałą pasywną, ciężenie ziemi, zastąpić stałą aktywną – energią pola elektrycznego. Zdolne to było dać mechanizmom wagowym ostre poczucie dokładności i czyniło instrumenty wagowe tanimi.

Skończyło się lato, zaczęły padać deszcze, tak samo długie i nużące jak we wczesnym dzieciństwie za kapitalizmu. Sartorius rzadko chodził do domu; było mu tam straszno zostawać ze swą tęsknotą za ukochaną, przepadłą Moskwą. Dlatego z gorliwym skupieniem zajmował się rysunkami technicznymi i jego serce uspokajało się, uświadamiając sobie korzyść zachowania dla państwa i kołchoźników milionów rubli dzięki technicznemu ulepszeniu taboru Wagowego.

Tutaj także, w Starym Targowisku, w zakładzie ubogiego, na wpół zapomnianego przemysłu, Sartorius znalazł nie tylko szacunek za swoją pracę, ale i ludzką pociechę w swojej zgryzocie.

Wiktor Wasiljewicz Bożko, który był przewodniczącym związku zawodowego w wagowym truście, poznał tajemnicę Sartoriusa. Pewnego razu jak zwykle Sartorius pracował późnym wieczorem. W truście pozostał jedynie buchalter, który przyklepywał bilans kwartalny, poza tym był jeszcze Bożko, który w oddali wyklejał kolejną gazetkę ścienną. Sartorius zapatrzył się w okno – ludzie całymi tłumami wracali tam w tramwajach z teatrów i z wizyt, było im ze sobą wesoło, a życie ich zmierzało pewnie ku lepszemu, i tylko technika wyteżała się pod nimi – gięły się resory wagonów i ze znużeniem dudniły silniki.

Z tym większym zatroskaniem pochylał się Sartorius nad swoją pracą. Trzeba było rozwiązać problem nie tylko wag, ale i transportu kolejowego, i przejść statków przez Ocean Lodowaty, a także spróbować określić wewnętrzną mechaniczną zasadę człowieka, za której przyczyną zdarza się szczęście, męka i zagłada. Sambikin mylił się, kiedy pokazywał martwą duszę obywatela, pomieszczoną w pustce jelit między kałem a nowym pokarmowym nadzieiem. Jelita podobne są do mózgu, ich ssące uczucie jest całkowicie racjonalne i poddaje się zaspokojeniu. Gdyby namiętność życia skoncentrowała się tylko w mroku jelit, historia świata nie byłaby tak długa i prawie bezpłodna; powszechne istnienie, oparte nawet na samym rozumie żołądka, dawno stałoby się wspaniałe. Nie, nie sam tylko pusty mrok kiszek rządził całym światem w minionych tysiącletniach, ale coś innego, bardziej skrytego, gorszego i sromotnego, wobec czego cały rozwrzeszczany żołądek jest rozczulający i usprawiedliwiony jak smutek dziecka – coś, co nie przebija się do świadomości i dlatego nie mogło być nigdy wcześniej zrozumiane: do świadomości [rozumu]⁷ trafia przecież tylko to, co jest do niej podobne, coś, co przypomina samą myśl. Ale teraz! Teraz konieczne jest zrozumieć wszystko, dlatego że albo socjalizmowi uda się dobrać do wnętrza człowieka aż do ostatniej skrytki i wypuścić stamtąd ropę, która nagromadziła się kroplami przez całe wieki, albo nic nowego się nie wydarzy i każda jednostka odejdzie żyć w odosobnieniu, pieczołowicie rozpalając w sobie straszną tajemnicę duszy, aby znowu z lubieżną rozpacą wpić się w drugiego i przekształcić powierzchnię ziemską w samotną pustynię z ostatnim płaczącym człowiekiem...

– Jak wiele trzeba nam się natrudzić! – głośno powiedział Sartorius. – Nie przychodź, Moskwko, nie mam teraz czasu...

O północy Bożko zagotował wodę na herbatę elektryczną grzałką i z szacunkiem zaczął częstować Sartoriusa. Serdecznie powoził młodego, pracowitego inżyniera, który z chęcią przyszedł pracować do mało znaczącego, nieznanego przemysłu, pozostawiając na boku chwałę awiacji, rozbicia atomu i maksymalnych prędkości. Pili herbatę i prowadzili rozmowę o wykorzenieniu braku odważników, o dwudziestej pierwszej regule kontroli Wagowych przyrządów pomiarowych i o innych podobnych, nudnych w swej formie kwestiach. U Bożki

⁷ Tu i dalej słowa ujęte w nawiasy kwadratowe stanowią wariant autorski tekstu.

kryła się jednak za tym pasją całego serca, dlatego że dokładny odważnik pociągał za sobą jakąś część pomyślności kołchozowej rodziny, wspierał rozkwit socjalizmu, wlewał wreszcie nadzieję w duszę wszystkich nieposiadających na kuli ziemskiej. Odważnik, rzecz jasna, sprawa niewielka, ale Bożko i siebie uważał za niewielkiego, tak że dla jego szczęścia materiału wystarczyło zawsze.

Stolica zasypiała, jedynie gdzieś w oddali stukała maszyna w zapóźnionej kancelarii i słychać było, jak syfonią kominy MOGES-u⁸, większość ludzi leżała jednak, spoczywała w objęciach albo karmiła się w ciemnościach mieszkań sekretami swoich skrytych dusz, mrocznymi ideami egoizmu i fałszywej szczęśliwości.

– Późno – rzekł Sartorius, wypiwszy herbatę z Bożką. – Wszyscy już śpią w Moskwie, sama tylko kanalia na pewno nie śpi, pożąda i dręczy się.

– A to co za jedni, Siemionie Aleksiejewiczu? – zapytał Bożko.

– Ci, którzy mają duszę.

Bożko z grzeczności gotów był do odpowiedzi, ale zmilczał, ponieważ nie wiedział, co rzec.

– A duszę mają wszyscy – ponuro rzekł Sartorius; w znużeniu położył głowę na stole, było mu nudno i nienawistnie, noc mijała męcząco, jak monotonne bicie serca w nieszczęsnej piersi.

– Czyżby akuratnie odkryto, że wszędzie jest dusza? – zapytał Bożko.

– Nie, nie ze ścisłością – wyjaśnił Sartorius. – Ona jest jeszcze nieznaną.

Sartorius zamilkł; jego umysł wyteżał się w walce ze swym wąskim, biedującym uczuciem, bez ustanku kochającym Moskwę Czestnową, i tylko w słabym świetle świadomości tkwił pozostały różnorodny świat.

– A czy nie można by szybciej odkryć duszy, co ona za jedna – interesował się Bożko. – Bo i naprawdę: niechbyśmy już cały świat przerobili i zrobi się dobrze. A ile nieczystości naciekło w ludzkość przez tysiące lat zezwierzęcenia, trzeba to gdzieś podziąć!... Nawet ciało nasze nie jest takie, jak trzeba, obrzydlistwo w nim zaległo.

– Jest w nim obrzydlistwo – potwierdził Sartorius.

– Kiedy byłem chłopakiem – oznajmił Bożko – często chciałem, żeby wszyscy ludzie naraz umarli, a ja rankiem obudzę się tylko sam. Ale wszystko niech zostanie: i jedzenie, i wszystkie domy, i jeszcze samotna piękna dziewczyna, która też nie umrze, i zejdziemy się z nią nierozłącznie...

Sartorius ze smutkiem popatrzył na niego: jacy my wszyscy podobni, jedna i ta sama zgnilizna płynie w naszym ciele!

– Ja też tak myślałem, kiedy kochałem pewną kobietę.

– Kogóż to, Siemionie Aleksiejewiczu?

– Czestnową Moskwę – odpowiedział Sartorius.

– Ach, ją! – bezgłośnie wyrzekł Bożko.

– Wyście ją też znali?

– Pośrednio tylko, nie za dobrze, Siemionie Aleksiejewiczu, ja tam byłem bez znaczenia.

– Nic to! – opamiętał się Sartorius. – Wmieszamy się teraz w głąb człowieka, odnajdziemy jego biedną, straszną duszę.

– Pora by już, Siemionie Aleksiejewiczu! – potwierdził Bożko. – Jakoś sprzykrzyło się być przez cały czas starym naturalnym człowiekiem: nuda tkwi w sercu. Okaleczyła nas historia-mamusia!

Wkrótce Bożko ułożył się do snu na stole, przygotowawszy dla Sartoriusa posłanie w fotelu kierownika. Bożko był teraz jeszcze bardziej zadowolony, jako że najlepsi inżynierowie zatroszczyli się o przeróbkę wewnętrznej duszy. Od dawna lękał się w skrytości

⁸ MOGES – Moskowskoje Objedinenije Gosudarstwiennych Elektrostancij (Moskiewskie Zrzeszenie Elektrowni Państwowych).

o komunizm: czy aby nie zbrukają go wściekle drgawki [obcy duch], które co chwila wzbierają w czeluściach ludzkiego organizmu! Wszak odwieczne, długotrwałe zło głęboko wżarło się w miąższ życia, nawet samo nasze ciało jest z pewnością jednym wezbranym uporczywym wrzodem albo takim łotróstwem, które specjalnie oddzieliło się od całego świata, aby pogłębić go i pożreć w cichości...

Rankiem, kiedy Bożko się obudził, stwierdził, że Sartorius w ogóle się nie kładł. Przygotował całą stertę schematów technicznych i wyliczeń dla elektrycznego parku wagowego, lecz jego twarz nosiła jednocześnie obeschłe ślady łez i bruzd walki z nieodłączną rozpaczą stęsknionego uczucia.

Tego samego dnia wieczorem Bożko zwołał prezydium związku zawodowego, gdzie taktownie poinformował o osobistej zgryzocie inżyniera Sartoriusa i naszkicował działania zmierzające do zmniejszenia jego cierpień.

– Nauczylismy się ingerować jedynie w coś, co jest ogólne i powszechne – mówił Bożko na prezydium – a tymczasem trzeba spróbować pomóc także czemuś, co jest prywatne i głębokie. Przemyślcie to, towarzysze, po radziecku i po ludzku – pamiętacie przecież, jak Stalin niósł urnę z prochami inżyniera Fiedosiejki...⁹ Jakkolwiek z uwagi na jego uczucie ból towarzysza Sartoriusa jest niezwykły, ukoić go należy w sposób zwyczajny, dlatego że w życiu, jak zaobserwowałem, choć może niedokładnie, najsilniej przemawiają rzeczy najzwyczajniejsze: tak przynajmniej sądzę.

Maszynistka Liza, członkini związku zawodowego, z łatwawierną gotowością pokochała na swój rachunek Sartoriusa, ale potem zrobiło jej się wstyd. Była delikatna i niezdecydowana, a jej twarz prawie zawsze miała różowy kolor od napięcia w stosunkach z ludźmi. Niewinna, wcześniej się zaokrągląła, jej ciemne włosy rosły coraz gęściej, a powierzchowność stawała się tak ponętna, że wielu zwracało uwagę i myślało o Lizie jako o swoim szczęściu. Jeden Sartorius postrzegał ją jakoś mimochodem i niczego z nią nie wiązał.

Po dwóch dniach Bożko poradził Sartoriusowi przyjrzeć się Lizie – jest bardzo miła i dobra, ale z powodu skromności nieszczęśliwa.

W dalszym czasie, dzięki wspólnym sprawom biurowym, Sartorius bliżej poznał Lizę i pewnego razu z zakłopotaniem poglądził jej rękę, która leżała na stoliku do maszyny, nie wiedząc, co rzec. Liza milczała i nie usunęła ręki; był już wieczór, księżyc szybko niczym czas wschodził na niebie za ścianami instytucji, zupełnie jakby odmierzał chwilową, upływającą młodość.

Liza i Sartorius wyszli razem na ulicę, wypełnioną tak ciasnym ruchem ludzi, że wydawało się, jakby dokonywało się tutaj rozmnażanie społeczeństwa. Pojechali tramwajem w okolice miasta; była tam już późna jesień, w kępiastych polach trwała chłodna suchość, a rosnące niegdyś tu żyto, oświetlone łuną północnej moskiewskiej poświaty, teraz było skoszone i miejsce leżało opustoszałe. W strachu przed swoim wspomnieniem Sartorius objął Lizę, szeroko wpatrując się w samotny mrok nocy; Liza w odpowiedzi przyłgnęła do niego, ogrzewając się i zagarniając go rękami jak zapobiegliwa gospodyni.

Od tej pory Sartorius znalazł w biurze ukojenie dla swej duszy i jego tęskny ból z powodu Moskwy Czestnowej zamienił się w smętną pamięć o niej, jakby już nie żyła... Za kamienną wagę dostał dużo pieniędzy, ubrał za nie Lizę szykownie i przez pewien czas żył lekko, a nawet wesoło, oddając się miłości, bywaniu w teatrach i bieżącym przyjemnościom. Liza była mu wierna i szczęśliwa i tylko jednego się bała – żeby Sartorius jej nie zostawił; dlatego długo wpatrywała się w jego twarz, kiedy spał, i myślała o tym, żeby jakoś bezboleśnie i niezauważalnie uszkodzić powierzchowność Sartoriusa, chociaż i tak nie był za bardzo przystojny – wtedy, jako pokraki, nie pokocha go już inna kobieta i będzie on żył z nią do

⁹ Fiedosiejko Paweł Fiodorowicz (1897-1934) – radziecki aeronauta, 30 stycznia 1934 r., wraz z Basienką i Usyskinem, na stratostacie „Osoawiachim-1” osiągnął wysokość 22000 metrów. Wszyscy uczestnicy wyprawy zginęli w katastrofie przy lądowaniu.

samej śmierci. Jednakże Liza niczego wymyślić nie potrafiła i nie wiedziała, co zrobić, żeby dla całego świata Sartorius stał się zniechodzony – i kiedy uśmiechał się we śnie do nie znanego lekkiego marzenia sennego, u Lizy pojawiały się łzy udręki, zazdrości i rodzącego się gniewu.

Umysł Sartoriusa uspokoił się; znowu bezwiednie, jak w torebce nasiennej, wzbierały w nim myśli i fantazje, wtedy budził się, wypełniony odkryciami geograficznymi i odległymi obrazami; wyobrażał sobie biedniackie południowo-radzieckie Chiny i szwedzkiego uczonego Malmgrena, zapomnianego już przez cały świat, który zamarzył w lodach. I z niepokojem wywołanym odpowiedzialnością swego życia, ze strachem spowodowanym jego szybkością, lekkomyślnością i rzekomym zaspokojeniem, Sartorius pracował coraz pośpieszniej, bojąc się umrzeć albo znowu pokochać Moskwę Czestnową i wówczas zadreżyc się.

Nadeszła zima. Wiele nocy Sartorius przesiedział w instytucji, Liza tymczasem zaś pisała coś w oddali na maszynie. Zaprojektował elektryczną wagę, która ważyła gwiazdy na odległość, kiedy ukazywały się nad horyzontem wschodu, za co ucałował go zastępca komisarza ludowego przemysłu ciężkiego; Sartorius jednak tracił stopniowo zainteresowanie dla wag i gwiazd: czuł w sobie nie sprecyzowany niepokój, nie dający się objaśnić jego szczęśliwą młodością, a tajemnica ludzkiego życia była dla niego niejasna; czuł się tak, jakby przed nim ludzie nie żyli i jego właśnie czekało przemęczenie się wszystkimi mękami, doświadczenie wszystkiego od początku, ażeby znaleźć dla ciała każdego człowieka jeszcze nie istniejące, wielkie życie. W smutku i nieznośności, byle tylko znużyć się i odmienić myśli, całował swoją Lizę, ona zaś przyjmowała poważnie jego uczucie. Potem jednak długo spał z wycieńczonym sercem i budził się w rozpacz. Moskwa Czestnowa miała rację, że miłość to nie komunizm [przyszłość] i że namiętność jest smutna.

11

Zimą o drugiej w nocy winda 18. szybu metra zadziałała na sygnał awaryjny – na górę wywieziono dziewczynę-górniczkę i wezwano karetkę pogotowia. Dziewczyna miała zmiądzoną prawą nogę w górnej, pełnej części, powyżej kolana.

– Bardzo was boli czy nie? – pochylił się nad nią szary ze zmęczenia i strachu kierownik robót.

– No pewnie, ale nie aż tak bardzo! – przytomnie odpowiedziała górniczka. – Może nawet zaraz wstanę...

Rzeczywiście wstała z noszy, przeszła kilka kroków i upadła w śnieg. Uszła z niej krew; na śniegu, oświetlonym reflektorem, krew wydawała się żółta, wyjałowiona już na długo przedtem w ciele, twarz upadłej patrzyła jednak błyszczącymi oczami, a wargi były czerwone od zdrowia albo od wysokiej temperatury.

– Jak to się z wami stało? – dopytywał się kierownik robót, pomagając jej położyć się na noszach.

– Nie pamiętam – odpowiedziała ranna – wpadły na mnie wagonetki i wcisnęły w ślepy chodnik... Ale teraz odejdźcie, będę spała, bo nie chcę czuć bólu.

Kierownik robót odszedł, gotów sam sobie oderwać nogę, byle tylko ta dziewczyna ocalała bez uszczerbku. Przyjechał samochód i odwiózł śpiącą górniczkę do kliniki chirurgicznej.

W eksperymentalnej klinice jako nocny lekarz dyżurny znajdował się Sambikin; pilnych przypadków nie przywożono, siedział więc sam na sam z martwą materią i usiłował wydostać z niej tę mało znaną wesołą substancję, która była przyszykowana dla długiego, lecz nie spełnionego życia.

Przed Sambikinem na stole doświadczalnym leżało operowane niegdyś przez niego dziecko. Długo męczyło się w szpitalu, wczoraj wszakże umarło, a przed śmiercią stało się na krótki czas szalone, ponieważ w kostnych porach na jego głowie, gdzie dokonywano operacji, pojawiła się ropa i natychmiast, z szybkością płomienia, zatrzała jego świadomość. Siostra opowiadała Sambikinowi, że malutki chory zamknął na chwilę spokojne, dobrze wypełnione oczy, a otworzył je puste i obojętne, jakby przebite na wylot.

Sambikin w długiej samotności gładził nagie ciało zmarłego niczym najświętszą socjalistyczną własność, a ból rozpałał się w nim nieludzki, nie do uśmierzenia przez nikogo.

Koło północy dostał się instrumentami do serca w piersi nieboszczyka, po czym wyjął tarczycę z gardła i zaczął badać owe organy aparatami i preparatami, wyszukując, gdzie kryje się nie zużytkowany ładunek żywej energii; Sambikin przekonany był, że życie jest jedynie jedną z rzadkich właściwości wiecznie martwej materii i że owa właściwość ukryta jest w najtrwalszej strukturze substancji, dlatego zmarłym potrzeba równie mało, aby ożyć, jak mało potrzeba było, aby żyć przestali. Co więcej, żywe napięcie toczzonego przez śmierć człowieka jest tak wielkie, że chory bywa silniejszy od zdrowego, a martwy bardziej żywotny od żywego.

Sambikin postanowił martwymi ożywiać martwych, wezwano go jednak do rannej żywej.

Górnicek położono na stole w gabinecie zabiegowym i przykryto twarz podwójnym muślinem – spała.

Sambikin obejrzał jej nogę; krew wydobywała się pod ciśnieniem na zewnątrz i lekko się pieniała; kość była strzaskana w całym przekroju i w głąb rany wżarły się rozmaite nieczystości. Nie naruszone ciało w sąsiedztwie rany miało jednak subtelną smagłą barwę i tak świeżą nabrzmiałą formę późnej niewinności, że górnicek zasługiwała na nieśmiertelność; nawet silny zapach potu, wydzielający się z jej skóry, niósł w sobie wdzięk i pobudzał życie, przypominając zboże i rozległą trawiastą przestrzeń.

Sambikin zadysponował przygotowanie okaleczonej do operacji na następny dzień.

Nazajutrz Sambikin ujrzał na stole operacyjnym Moskwę Czestnową; była przytomna i przywitała się z nim, ale jej noga stała się ciemna, a żyły na niej, wypełnione martwą krwią, nabrzmiały jak u sklerotycznej staruszki. Moskwa była już umyta i ogolono jej włosy w pachwinie.

– No, teraz do widzenia – powiedział Sambikin, rozcierając swoje duże ręce.

– Do widzenia – odrzekła Moskwa i zaczęła błędzić oczyma, dlatego że siostra dała jej do wdychania środek usypiający.

Zapadła w sen i poruszyła szemrzącymi wargami z pragnienia rozgorączkowanego ciała.

– Zasnęła – powiedziała siostra, obnażając całą Moskwę.

Sambikin długo pracował nad nogą, dopóki nie oddzielił jej całkowicie, ażeby uchronić organizm przed gangreną; Moskwa leżała spokojna; nieokreślony smutny sen przepływał przez jej świadomość – biegła ulicą, gdzie mieszkały zwierzęta i ludzie, zwierzęta odrywały od niej kawałki ciała i zjadały je, ludzie wczepiali się i zatrzymywali ją, lecz ona uciekała od nich dalej, w dół, ku pustemu morzu, gdzie ktoś po niej płakał; jej tułów co chwila się zmniejszał, ubranie dawno zerwali ludzie, w końcu pozostały sterczące kości – wówczas i te kości zaczęły obłamywać mijane dzieci, ale Moskwa, czując swą chudość i ciągle zmniejszanie się, uparcie biegła dalej, byle tylko nie wracać do strasznych porzuconych miejsc, skąd uciekła, byle ocaleć chociażby w postaci marnej istoty składającej się z kilku suchych kości... Upadła na szorstkie kamienie i wszyscy, którzy szarpali ją i zjadali w czasie ucieczki, zwalili się na nią ogromnym ciężarem.

Moskwa zbudziła się. Pochylony, obejmował ją Sambikin i brudził krwią jej piersi, szyję i brzuch.

– Pić! – poprosiła Moskwa.

W operacyjnej nikogo nie było, swoje pomocnice siostry Sambikin dawno odesłał, gdzieś w odległym kącie syczał gazowy palnik.

– Jestem teraz chroma – powiedziała Czestnowa.

– Tak – odrzekł Sambikin, nie puszczając jej. – Ale to wszystko jedno, nie wiem, co wam powiedzieć.

Pocałował ją w usta; z ust wydobywał się duszący zapach chloroformu, on jednak mógł teraz oddychać wszystkim, czym popadło, co ona z siebie wydychała.

– Zaczekajcie, jestem przecież chora – poprosiła Moskwa.

– Wybaczcie – Sambikin odsunął się. – Są rzeczy, które niszczą wszystko, to – wy. Kiedy was ujrzałem, zapomniałem myśleć, myślałem, że umrę...

– No, dobrze – niejasno uśmiechnęła się Moskwa. – Pokażcie mi moją nogę.

– Nie ma jej, poleciłem odesłać ją do mnie do domu.

– Po co? Ja przecież nie jestem nogą...

– A kimże?

– Nie jestem nogą, nie jestem piersią, nie jestem brzuchem, nie jestem oczami – sama nie wiem, kim jestem... Odnieście mnie spać.

Następnego dnia zdrowie Moskwy osłabło, zaczęła się gorączka, popłynął krwawy mocz. Sambikin pukał się po głowie, aby opamiętać się od miłości, analizował swój stan fizjologicznie i psychicznie, śmiał się, usilnie wykrzywiając twarz, niczego jednak nie mógł osiągnąć. Odeszły od niego krzątania i natężenie pracy, chodził jak próżniak po odległych ulicach w samotności, zajęty drętą nieruchomą myślą miłości. Niekiedy opierał głowę o drzewo na nocnym bulwarze, czując nieznośny ból; rzadkie łzy spływały mu po twarzy, a on, wstydzając się, zbierał je językiem wokół ust i połykał.

Drugiej nocy Sambikin wziął serce i tarczycę zmarłego dziecka i przygotował z nich tajemniczą zawieszynę, którą wstrzyknął w ciało Czestnowej. Jako że spać teraz prawie nie mógł, przewałęsał się po mieście do świtu, a rankiem przyjął w klinice matkę zmarłego chłopca – przyszła zabrać swego syna, by go pochować. Sambikin wybrał się z nią, pomógł jej w niezbędnych sprawach, a po południu siedł już obok chudej, drżącej kobiety za furmanką, gdzie w trumnie leżał chłopiec z pustą piersią. Nieznane, dziwne życie odsłoniło się przed nim – życie nieszczęścia i serca, wspomnień, potrzeby pociechy i oddania. Życie to było równie wielkie, jak życie umysłu i wyętej pracy, ale bardziej milczące.

Moskwa Czestnowa zdrowiała długo; poźółkła, a jej ręce wyschły w bezruchu. Za oknem jednak widziała nagie, chude gałęzie jakiegoś podwórkowego szpitalnego drzewa; gałęzie skrobały o szkło okienne w czasie długich marcowych nocy, ziębły i tęskniły, czując porę naciągającego ciepła. Moskwa słuchała poruszeń wilgotnego wiatru i gałęzi, postukiwała im w odpowiedzi palcem po szkle i nie wierzyła ani trochę w biedę i nieszczęście na świecie – to być nie może! „Wkrótce do was wyjdę!” – szeptała na zewnątrz, przyłgnąwszy ustami do szkła.

Pewnego razu w kwietniu, już wieczorem, kiedy w klinice trzeba było spać, Czestnowa usłyszała gdzieś w oddali grę na skrzypcach. Wsłuchała się i poznała muzykę – to grał skrzypek w pobliskiej kooperatywie, gdzie mieszkał Korniągin. Zmieniają się pory roku, życie i pogoda – nadchodziła wiosna, kooperatywny muzyk grał jeszcze lepiej niż przedtem: Moskwa słuchała i wyobrażała sobie nocne parowy na polach i ptaki, które lecą przed siebie na żer poprzez zimny mrok.

Za dnia, jak zazwyczaj, Moskwę często odwiedzały jej przyjaciółki z poprzedniej pracy pod ziemią; raz czy dwa po operacji przychodziła trójca kierownicza szybu metra i przynosiła jej torty w pudełkach na koszt związku zawodowego.

„Wyzdrowieję, wyjdę za mąż za Korniągina – myślała Moskwa nocami, słuchając, jak rozchodzi się w olbrzymim powietrzu muzyka kooperatywnego skrzypka. – Jestem teraz chromą babą!”

Wypisano ją pod koniec kwietnia. Sambikin przyniósł jej nowe solidne kule – na całą długą drogę pozostałego życia. Iść jednak Moskwa nie miała dokąd, przed szpitalem mieszkała w czterdziestym piątym hotelu robotniczym zarządu budowy metra, teraz zaś hotel gdzieś przeniesiono, a ona nie wiedziała gdzie.

Sambikin, otworzywszy drzwi samochodu, czekał na adres, pod jaki ją zawieźć, ale Moskwa uśmiechała się i milczała. Wtedy Sambikin zawiózł ją do siebie.

Po kilku dniach, nie czekając na ostateczne zabliznienie się rany na nodze Moskwy, Sambikin wyjechał z nią na Kaukaz, do domu wypoczynkowego na wybrzeżu czarnomorskim.

Każdego ranka po śniadaniu Sambikin odprowadzał Moskwę nad brzeg szumiącego morza i Moskwa godzinami wpatrywała się w bezpowrotną przestrzeń. „Odejdę, odejdę gdziekolwiek” – szeptała w kółko to samo. Sambikin milczał obok niej, bolały go trzewia, zupełnie jakby powoli się rozkładały, a w opustoszałej głowie tłukła się jedna jedyna żebracza myśl miłości do podupałego, beznogiego ciała Moskwy. Sambikin wstydził się takiego żalosnego życia; martwą poobiednią porą uciekał w górskie zarośla i tam mamrotał, łamał suche gałęzie, śpiewał, błagał całą naturę, by odczepiła się od niego i dała mu wreszcie spokój i zdolność do pracy, kładł się na ziemi i czuł, jakie to wszystko nieciekawe.

Wracając pod wieczór, Sambikin często nie mógł nawet dostać się do Czestnowej, tak była otaczana uwagą, troską i natręctwem tyjących na urlopie mężczyzn. Kalectwo Moskwy było teraz mało zauważalne – przywieziono jej protezę z Tuapse i chodziła bez kul, jedynie z laseczką, na której każdy, komu się Moskwa podobała, zdążył już wyciąć swoje imię, datę i narysować symbole szalonej namiętności. Moskwa oglądała swoją laskę i wiedziała, że należałoby się powiesić, gdyby te rysunki miały być szczere: znajomi ludzie rysowali w istocie tylko jedno: jak bardzo chcieliby mieć z nią dzieci.

Pewnego razu zachciało się Moskwie winogron, ale wiosną przecież nie rosną. Sambikin obchodził okoliczne kołchozy, jednakże wszędzie winogrona już dawno były zamienione w wino. Moskwa bardzo się zmartwiła – po utracie nogi i chorobie pojawiły się u niej rozmaite zachcianki w formie zniecierpliwienia z powodu jakiegoś głupstwa. Każdego dnia myślała sobie, na przykład, głowę, ponieważ przez cały czas czuła we włosach brud i nawet płakała ze zmartwienia, że brudu nijak nie ubywa. Kiedy Moskwa jak zwykle myślała pewnego razu wieczorem głowę nad miską w ogrodzie, do płotu podszedł leciwy góral i zaczął w milczeniu się przyglądać.

– Dziadku, przynieś mi winogron! – poprosiła Moskwa. – A może ty ich nie masz?

– Nie mam – odpowiedział górski człowiek. – Skąd by one teraz!

– W takim razie nie patrz na mnie – powiedziała Czestnowa. – Czyżbyście nie mieli ani jednej jagódki, przecież widzisz, że jestem beznoga...

Góral odszedł bez odpowiedzi, nazajutrz zaś Moskwa ujrzała go znowu. Zaczekał, dopóki Moskwa nie wyszła na ganek domu, i podarował jej nowy koszyk, gdzie pod świeżymi liśćmi leżały starannie wybrane winogrona, ważące ponad pud. W ślad za koszykiem góral podał Moskwie malutką rzecz – barwną szmatkę; Moskwa rozwinęła ją i zobaczyła tam ludzki paznokieć z kciuka. Nie rozumiała.

– Weź, rosyjska córeczko – objaśniał stary chłop. – Mam sześćdziesiąt lat, dlatego daję ci swój paznokieć. Gdybym miał czterdzieści, przyniósłbym ci swój palec, a gdyby trzydzieści, też odjąłbym sobie tę nogę, której i ty nie masz.

Moskwa nachmurzyła się, aby spokojnie powściągnąć swoją radość, a potem odwróciła się, by uciec, i upadła, uderzając o kamień progu niezwywym drewnem nogi.

Góral nie chciał wiedzieć o człowieku wszystkiego, ale tylko to, co najlepsze, dlatego odszedł zaraz do swej chaty i już nigdy więcej się nie pojawił.

Minął czas wypoczynku i leczenia, Moskwa wyzdrowiała ostatecznie i przyzwyczaiła się do drewnianej nogi jak do żywej. Po dawnemu każdego dnia Sambikin odprowadzał ją nad

brzeg morza i zostawiał samą.

Ruch wody w przestrzeni przypominał Moskwie Czestnowej o wielkim przeznaczeniu jej życia, o tym, że świat rzeczywiście jest nieskończony, a jego krańce nie spotkają się nigdzie – człowiek jest bezpowrotny.

Przed dniem wyjazdu miłość Sambikina do Moskwy przekształciła się już dla niego w taką umysłową zagadkę, że Sambikin bez reszty oddał się jej rozwiązywaniu i zapomniał w swoim sercu o pełnym cierpienia uczuciu.

12

Sartorius utracił sławę wszechwiązkowego inżyniera; w całości skoncentrował się na sprawach drugorzędnej instytucji i stopniowo stracili go z oczu dawni towarzysze i znakomite instytucje. Coraz rzadziej i rzadziej chodził nocować do domu, pozostając na wypoczynek w tejże instytucji, dlatego zgodnie z prawem lokalowym wypisano go pewnego razu z książki domowej, a rzeczy złożono w celi przy komisariacie milicji. Sartorius, pochłonięty swym milczącym życiem, zabrał rzeczy z celi i zwałił je w kącie, gdzie zwykle drzemał dozorca trustu – w ramach walki z możliwą grabieżą mienia. Od tej pory instytucja ostatecznie stała się dla Sartoriusa rodziną, schronieniem i nowym światem: tam żył z wierną dziewczyną Lizą, przyjaźnił się szeroko ze współpracownikami, a związek zawodowy – na czele z Bożką – chronił go od wszelkiej zgryzoty i nieszczęścia.

Za dnia Sartorius był prawie zawsze szczęśliwy i zadowolony z bieżącej pracy, nocami jednak, kiedy leżał na wznak na aktach starych spraw, w jego wnętrzu rodziła się tęsknota, wyrastała spod kości klatki piersiowej jak drzewo i wznosiła się ku sklepieniu Starego Targowiska, gdzie drżała czarnymi liśćmi. Jako że Sartorius prawie zupełnie nie potrafił marzyć, mógł jedynie męczyć się i obserwować – co to może być.

Jego umysł coraz bardziej ubożał, plecy słabły od zajęć, lecz Sartorius cierpliwie znosił samego siebie; jedynie z rzadka bolało go serce – uporczywie i długo, w dalekiej głębinie ciała, odzywając się tam ciemnym, wyjąłym głosem. Wtedy Sartorius oddalał się za szafę z dawnymi sprawami i stał pośród inwentarza przez pewien czas, dopóki w samotności i monotonii nie mijała owa gryząca udręka uczucia.

Nocami Sartorius spał mało. Chodził w gościnę do rodziny maszynistki Lizy, pił herbatę z nią i z jej niewielką matką staruszką, która lubiła mówić o współczesnej literaturze, szczególnie zaś o drogach rozwoju sztuk plastycznych – i potulnie uśmiechała się z rozpaczy. Niekiedy przychodził tutaj również Wiktor Wasiljewicz Bożko: kiedyś, przed Sartoriusem, Lizę przeznaczano dla Bożki na narzeczoną, lecz pogrążywszy się w sprawach instytucji i w codziennej atmosferze wraz ze wszystkimi współpracownikami, Bożko nie widział na razie ostrej potrzeby odosabniania się we współmieszkalnym małżeństwie i wręcz skłonił Lizę do pocieszenia Sartoriusa. Pożytek i szczęście współpracownika przyćmiły w Bożce żywioł sercowych namiętności, za ognisko zaś, ogrzewające jego osobistą duszę, służył mu trust wag i odważników. Teraz, zastając Sartoriusa i Lizę u wspólnej staruszki, Wiktor Wasiljewicz dokładał starań, aby się zaręczyli; pochlebiało mu to, że młodzi ludzie nawet pokochawszy się, pozostaną w tej samej instytucji, w tym samym związku zawodowym i nie opuszczą niewielkiego, lecz ścisłego systemu przemysłu wagowego.

Kiedy zaś Sartorius nie odwiedzał Lizy, chodził całymi wiorstami po mieście, długo przyglądał się, jak waży się zboże i warzywa w sklepach na elektrycznych wagach jego konstrukcji, i wzdychał od kłębiącego się w nim smętnego procesu niezmiennego istnienia. Po czym, kiedy nocne puste tramwaje pospiesznie mknęły w ostatnie kursy, Sartorius długo wpatrywał się w obce, nieopięte twarze rzadkich pasażerów. Spodziewał się ujrzeć gdzieś

Moskwę Czestnową, jej miłe włosy, zwisające przez otwarte tramwajowe okno, podczas gdy jej głowa leży na parapecie i śpi na wietrze jazdy.

Kochał ją nieustannie; jej głos dźwięczał mu zawsze w najbliższej przestrzeni – wystarczyło mu przypomnieć sobie jakiegokolwiek słowo Moskwy i natychmiast widział we wspomnieniu znajome usta, wierne chmurne oczy i ciepło łagodnych warg. Czasami śniła się ona Sartoriusowi, godna litości albo już zmarła, gdy leży zanędziała ostatni dzień przed pogrzebaniem. Sartorius budził się ze zgryzoty i okrucieństwa i natychmiast zabierał się do jakiegoś pożytecznego zajęcia w swojej instytucji, byle tylko przytłumić w sobie tę tak smutną i niepoprawną myśl. Zazwyczaj jednak Sartorius niczego nie śnił, nie posiadał bowiem zdolności jałowego przeżywania.

Niemalże jednakowo, jedynie z niewielkimi odmianami, mijał czas w ciągu wielu miesięcy. Kobiety już dawno założyły ciepłe czapki, otwarto ślizgawki, drzewa na bulwarach zasnęły, utrzymując śnieg na gałęziach do wiosny, stacje elektryczne pracowały z coraz większym wysiłkiem, rozświetlając narastające ciemności – Moskwy Czestnowej nigdzie nie było: ani w naturze, ani w informacjach z biura adresowego.

Pośród pewnego zimowego dnia Sartorius odwiedził doktora Sambikina. Ów wrócił z nocnej pracy w klinice i siedział nieruchomo, śledząc bieg kolejnej zagadki w swoim umyśle.

Dziwne, ale obydwaj towarzysze spotkali się po długiej rozłące bez radości, chociaż Sambikin, jak zwykle, widział w odwiedzinach Sartoriusa wydarzenie doniosłe i nawet popadł w zakłopotanie.

Później okazało się, że Sambikin kochał Moskwę bezmyślnie i świadomie odszedł od niej, aby rozwiązać w spokoju cały problem miłości jako takiej, dlatego że jest to zbyt poważne zadanie – rzucać się bowiem z głową w rzecz niewiadomą jest niedopuszczalne. I dopiero po osiągnięciu jasności we własnej kwestii uczuciowej Sambikin myśli spotkać się z Moskwą, aby przeżyć z nią resztę czasu do śmiertelnej kremacji.

– Ona jest teraz bez nogi – powiedział Sambikin – i mieszka w pokoju członka Osodmiłu, towarzysza Korniągina. Nazwisko jej też już nie jest Czestnowa.

– Dlaczego porzuciłeś ją beznogą i samotną? – zapytał Sartorius. – Przecież ją kochałeś.

Sambikin niesłychanie się zdziwił:

– Dziwne by było, gdybym kochał jedną kobietę na świecie, kiedy istnieje ich cały miliard, a wśród nich jest na pewno jeszcze wyższy urok. Na początek trzeba to dokładnie wyjaśnić, jest w tym wyraźne nieporozumienie ludzkiego serca – nic więcej.

Sartorius, poznawszy adres Moskwy, zostawił Sambikina samego. Doktor nie odprowadził Sartoriusa do drzwi i siedział jak przedtem w pełnym zadumaniu w przedmiocie wszystkich najważniejszych zadań ludzkości, pragnąc ogólnoświatowej jasności i jednoznaczności we wszystkich punktach szczęścia i cierpienia.

Wieczorem Siemion Sartorius wszedł na podwórko kooperatywy mieszkaniowej w rejonie baumanowskim, gdzie mieszkał Korniągin. Instytut Medycyny Eksperymentalnej za ogrodzeniem domu był już wybudowany i oświetlony czystym ogniem elektryczności. Przy wejściu do administracji domu siedział stary żebrak z łysą głową, jego czapka leżała na ziemi wewnątrz do góry, a w poprzek niej leżał smyczek od skrzypiec. Sartorius włożył do czapki trochę pieniędzy i zapytał biedaka: dlaczego leży przy nim smyczek.

– To mój znak – odrzekł stary człowiek. – Ja przecież zbieram nie jałmużnę, ale emeryturę: przez całe życie z uniesieniem grałem w Moskwie, słuchały mnie tutaj z zadowoleniem wszystkie pokolenia mieszkańców – niech dają na wikt, dopóki na śmierć jeszcze nie pora!

– Lepiej gralibyście na skrzypcach – po co żebrać! – poradził Sartorius.

– Nie mogę – odmówił starzec. – Ręce mi się trzęsą z napadów słabości. A to dla sztuki nie wystarcza – partaczem być nie mogę. Żebrakiem – mogę.

W długim korytarzu starego domu pachniało jeszcze wieloletnimi resztkami jodoformu i

chlorowanego wapna; zapewne kiedyś w czasie wojny domowej był tutaj szpital i leżeli czerwonoarmiści – teraz mieszkają lokatorzy.

Sartorius podszedł do drzwi Korniągina; za drzwiami słychać było cichy głos Moskwy Czestnowej; leżała pewnie w łóżku i rozmawiała z mężem-współlokatorem.

– Czy pamiętasz, opowiadałam ci, jak w dzieciństwie widziałam ciemnego człowieka z płonąca pochodnią – biegi nocą po ulicy, a była mroczna jesień i takie niskie niebo, że nie było czym... oddychać...

– Pamiętam – powiedział męski głos. – Pokazywałem ci przecież, jak biegałem wtedy na wrogów: to byłem ja.

– Tamten był stary – ze smutkiem powątpiewała Moskwa.

– Niech będzie stary. Kiedy człowiek żyje jako mała dziewczynka, to szesnastolatek wydaje mu się leciwym starcem.

– Słusznie – wyrzekła Moskwa; jej głos był odrobinę figlarny, odrobinę smutny, zupełnie jakby była czterdziestoletnią kobietą z XIX wieku, a rozmowa toczyła się w dużym mieszkaniu. – Tyś teraz wypalił się i zwęglił.

– Absolutna racja, Musiu – powiedział Korniągin; zwracał się do niej zdrobniale. – Zanikam, jestem przebrzmiałą pieśnią, moja marszruta się kończy, wkrótce zwałę się w parów osobistej śmierci...

Musia zmilczała, a potem powiedziała:

– Ptak, który śpiewał twoją pieśń, też już dawno odleciał do ciepłych krajów. Cały ty jesteś jakimś żalonym człowiekiem, jak dawny chłop!

– Starłem się cały – odpowiedział Korniągin. – Wszystko jasne. Teraz niczego nie kocham oprócz porządeczku w naszej republice.

Musia łagodnie się zaśmiała, tak jak to ona potrafiła.

– Jesteś szeregowcem rezerwy drugiej kategorii! Jak mogłam spotkać cię takiego wśród ogromnej liczby innych?

Wyjaśnił:

– Bo świat przecież nie jest bardzo wielki, dwa razy specjalnie to przemyślałem. Kiedy patrzysz na globus albo na mapę, to wydaje się dużo, a w istocie nie za bardzo, poza tym wszystko jest przeliczone i zapisane: w pół godziny można przebiec oczyma cały rejestr ludności i terytorium – z imieniem, imieniem ojca, nazwiskiem i podstawowymi danymi charakterystyki!

W korytarzu zgasło światło z racji nadejścia jakiejś maksymalnej pory nocy i ekonomicznego nadzoru pełnomocnika do spraw energii. Sartorius oparł się głową o zimną rurę kanalizacyjną, którą niegdyś obejmowała Moskwa, i słyszał w niej z przerwami potoki nieczystości z górnych pięter.

– To nawet dobrze, że cała Ziemia jest mała: można na niej spokojnie żyć! – mówił Korniągin.

Musia-Moskwa milczała. Wreszcie stuknęła jej drewniana noga. Sartorius domyślił się, że usiadła.

– Korniągin, czyżbyś ty był bolszewikiem? – zapytała.

– A po co – nie, nie byłem nigdy!

– To dlaczego biegłeś z pochodnią wtedy w siedemnastym roku, kiedy ja jeszcze zaledwie rosłam?

– Trzeba było – rzekł Korniągin. – W tym czasie nie było przecież ani milicji, ani Osodmiłu – tym bardziej. Ludności przychodziło samej bronić się przed wszystkimi wrogami.

– Tam gdzie my mieszkaliśmy i ty – tam byli prawie sami żebracy i głodujący... Majątek mojego ojca wart był ze trzy ruble, a i to trzeba byłoby zedrzeć go z ciała i wyrwać z brzucha – czegoście pilnowali, głupcy, po coś biegał z pochodnią?

– Byłem inspektorem samoobrony, biegałem, sprawdzałem posterunki... Kiedy

wszystkiego mało, to oznacza to biedę, a ją trzeba chronić jeszcze bardziej, to największy skarb: drewniana łyżka staje się srebrną! Tak to, moja droga!

– A czy wystrzelił ktoś i w więzieniu podniosły się wrzaski?... Tylko mi nie kłam!

– Po co kłamać! Prawda jest gorsza. Wystrzelił przytający chuligan, a w więzieniu odbywał się mityng, karmiono tam dobrze i nikt nie chciał wychodzić – trzeba było siłą usuwać na wolność. Ja też po znajomości jadałem tam kapuśniak u nadzorca.

Moskwa długo zdejmowała ubranie, sapała i postukiwała drewnianą nogą – na pewno kładła się już na dobre.

Sartorius czekał w strachu dalszego ciągu. Po korytarzu z rzadka chodzili lokatorzy do wspólnej ubikacji, ale obcemu człowiekowi w ciemnościach nie przyglądali się jako nawykli do rozlicznych i rozmaitych niepojętych zjawisk.

– Jesteś jak ślepy w pokrzywach – powiedziała Moskwa za drzwiami. – Nie kładź się ze mną, paskudo jedna!

– Skrzypisz, drewniana nogo! – cierpliwie wytknął jej Korniągin. – Ty naszego życia wyjątkowego nie znasz...

– Nie, znam. Zabić cię trzeba, oto w czym życie.

– Zaczekaj, ja jeszcze ani jednej sprawy nie dokończyłem, najważniejszych myśli nie domyślałem...

– To kiedy z tym zdążysz, przecież się starzejesz... Na co liczysz?

Korniągin skromnie oświadczył, że ma nadzieję wygrać na pożyczce premiowej kilka tysięcy rubli, a wówczas otrząśnie się od myśli i zakończy wszystkie rozpoczęte sprawy.

– Ale to przecież może nastąpić nieprędko! – ze smutkiem mówiła Moskwa.

– Jeśli nawet na godzinę przed śmiercią, to mnie wystarczy! – określił Korniągin. – Wszystko jedno, choćbym i nie wygrał, choćbym i nie uczynił swego życia normalnym, wszystko jedno – postanowiłem, że jak poczuję naturalny koniec, to zabiorę się za wszystkie sprawy i wtedy wszystko zakończę i wyrozumiem w jakąś dobę, więcej mi nie trzeba. Nawet w godzinę można się uporać ze wszystkimi życiowymi zadaniami!... W życiu niczego szczególnego nie ma – specjalnie o nim myślałem i trafnie to spostrzegłem. Przecież tak tylko się wydaje, że trzeba żyć ze sto lat, a i tego czasu ledwie ci wystarczy na wszystkie zadania! Bynajmniej nieprawda! Można przeżyć na próżno czterdzieści lat, a potem jak się weźmiesz na godzinę przed śmiertelnym łóżem, tak wszystko, po coś się urodził, wykonasz w porządeczku!...

Więcej nie rozmawiali. Korniągin, sądząc po odgłosach, ułożył się na podłodze i długo wzdychał ze strapienia, że czas idzie, a jego sprawy stoją. Sartorius tkwił przygnębiony, nie mając żadnej decyzji. Słyszał, jak ktoś zamknął zewnętrzne drzwi wejściowe i poszedł spać do swego pokoju jako ostatni człowiek. Sartorius jednak nie bał się spędzić całej nocy w mroku korytarza; czekał, czy Korniągin wkrótce nie umrze, tak aby samemu wejść do pokoju i pozostać tam z Moskwą. Nie spał w oczekiwaniu, obserwując w ciemnej ciszy, jak stopniowo postępuje czas nocy, pełen wydarzeń. Zza trzecich drzwi, licząc od rury kanalizacyjnej, zaczęły docierać regularne odgłosy kopulacji; rezerwuar na ścianie ubikacji syczał powietrzem to mocniej, to słabiej, oddając pracę potężnego wodociągu; w oddali, w końcu korytarza, samotny lokator zaczynał kilka razy krzyżeć przerażony sennymi koszmarami, ale pocieszyć go nie było komu, uspokajał się więc samodzielnie; w pokoju naprzeciwko drzwi Korniągina ktoś, kto specjalnie w tym celu się zbudził, modlił się szeptem do Boga: „Wspomnij na mnie, Panie, w królestwie Twoim, ja przecież także o Tobie pamiętam – i daj mi coś faktycznego: bardzo proszę!” W innych lokalach korytarza również zachodziły rozmaite wydarzenia – drobne, ale nieustanne i niezbędne, tak że noc przepełniona była życiem i działaniem równie mocno, jak dzień. Sartorius słuchał i rozumiał, jak bardzo jest biedny, posiadając tylko jeden jedyny, zamknięty ze wszystkich stron tułów: Moskwa i Korniągin spali za drzwiami; były ich uśmierzone serca, a na korytarzu rozlegało się

powszechne spokojne oddychanie, zupełnie jakby w każdej piersi była sama tylko dobroć.

Sartorius męczył się. Ostrożnie zastukał do drzwi, żeby ktoś się obudził i żeby coś się wydarzyło. Czujna Moskwa poruszyła się i zawołała Korniągina. Ów odezwał się rozdrażniony: czego chce w nocy, kiedy i za dnia nie ma z niego pożytku.

– Sprawdź swoje obligacje – powiedziała Moskwa. – Zapal światło.

– A co? – przestraszył się Korniągin.

– Może wygrałeś... Jeśli wygrałeś, zaczniesz żyć jak należy, jeśli nie – położysz się i umrzesz. Tyś jedyny taki w Związku Radzieckim, jak ci nie wstyd?

Korniągin z wysiłkiem zbierał w swej głowie osłabłe myśli.

– Czym jest dla mnie Związek Radziecki – Związek Radziecki! Wszyscy teraz o nim gadają, a ja żyję sobie w nim jak u Pana Boga za piecem...

– Dość już twego życia, umrzyj jak bohater – niczym żmija natarczywie proponowała Moskwa.

Korniągin rozmyślał: nic szczególnego w istocie nie stanie się, jeśli nawet umrzeć – już tysiące miliardów dusz zniosło śmierć i żadna nie wróciła, by się skarżyć. Najwyraźniej jednak życie wciąż jeszcze pętało go swymi kośćmi, obrosłymi mięsem i siecią żył – zbyt pewna i swojska była mechaniczna trwałość własnego istnienia. Polazł na kolanach między swe niekompletne archiwalia i zaczął przeglądać obligacje, Moskwa zaś z obwieszczenia Narkomfinu¹⁰ czytała mu wykaz serii, na które padła wygrana. Wygraną znaleźli na sumę dziesięciu rubli, ponieważ jednak Korniągin miał tylko ćwiartkę owej fortunnej obligacji, to czystego zysku należało mu się dwa i pół rubla: życie tylko nieznacznie się skrzepiało, a jego wyników wciąż nie można było podsumować bez deficytu.

– I co teraz zrobisz? – zapytała Moskwa.

– Umrę – zgodził się Korniągin. – Żyć jakoś nie pasuje. Odnies jutro na komisariat milicji książeczkę kwitów mandatowych – zwolni ci się pięć rubli z procentów: będziesz się z tego utrzymywała, jak mnie nie będzie.

Położył się potem na czymś i umilkł.

Po chwili Moskwa znowu zadała szeptem pytanie:

– No i jak, Korniągin? – Zwracała się do niego tylko po nazwisku, jak do obcego. – Znowu śpisz, a potem się obudzisz?

– Wątpliwe – odrzekł Korniągin – właśnie się zamyśliłem... A co, gdybym tak popracował jeszcze w Osodmiele z dziesięć lat? – tak bym się nauczył zaprowadzać w narodzie dyscyplinę, że potem mógłbym być Dżyngis-chanem!

– Kończ swoje pogaduszki! – rozgniewała się Moskwa. – Awanturnik! Czas dla siebie kradniesz państwu!

– Nie – odrzucił Korniągin i wyrzekł czule: – Musiu, popieść mnie, to szybciej zmarnieję, do rana będę aniołem – umrę.

– Ja cię popieszczę! – groźnie odezwała się Moskwa. – Ja cię rozdepczę drewnianą nogą, jeśli nie zdechniesz!

– No, skończone, koniec! Mówią, że przed śmiercią trzeba sobie przypomnieć całe życie – nie wymyślaj mi, przypomnę je sobie niezwłocznie.

Nastąpiło milczenie, a w umyśle Korniągina szeregiem przepływały długie lata jego istnienia.

– Przypomniałeś sobie? – przypiliła go wkrótce Moskwa.

– Nie ma czego wspominać – powiedział Korniągin. – Pamiętam same pory roku: jesień, zimą, wiosną, lato, a potem znowu jesień, zimą... W jedenastym i dwudziestym pierwszym roku lato było upalne, a zima goła, bez śniegu, w szesnastym na odwrót – deszcze lały, w siedemnastym zaś jesień była długa, sucha i sprzyjająca rewolucji... Pamiętam jak dzisiaj!

¹⁰ Narkomfin – Narodnyj komissariat finansow (Ludowy Komisariat Finansów).

– Ale ty przecież kochałeś wiele kobiet, Korniągin, to na pewno było twoje szczęście.
– Jakie tam szczęście w człowieku takim jak ja! Nie szczęście, ale nędza nagiej żądy! Miłość to wszak gorzka potrzeba, nic więcej.

– To ty całkiem głupi nie jesteś, Korniągin.

– Średnio – zgodził się Korniągin.

– No, wystarczy – powiedziała Moskwa jasnym głosem.

– Wystarczy – tak samo powtórzył Korniągin.

Ponownie zamilkli, tym razem na długo. Sartorius obojętnie czekał za drzwiami lokalu, żeby wejść do pokoju, kiedy Korniągin zginie. Czuli, jak od ciemności i długiej udręki serca zaczynają boleć go oczy.

Wreszcie Korniągin poprosił, aby Musia otuliła mu głowę kołdrą jak najciaśniej i obwiązała ją poniżej linką, tak aby się nie zsuwała. Moskwa zeszła z łóżka drewnianą nogą i opatuliła Korniągina jak należy, po czym z westchnieniem położyła się z powrotem.

Noc dłużyła się, jakby stała w miejscu. Sartorius ze znużenia usiadł na podłodze: w korytarzu jeszcze nikt się nie obudził, ranek wciąż znajdował się gdzieś nad lustrem Oceanu Spokojnego. Wszystkie odgłosy jednak ustały, wydarzenia najwyraźniej zeszły głębiej w ciała śpiących, w zamian wahadła zegarów ściennych stukwały po pokojach donośnie, zupełnie jakby jakaś fabryka wytwarzała bardzo ważną produkcję. I rzeczywiście, zadanie wahadeł było bardzo ważne: spędzały gromadzący się czas, aby ciężkie i szczęśliwe uczucia przepływały przez człowieka bez zwłoki, nie zatrzymując się i nie gubiąc go ostatecznie.

W pokoju Korniągina wahadło nie postukiwało; docierał stamtąd tylko czysty, równy oddech śpiącej Moskwy; drugiego oddechu nie było słyhać – Sartorius nie mógł go uchwycić. Odczekawszy jeszcze chwilę, zapukał do drzwi.

– Kto tam? – natychmiast zapytała Moskwa.

– Ja – powiedział Sartorius.

Nie wstając, Czestnowa odrzuciła haczyk przy drzwiach palcem zachowanej nogi.

Sartorius wszedł. W pokoju paliło się światło, nie zgaszone po sprawdzaniu obligacji. Na posłaniu na podłodze leżał Korniągin z głową szczelnie zawiniętą w grubą kołdrę; wokół piersi kołdrę utrzymywał cienki, wpijający się sznurek. Moskwa była na łóżku sama, przykryta prześcieradłem; uśmiechnęła się do Sartoriusa i zaczęła z nim rozmawiać. Po chwili Sartorius zapytał ją:

– Jak tyś tutaj trafiła, do cudzego pokoju, i po co?

Moskwa odpowiedziała, że nie miała się gdzie podziać. Sambikin początkowo kochał ją, ale potem zadumał się nad nią jako nad problemem i nieustannie milczał. Jej samej też zrobiło się wstyd żyć wśród dawnych przyjaciół, w pospólnym przystrojonym mieście, będąc chromą, chudą i duchową psychiczką, postanowiła więc ukryć się u swego biednego znajomego, aby przeczekać i znowu odzyskać wesołość.

Siedziała na łóżku, Sartorius znajdował się obok niej. Wkrótce opuściła swą pobladłą twarz, jej długie ciemne włosy zakryły policzki i zapłakała w gęstwinie swych kos. Sartorius zaczął uspokajać ją w objęciach, ale jej było wszystko jedno; wstydziła się i głęboko ukrywała pod sukienką swą drewnianą nogę.

– On śpi? – zapytał Sartorius o Korniągina.

– Nie wiem – powiedziała Moskwa. – Może umarł, sam tego chciał. Pomacaj jego nogi.

Sartorius pomacał końce nóg Korniągina: miały na sobie, niczym krawaty, resztki skarpetek – całe były jedynie górne części, podeszwy zaś i palce obnażyły się do golizny. Palce nóg i pięty okazały się zimne do samych kości, a całe ciało leżało w bezradnej pozycji.

– Na pewno umarł – powiedział Sartorius.

– Pora by – cicho wyrzekła Moskwa.

Sartorius ucieszył się milcząco, że w pomieszczeniu nie ma nikogo żywego oprócz niego i dawnej, ukochanej Moskwy, jeszcze dla niego miłszej i bardziej serdecznej, że jej szczęście i

sława tymczasowo ustały, stąd wszystko znowu jest tylko przed nią, i nie miał żadnego współczucia dla Korniągina. Noc trwała od dawna, obydwójce oni wyczerpali się i położyli obok siebie poleżeć na łóżku.

Korniągin był nieruchomy na dalekiej podłodze; aby nie zabrudzić posłania, Moskwa jeszcze z wieczora położyła mu na podłodze stare „Izwestija” z 1927 roku i teraz światło oświetlało informacje o minionych wydarzeniach. Sartorius objął Moskwę i zrobiło mu się dobrze.

Po jakichś dwóch godzinach po korytarzu zaczęli chodzić ludzie, szykując się do obowiązków i do pracy. Sartorius ocknął się i usiadł na łóżku; Moskwa spała obok, a jej twarz była we śnie łagodna i dobra jak chleb – nie całkiem taka jak zazwyczaj. Korniągin leżał w poprzedniej postaci, elektryczność płonęła jasno i oświetlała cały pokój, gdzie wszystko wymagało przeróbki albo dokończenia. Sartorius zrozumiał, że miłość bierze się z nie wykorzenionej jeszcze ogólnoswiatowej nędzy ludzkości, która nie ma jak dobić się do lepszych, wyższych przeznaczeń. Zgasił światło i położył się, aby otrząsnąć się ze stanu, jaki go ogarnął. Słabe światło, prawie jak księżycowe, zaczęło rozpełzać się po ścianie nad drzwiami, przesączając się przez okno z porannego nieba, a kiedy rozświeciło cały pokój, to zrobiło się w nim jeszcze ciśniej i smutniej niż w nocy przy świetle sztucznym.

Sartorius podszedł do okna; widać było za nim zimne, zadymione miasto; kolejny świt przekradał się po obwisłym brzuchu obojętnej chmury, od której nie sposób oczekiwać ani wiatru, ani burzy. Miliony ludzi zaroily się już jednak na ulicach, niosąc w sobie rozmaite życie; szli poprzez szare światło pracować w warsztatach, zamyślać się w urzędach i w pracowniach kreślarskich – było ich wielu, Sartorius zaś tkwił pojedynczy, nierozłączny ze sobą nigdy. Jego dusza i myśl, razem z jednolitym ciałem, urządzone były aż do śmierci jednakowo.

Nieboszczyk Korniągin leżał jako świadek ponownie spełnionej miłości Sartoriusa [zaszłych w pokoju wydarzeń], lecz nie poruszał się i nie zazdrościł; Moskwa spała obca, odwróciwszy się do ściany śliczną twarzą.

Sartorius przestraszył się, że z całego świata dostała mu się tylko jedna ciepła kropla, przechowywana w piersi, wszystkiego innego zaś nie odczuje i wkrótce zlegnie w kącie jak Korniągin. Serce jego jakby pociemniało, pocieszył je jednak zwyczajnym wyobrażeniem, które przyszło mu do głowy, że należy w pełnym zakresie zbadać bieżące życie za pomocą przekształcenia siebie w innych ludzi. Sartorius pogładził swoje ciało po bokach, skazując je na przenicowanie się na inne istnienie, co jest wbrew prawom natury i przyzwyczajeniu człowieka do samego siebie. Był badaczem i nie oszczędzał siebie dla sekretnego szczęścia, a opór swojej osobowości zamierzał pokonać faktami i okolicznościami, tak aby kolejno mogły wejść w niego nieznane uczucia innych ludzi. Jak już pojawił się, by żyć, to nie wolno zmarnować owej możliwości; trzeba przeniknąć we wszystkie postronne dusze – inaczej wszak się nie da; żyć z samym sobą nie ma czym, a kto tak żyje, ten ginie na długo przed śmiercią [można tylko wytrzeszczyć oczy i zdębieć od idiotyzmu].

Sartorius oparł się twarzą o okienne szkło, obserwując ukochane miasto, z każdą chwilą rosnące w przyszłość, pobudzone pracą, wyrzekające się siebie, brnące naprzód z nierozpoznawalnym i młodym obliczem.

– Cóż ja sam?! Będę jak miasto, jak Moskwa.

Korniągin poruszył się na podłodze i odetchnął swoim własnym wydyszczonym powietrzem.

– Musiu! – zawołał niepewnie. – Zdrętwiałem tutaj na dole: może się do ciebie położyć?

Moskwa otworzyła jedno oko i powiedziała:

– To kładź się!

Korniągin zaczął uwalniać się od duszącej go kołdry, Sartorius zaś wyszedł za drzwi i dalej, do miasta, bez pożegnania.

Przez pewien czas był jak nieżywy. Do maszynistki Lizy przestał chodzić, ponieważ

wyszła nieodwołalnie za mąż za Wiktora Wasiljewicza Bożkę, trust wag i odważników został zaś postawiony w stan likwidacji i opustoszał bez pracowników. Sama tylko kobieta goniec mieszkała w wyludnionym, wyziębionym pomieszczeniu instytucji – urodziła dziecko; karmiła je i trzymała na miękkiej paczce zwietrzałych akt.

Sartorius dwukrotnie odwiedził miejsce swej dawnej pracy, posiedział przy gołym stole, spróbował naszkicować projekt ważenia czegoś nieważkiego i nie doznał żadnego uczucia – ani smutku, ani zadowolenia. Wszystko się skończyło – służbowa rodzina, podtrzymująca ludzi na duchu, była rozpuszczona, wspólny czajnik nie grzał się już przed dwunastą, a szklanki stały w szafie puste, stopniowo zasiedlane przez jakieś jakby papierowe, blade owady. Dziecko gońca to płakało, tu uspokajało się, zegar ścienny posuwał się nad nim do przodu, a matka pieściła je ze zwykłą macierzyńską miłością. Ze strachem oczekiwała wprowadzenia się do pomieszczenia nowej instytucji, bowiem nie miała gdzie mieszkać, ale owa nowa instytucja w przeddzień swej przeprowadzki również została zlikwidowana, tak że powierzchnię zaliczono do rezerwowego funduszu mieszkaniowego i następnie zasiedlono rodzinami lokatorów.

Sartorius zaczął coraz gorzej widzieć, jego oczy ślepy. Przeleżał w swoim pokoju cały miesiąc, zanim znowu zaczął po trochu patrzeć obolałym wzrokiem. Goniec z dawnego trustu przychodziła do niego codziennie, przynosiła jedzenie i prowadziła dom.

Dwa razy odwiedził go Sambikin razem z okulistą i wydali swe medyczne orzeczenie, że przyczyna choroby oczu leży w odległym wnętrzu ciała, być może – w sercu. W ogóle, powiedział Sambikin, konstytucja Sartoriusa znajduje się w procesie nieokreślonego [rozpadu] przekształcenia, i sam zdumiał się tą myślą na wiele dni.

Wreszcie Sartorius wyszedł z domu. Ucieszyła go mnogość ludzi na ulicy; energia pędzących samochodów zrodziła w jego sercu uniesienie, nieustające słońce świeciło na odsłonięte włosy przechodzących kobiet i na świeże skórzaste liście drzew, namokłe w wilgoci swych narodzin.

Znowu nadeszła wiosna; czas coraz bardziej oddalał życie Sartoriusa. Często mrugał oślepiiony światłem i zderzał się z ludźmi. Było mu dobrze, że jest ich tak wielu i, co za tym idzie, że jego istnienie nie jest konieczne – i bez niego jest komu zrobić wszystko, co niezbędne i słuszne.

Był owładnięty jednym jedynym ciężkim i mrocznym uczuciem. Niósł swoje ciało jak martwy ciężar – uprzykrzone, smętne, przeżyte aż do nędznego końca. Sartorius wpatrywał się w wiele napotykanych twarzy; dręczyło go, niczym wyblakła rozkosz, cudze życie ukryte w nieznanej duszy. Usuwał się i smucił.

Mniej więcej dziesięć tysięcy ludzi znajdowało się w ruchu na placu Kałanczewskim. Sartorius ze zdumieniem zatrzymał się obok urzędu celnego, zupełnie jakby nigdy nie widział podobnego widowiska.

„Zaraz skryję się i przepadnę wśród nich wszystkich!” – w sposób nieokreślony i łatwy myślał o swoim zamierzeniu.

Podszedł do niego jakiś mglisty człowiek, którego nijak nie zapamiętasz i zaraz zapomnisz.

– Towarzyszu, czy nie wiecie, gdzie tutaj zaczyna się Zaulek Dominikowski? Może przypadkiem wiecie, bo ja też wiedziałem, ale utraciłem wątek.

– Wiem – rzekł Sartorius – on jest tam! – I wskazał kierunek, przypominając sobie ów znajomy głos i zarazem nie pamiętając takiej twarzy.

– A nie wiecie, czy jest tam wyrób trumien, czy też już może został przeniesiony w związku z budową i reorganizacją? – uparcie dowiadywał się przechodzień.

– Nie wiadomo... Zdaje się, że coś jest, trumny i wieńce – objaśniał Sartorius.

– A transport?

– Z pewnością mają.

- Pewnie cichobieżne samochody.
- Możliwe. Jadą na pierwszym biegu i wiozą nieboszczyka.
- No, tak – zgodnie wyrzekł ów człowiek, nie rozumiejąc pierwszego biegu.

Zamilkli. Przechodzień popatrzył poządlawie na ludzi, czepiających się w biegu tramwajów, i nawet uczynił w ich kierunku jakiś nieokreślony gniewny ruch.

- Ja was znam – powiedział Sartorius – pamiętam wasz głos.
- Całkiem prawdopodobne – obojętnie przyznał człowiek. – Wielu musiałem karać za wykroczenia, a przy tym zwykle się krzyczy.
- Może sobie was przypomnę: jak macie na imię?
- Imię to nic – powiedział przechodzień. – Ważny jest dokładny adres i nazwisko, ale i to mało: należy okazać dokument.

Wyjął dowód i Sartorius przeczytał w nim nazwisko: Korniągin, rencista, i adres. Człowiek był mu nie znany.

– Jesteśmy sobie obcy – oświadczył Korniągin, widząc rozczarowanie Sartoriusa. – Tylko wam się zdawało. Często coś się wydaje poważne, a potem – fiut. No, postójcie tutaj, a ja pójde dowiedzieć się o trumnę.

- Żona wam umarła? – zapytał Sartorius.
- Żyje. Sama odeszła. Trumnę staluję dla siebie.
- Ale po co?

– Jak to, po co? – to konieczne. Chcę poznać całą marszrutę nieboszczyka: skąd brać zezwolenie na wykopanie mogiły, jakie są potrzebne fakty i dokumenty, jak zamawia się trumnę, potem transport, pochówek i czym w wyniku kończy się bilans życia: gdzie i wedle jakich formalności dokonuje się ostateczne wykluczenie człowieka ze składu obywateli. Ja chcę zawczasu przejść tę całą marszrutę – od życia do całkowitego zapomnienia, do likwidacji bez śladu każdej istoty. Mówią, że ta marszruta jest trudna formalnie. I słusznie, drogi towarzyszu: umierać nie należy, obywatele są potrzebni... A widzicie, co wyprawia się na placu: obywatele miotają się, nie przyuczają się do normalnego chodzenia. Ileż to razy w czasie swojej bytności towarzysz Łunaczarski głosił rytmiczny ruch mas¹¹, a teraz trzeba ich karać mandatami. Prozaika życia! Niech żyje bohaterska milicja republiki!...

Korniągin poszedł w kierunku Zaułku Dominikowskiego. Oprócz Sartoriusa wysłuchało go z uwagą jeszcze czterech postronnych i jedno bezdomne dziecko. Dziecko to, lat dwunastu, ruszyło szybko za Korniąginem i oświadczyło mu dojrzałym głosem:

- Obywatelu, ty i tak idziesz umierać, oddaj mi domowe sprzęty – dorobię do nich nóżki.
- Dobra – powiedział Korniągin. – Chodź ze mną, odziedziczysz moje rzeczy, swoją życiową dolę wezmę zaś ze sobą dalej. Żegnaj, moje życie – upłynęło mi na rozkoszach organizacyjnych.

– Jesteś dobry, że umierasz – beztrósko wyrzekło rozumne dziecko. – A mnie do kariery potrzebne są środki...

Dusza Sartoriusa doświadczała żądzy ciekawości. Stał ze świadomością nieuchronnej nędzy pojedynczego ludzkiego serca; od dawna zadziwiony widokiem żywych i rozmaitych ludzi, chciał żyć życiem obcym i sobie nie przynależnym.

Wracać nie miał konieczności – jego mieszkanie puste, trust zlikwidowany, bliscy współpracownicy zajęli ciepłe posady w innych instytucjach, Moskwa Czestnowa przepadała gdzieś w przestrzeniach tego miasta i ludzkości – w tych okolicznościach Sartoriusowi robiło

¹¹ Aluzja do przemówienia Łunaczarskiego *Wskazania Lenina i wychowanie estetyczne* (opublikowane 1924), który mówił m.in.: „Współczesny człowiek jest jeszcze zbyt mało muzykalny. [...] Krok nasz nie jest rytmiczny, przypomina kuśtykanie. [...] Gdyby wszakże człowiek nie był skołatany życiem, jego chód przypominałby taniec, jego mowa podobna byłaby do śpiewu, jego ruchy byłyby pełne rytmu, cała bowiem istota ludzka ma w sobie wiele rytmiczności”. (Cyt. za: A. Łunaczarski, *Pisma wybrane*, t. I, Warszawa 1963, ss. 361-362, przekład Bogdana Strumińskiego).

się weselej. Podstawowy obowiązek życia – troska o osobisty los, odczucie własnego, nieustannie krzyczącego uczuciami ciała – zanikł; być nieprzerwanym, jednakowym człowiekiem nie mógł, zagarnęła go tęsknota.

Sartorius uczynił ruch ręką – z uniwersalnej teorii świata wynikało, że spowodował drganie elektromagnetyczne, które poruszy nawet najodleglejszą gwiazdę. Uśmiechnął się na tak żalosne i ubogie wyobrażenie o wielkim świecie. Nie, świat jest lepszy i bardziej tajemniczy: ani ruch ręki, ani praca ludzkiego serca nie przeszkadzają gwiazdom, inaczej wszystko już dawno by się rozprzęgło od drgań tych dupereli.

Sartorius ruszył przez plac poprzez spieszący w przeciwnym kierunku naród; ujrzał robotnicę z budowy metra w roboczych spodniach – taką samą z figury jak Moskwa Czestnowa i oczy go zabolowały na wspomnienie miłości: nie, nie można żyć niezmiennym uczuciem. Spróbował namówić metrówkę na prowizoryczną przyjaźń, lecz ona zaśmiała się i odeszła śpiesznie od niego, brudna i piękna.

Sartorius otarł swoje ślepnące oczy, po czym chciał przekonać swoje serce, które rozboleło go z powodu Moskwy i wszystkich innych istot, lecz spostrzegł, że jego pomyślnik nie działa. Jednak brak szacunku dla samego siebie sprawił, że jego cierpienie było nietrudne.

Wąłęsając się dalej po mieście, często napotykał szczęśliwe, zasmucone albo zagadkowe twarze i wybierał, kim miałby się stać. Wyobrażenie innej duszy i nieznanego odczucia nowego ciała na sobie nie opuszczało go. Roztrząsał myśli w cudzej głowie, siedł nie swoim krokiem i zachłannie cieszył się pustym i gotowym sercem. Młodość tułowia przekształcała się w żądzę umysłu Sartoriusa; uśmiechający się, skromny Stalin pilnował na placach i ulicach wszystkich otwartych dróg świeżego, nieznanego socjalistycznego świata – życie rozpościerało się w dali, z której się nie powraca.

Sartorius pojechał na Bazar Kriestowski, aby kupić wszystko, co potrzebne było dla jego przyszłego istnienia. O swoje nowe życie troszczył się bardzo mocno.

Bazar Kriestowski pełen był handlujących żebraków i utajonych burżujów, którzy wpośród wyschłych namiętności i z ryzykiem rozpaczy zdobywali swój chleb. Nieczyste powietrze wisiało nad tłumnym zbiorowiskiem stojących i mamroczących ludzi – jedni z nich oferowali nędzne towary, przyciskając je rękami do swych piersi, inni drapieżnie rozpytywali o ich cenę, macając i trapiąc się w nadziei na wieczne nabycie. Sprzedawano tutaj starą odzież dziewiętnastowiecznego fasonu, przesiąkniętą proszkiem, zachowaną przez dziesięciolecia na ostrożnym cieple; były tutaj futra, które w czasie rewolucji przeszły przez tyle rąk, że średnica kuli ziemskiej byłaby za mała dla odmierzenia ich drogi między ludźmi; w ciżbie handlowano również i takimi rzeczami, które utraciły swój sens życia – w rodzaju szlafroków z jakichś nadzwyczajnych kobiet, popich rias, ozdobnych mis do chrzczenia dzieci, surdutów świętej pamięci dżentelmenów, breloków do dewizek i innych rozmaitości – ale szły wśród narodu jako symbole twardych jakościowo obrachunków. Oprócz tego sprzedawano dużo rzeczy do noszenia po niedawno zmarłych – śmierć istniała – i dziecięcej bielizny, przygotowanej dla poczętych niemowląt, później jednak matka najwyraźniej rozmyślała się i robiła skrobankę, a oplakaną wyprawkę nie narodzonego sprzedawała wraz z kupioną zawczasu grzechotką.

W wydzielonych straganach sprzedawano oryginalne kolorowe portrety i artystyczne reprodukcje. Portrety przedstawiały dawno przepadłych mieszczan i nowożeńców z powiatowych miast; każde z nich rozkoszowało się sobą, sądząc po obliczach, i wyrażało zadowolenie z zachodzącego z nim życia. Za postaciami widniała niekiedy w landszafcie [naturze] cerkiew i rosły dęby szczęśliwego lata, zawsze minionego.

Sartorius długo stał przed tymi portretami zaprzyszłych ludzi. Teraz ich nagrobnymi płytami wyłożono chodniki nowych miast i trzecie lub czwarte krótkie pokolenie depcze gdzieś inskrypcje: „Tutaj pogrzebano ciało kupca 2. gildii z Zarajska, Piotra Nikodimowicza Samofałowa, dożył wieku... Pamiętaj o mnie, Panie, w królestwie Twoim”, „Tutaj spoczywają szczątki panny Anny Wasiljewny Strizewej... Dla nas płacz i cierpienie, dla niej

w Panu ukojenie...”

Zamiast o Bogu Sartorius przypomniał sobie teraz o umarłych i zadrzał: przeraziła go myśl o życiu wśród nich – w czasach, kiedy nie wycinano lasów, ubogie serce było na wieki wierne jednemu uczuciu, krąg znajomych tworzyli tylko krewni, światopogląd był magiczny i ciepły, umysł zaś nudził się i płakał wieczorami przy lampie naftowej albo w rozświetlone południe lata – wpośród rozległej, hałaśliwej natury; kiedy skromna dziewczyna, oddana, wierna, obejmowała drzewo w swej tęsknocie, głupia i miła, zapomniana teraz bez śladu. To nie Moskwa Czestnowa, to Ksenia Innokientjewna Smirnowa, nie ma już jej i więcej nie będzie.

Dalej sprzedawano rzeźby, filiżanki, talerze, podstawki do naczyń, widelce, części jakiejś balustrady, dwunastopudowy odważnik, w kucki siedzieli ostatni prywatni farbiarze, zwolnieni z pracy zdemoralizowani ślusarze spylali swoje domowe imadła, siekiery, młotki, garść gwoździ – jeszcze dalej rozłożyli się szewcy, pracujący na miejscu, i żywnościowe staruchy z zimnymi blinami, z pierożkami, nadzianymi mięsnymi resztkami i baranym łojem, grzany w saganach pod watowanymi marynarkami starych mężów nieboszczyków, z odrobiną pszennej kaszy i wszystkim, co zaspokaja głodowe cierpienie miejscowej publiczności, potrafiącej zjeść wszystko, co tylko da się przełknąć, i której więcej nic nie obchodzi.

Drobni złodzieje chodzili między potrzebującymi i sprzedającymi, wrywali z rąk perkal, stare walonki, bułki, jeden kalosz i uciekali w gąszcz przepychających się ciał, aby zarobić półrublówkę albo rubla na każdej kradzieży. W istocie z trudem osiągalni stawkę robotnika niewykwalifikowanego, a wysilali się bardziej.

Na rynku wznosiło się kilka drewnianych budek dla milicjantów. Milicjanci patrzyli stamtąd w dół, na to małe morze rozszalałego ograniczonego imperializmu, gdzie masy pracujące zastąpiły masy przepychające się.

Tanie jedzenie z wyraźnym hałasem przetrawiało się w ludziach i dlatego każdy czuł się ociężały, zupełnie jakby był skomplikowanym przedsięwzięciem, a zepsute powietrze unosiło się stąd do góry jak dym nad Donbasem.

W głębi bazaru często rozlegały się okrzyki rozpacz, nikt wszakże nie rzucał się na pomoc, a w pobliżu nieszczęścia ludzie handlowali i kupowali, albowiem ich własna zgryzota wymagała niezwłocznego pocieszenia. Pewnego słabego człowieka, ubranego w żołnierski płaszcz starego kroju, handlarzka bułkami zapędziła w kałużę moczu obok wychodka i smagała go szmatą po twarzy; na pomoc handlarce zjawił się koczujący chuligan i z miejsca rozbił do krwi twarz osłabłego człowieka, który zwał się pod ściankę wychodka. Nie wydał z siebie krzyku i nie dotknął swej twarzy, zalewanej krwią ze skroni – pośpiesznie pożerał suchą skradzioną bułkę, męcząc się zepsutymi zębami, i wkrótce uporał się z tym zadaniem. Chuligan zdzielił go jeszcze raz po głowie, a ranny żarłok, zerwawszy się z energią siły niepojętej przy jego milkliwej uległości, zniknął w gęstwinie narodu jak w łanie żyta. Znajdzie sobie pożywienie wszędzie i będzie długo żył bez środków i bez szczęścia, w zamian często się najadając.

Starszawy mężczyzna, z wyglądu zdemobilizowany, stał na jednym miejscu nieruchomo, wytrącony z równowagi jedynie najbliższą krzątanią. Sartorius spostrzegł go już po raz drugi i podszedł do niego.

– Kartki na chleb – powiedział po chwilowej czujnej obserwacji Sartoriusa ów nieruchomy mężczyzna.

– Za ile? – zapytał Sartorius.

– Dwadzieścia pięć rubli pierwsza kategoria.

– To daj jedną – poprosił Sartorius.

Handlujący ostrożnie wyjął z bocznej kieszeni kopertę z wydrukowanym na niej napisem:

„Pełen program Mechanobru”¹². W program włożono żywnościową kartkę.

Ten sam handlarz zaproponował Sartoriusowi także dowód osobisty, jeśli jest taka potrzeba, lecz Sartorius zaopatrzył się w dowód później – u człowieka, który sprzedawał robaki na ryby. W dowodzie figurował urodzony w mieście Nowy Oskoł Iwan Stiepanowicz Gruniachin, lat 31, sprzedawca sklepowy, dowódca plutonu w rezerwie. Sartorius zapłacił za dokument wszystkiego pięćdziesiąt pięć rubli, a na dodatek dołożył swój dowód dwudziestosiedmioletniego człowieka, z wyższym wykształceniem, znanego w szerokich kręgach swej specjalności.

Z bazaru Gruniachin nie wiedział, dokąd iść. Dojechał do dużego placu i usiadł na żelaznym stopniu drabinki prowadzącej do budki regulacji ruchu ulicznego. Sygnalizatory zmieniały swoje światła, pędzili ludzie w samochodach, ciężarówki wiozły belki i kloce, milicjant włączał kontakt i natężył uwagę – wielu ludzi stało po bokach rozpędzonego ruchu i zapominali o swym jedynym życiu przy obserwowaniu cudzego. Gruniachinowi wydawało się, że jego oczy już nie boją, a Moskwa Czestnowa nie będzie mu już potrzebna nigdy, bowiem wiele ładnych kobiet chodziło tutaj po ulicy, jego serce nie było jednak do nikogo skłonne.

Pod wieczór przyjęto go do wydziału zaopatrzenia pewnej mało istotnej fabryki w Sokolnikach, produkującej jakiś pomocniczy sprzęt, i nowemu pracownikowi przydzielono miejsce w hotelu robotniczym, jako że człowiek nie miał niczego oprócz swego niewielkiego odzianego ciała z okrągłym i na oko niemądrym obliczem na górze.

Po kilku dniach Gruniachin wszedł już w żywioł swej pracy; zawiadywał przygotowaniem porcji chleba na obiad, normowaniem warzyw do kotła, dzielił mięso tak, żeby każdemu dostał się sprawiedliwy kawałek. Podobało mu się karmienie ludzi, pracował uczciwie i pilnie, jego kuchenna waga błyszczała czystością i dokładnością jak diesel.

Wieczorami, dręczony samotnością i wolnością, Gruniachin wałęsał się po bulwarach aż do ostatnich tramwajów. Kiedy zaś nadchodziła druga w nocy i wagony z dużą szybkością spieszyły do zajezdni, Iwan Gruniachin wsiadał do ich pustych wnętrz i oglądał je z zainteresowaniem, zupełnie jakby tysiące ludzi, które były tutaj za dnia, pozostawiło swój oddech i najlepsze uczucia na pustych miejscach. Konduktorka, raz stara, raz młoda, miła i senna, siedziała tutaj sama i pociągała za sznurek na wyludnionych przystankach, byle szybciej skończył się ostatni kurs.

Zostawszy drugim człowiekiem swego życia, Gruniachin podchodził do konduktorki i zagadywał ją o rzeczy uboczne, nie mające związku z całą dookólną widzialną rzeczywistością, ona zaś w zamian zaczynała odczuwać w sobie to, co niewidzialne. Pewna konduktorka z drugiego wagonu uległa słowom Gruniachina, który objął ją w biegu, po czym przeszli na tylny pomost, gdzie było mniej jasno, i mknęli w pocałunkach przez trzy przystanki, dopóki nie spostrzegł ich z bulwaru jakiś człowiek i nie zawołał do nich „hura!”.

Od tej pory z rzadka powtarzał swoją znajomość z nocnymi konduktorkami – czasami pomyślnie, ale najczęściej nie. Coraz bardziej wszakże zajmowała go nie owa prywatna, umykająca bez śladu miłość, ale nieznanym człowiekiem Gruniachin, którego los go pochłaniał.

Pracując dalej w wydziale zaopatrzenia, stopniowo przejął się swoim zajęciem i otoczeniem i zaczął wręcz upajać się życiem. Nabył sobie szafę, wypełnił ją książkami i zaczął studiować światową filozofię, rozkoszując się powszechną myślą i tym, że dobro jest na świecie nieuniknione, nawet ukryć się przed nim nikt nie może. Zasady złotej reguły mechaniki i złotego podziału odcinka działały wszędzie i nieustannie. Wychodziło na to, że tylko dzięki oddziaływaniu samej natury małeńka praca przyniesie zawsze duże sukcesy i każdemu dostanie się kąsek ze złotego podziału – największy i najbardziej pożywny. Co za

¹² Mechanobr – Wsiesojuznyj nauczno-issledowatielskij i projektnyj institut mechaniczeskoj obrabotki poleznych iskopajemych (Ogólnozwiązkowy Instytut Naukowo-Badawczy i Projektowy Obróbki Mechanicznej Kopalni Użytecznych).

tym idzie, nie tyle praca, co dobry chwyt, zręczność i gotowa do upojenia się szczęściem dusza określały los człowieka. Już Archimedes i aleksandryczyk Heron radowali się za przyczyną złotych prawideł nauki, które obiecywały ludzkości powszechną szczęśliwość: wszak jednym gramem na nierównoramiennej dźwigni można podnieść tonę, a nawet całą kulę ziemską, jak wyliczał Archimedes. Łunaczarski zaś zamierzał zapalić nowe słońce¹³, jeśli obecne okaże się niewystarczające i nieładne albo w ogóle się uprzykrzy.

Pocieszony lekturą, Iwan Gruniachin dobrze pracował w przedsiębiorstwie. W ciągu miesiąca, według wskazówek naczelnika wydziału zaopatrzenia, w całości zmienił ponury wystrój stołówki na luksusowy i przytulny. Gruniachin zawarł na rok umowę z trustem terenów zielonych, a także z Mosmeblem i innymi organizacjami. Postawił wymienne doniczki z kwiatami i rozłożył dywanikowe ścieżki; następnie wzmocnił cyrkulację powietrza i sam naprawił silnik elektryczny drugiego, zepsutego wentylatora, z trudem przypominając sobie elektrotechnikę i więcej się nią nie interesując. Na ścianach stołówki i montażowni Gruniachin powiesił duże obrazy z wyobrażeniem epizodów starożytno-historycznego życia: upadku Troi, wyprawy Argonautów, śmierci Aleksandra Macedońskiego – i dyrektor fabryki pochwalił go za smak.

– Trzeba nam, żeby było zagadkowo i dobrze, jakby nieziszczalnie – powiedział dyrektor Gruniachinowi. – Ale wszystko to głupstwa w porównaniu z naszą rzeczywistością! Wszakże – niech wisi: historia dawniej była uboga i wymagać od niej wiele nie można.

Pod wpływem powszechnej przyzwoitości i pomyślności Gruniachin zawstydził się i zaczął nabywać do osobistego użytku bieliznę, buty, owoce, zamarzył już też o kochającej, jedynej żonie. Czasami wspominał dawny biedny trust wag i odważników, kiedy był jeszcze Sartoriusem – było tam smutno i ciepło od samego własnego serca i żona nie była konieczna; teraz jednak, kiedy został innym człowiekiem, Gruniachinowi potrzebne było choćby sztuczne ciepło rodziny i kobiety.

Na wydziale nowych konstrukcji jako starszy monter pracował Konstantin Arabów, człowiek lat trzydziestu, członek stowarzyszenia Dynamo, świetnej postawy, znający na pamięć Puszkina. Dyżurny inżynier Iwan Stiepanowicz Gruniachin spotykał go kilka razy, ale nie zwracał uwagi – często tak bywa, że ludzie, których los wejdzie w wasze serce, długo żyją niezauważalnie... Arabów zadurzył się w pewnej brygadziście, francuskiej komsomołce Katii Bessonais-Favor, zabawnej i rozumnej dziewczynie, i odszedł żyć z nią w miłości na zawsze, porzucając żonę z dwoma synami – jeden miał lat jedenaście, drugi zaś osiem. Żona Arabowa, młoda jeszcze, ale smutna, przychodziła przez pewien czas do fabryki pod koniec pracy, aby popatrzeć na swego męża, od którego jej serce, jak się zdaje, nie mogło od razu odwyknąć. Później przestała przychodzić; uczucie jej miłości dotarło do kresu i wyczerpało się. Wkrótce Gruniachin dowiedział się od Katii Bessonais, że jedenastoletni syn Arabowa zastrzelił się z broni sąsiada i zostawił list jak dorosły człowiek. Katia, zamartwiając się, mówiła we łzach, że gdzieś, w jakimś pokoju zatęskniło i samodzielnie umarło dziecko – w tym samym czasie, kiedy ona upajała się szczęściem z jego ojcem. Gruniachin zadrżał ze strachu i zdumienia wobec takiej śmierci, zupełnie jakby rozległ się przy nim słaby krzyk pośród powszechnego milczenia. Pożałował, że nie znał wcześniej tego dziecka, przeczywszy jego istnienie.

Katia Bessonais, dręczona sumieniem, oddaliła od siebie Arabowa, który, jak to zwykle bywa, chciał ukoić swoją rozpacz w jeszcze namiętniejszym kochaniu się z nią. Ale Bessonais samotna też być nie mogła i dlatego poszła z Gruniachinem do kina, stamtąd zaś udali się

¹³ Aluzja do artykułu Łunaczarskiego *Państwo radzieckie i sztuka* (całość opublikowana 1924), w którym autor stwierdzał m.in.: „Jeśli zaś idzie o twory artystyczne, [...] to widzimy w nich jakby slupy ogniste czy gwiazdy przewodnie oświetlające z wyżyn sztuki drogę mas pracujących. Rzecz jasna, masy te zapalą swoje własne znicze, swoje własne słońca...” (Cyt. za: A. Łunaczarski: *Pisma wybrane*, t. I, Warszawa 1963, ss. 324-325, przekład Jerzego Pomianowskiego).

razem do byłej żony Arabowa. Katia wiedziała, że pogrzeb zmarłego odbył się tego ranka i chciała wesprzeć matkę w wiecznej rozłące z najwierniejszym jej malutkim człowiekiem.

Żona Arabowa przyjęła ich obojętnie. Była czysto i przyzwoicie ubrana, zupełnie jakby przygotowywała się do skromnej uroczystości, spokojna i nie płakała. Katię Bessonais, rzecz jasna, znała, Gruniachina zaś widziała tylko raz w fabryce i nie mogła pojąć, po co on tutaj.

Katia objęła ją z własnej inicjatywy, a żona Arabowa stała z opuszczonymi rękami i niczym jej nie odpowiedziała; było jej teraz wszystko jedno, co się z nią dzieje. Mechanicznie nastawiła prymus i zagotowała na nim wodę na herbatę dla obcych jej gości. Gruniachinowi spodobała się ta kobieta, z twarzą nieładną i żałośnie głupią; nos miała wielki i cienki, wargi szarzałe, a oczy bezbarwne, zamilkłe od samotnych domowych wysiłków; ciało jej, mimo niedużego wieku, zasuszyło się już i przypominało sylwetkę mężczyźną, opuszczone ręce wisiały zaś zupełnie jak bez zajęcia.

Napiwszy się herbaty, goście zbrali się do wyjścia. Spotkanie nie doprowadziło do pocieszenia, a w samej Katii Bessonais pozostawiło wewnętrzne rozdrażnienie z powodu bezsilności jej nazbyt czulego, lecz beczynnego serca. Przy wyjściu gospodyni odwróciła się jednak nagle w pustkę swego pokoju. Gruniachin obejrzał się raptownie tamże i wydało mu się, że wszystkie przedmioty stały się nagle fantomami, karykaturami jakiegoś znajomego, powszechnego człowieka, być może, jego samego – a zatem wszystkie one zwróciły uwagę na obecnych ludzi i ponuro uśmiechnęły się do wszystkich swym niejasnym położeniem i wizerunkiem. Dawna żona Arabowa z pewnością zobaczyła to samo, dlatego że nagle zapłakała ze swej wiecznej zgryzoty i odwróciła się ze wstydu przed obcymi. Instynktownie wiedziała, że pomocy od innych być nie może i że lepiej przytaić się w samotności.

Zasmuciwszy się takim życiem, Gruniachin wyszedł z Bessonais-Favor na ulicę i powiedział do niej:

– Słyszeliście pewnie, że istnieje złota reguła mechaniki. Niektórzy zamierzali za pomocą tej reguły okpić całą naturę, całe życie. Kostia Arabow też chciał otrzymać z wami albo z was – jak to powiedzieć? – coś, jakieś darmowe złoto... A przecież dostał go niedużo...

– Niedużo – tak – zgodziła się Bessonais.

– I ile mógł go dostać – nie więcej niż gram! A na drugim końcu dźwigni trzeba było położyć dla równowagi całą tonę cementarnej ziemi, która leży teraz i przytłacza jego dziecko...

Katia Bessonais nachmurzyła się zakłopotana.

– Nie żyjcie nigdy wedle złotej reguły – powiedział jej jeszcze Gruniachin. – To ignoranckie i przegrane, jestem inżynierem i dlatego wiem, że natura jest poważniejsza, kantów w niej nie ma. No, do widzenia, nadjeżdża wasz autobus.

– Zaczekajcie – poprosiła Katia Bessonais.

– Nie, nie mam czasu – odrzekł Gruniachin. – To mnie nie interesuje, nie lubię, kiedy ktoś upaja się sam sobą, a potem nie wie, gdzie się podziać, i chodzi za mną. Trzeba żyć porządnie.

Bessonais-Favor nieoczekiwanie roześmiała się.

– No, idźcie, idźcie – powiedziała. – Macie wobec mnie takie wymagania, jakbym sama siebie zrobiła. Jestem taka nie rozmyślnie, ja niechcący. Więcej nie będę, wybaczcie mi...

Gruniachin wrócił do mieszkania żony Arabowa. Przyjęła go z uprzednią obojętnością, on zaś, przestąpiwszy próg, zaproponował jej, by wyszła za niego za mąż – nic więcej zaproponować się nie dało. Kobieta pobladła, zupełnie jakby natychmiast zebrał się w niej ból, i nie odpowiedziała. Iwan Stiepanowicz zasiadł w pokoju, dopóki nie nadciągnęła późna noc i ruch na ulicach ustał. Wówczas mimo woli usnął, żona Arabowa zaś posłała mu na krótkim tapczanie i poleciła położyć się jak należy.

Rankiem, jak zwykle, Gruniachin poszedł do pracy, wieczorem jednak wrócił. Matriona Filippowna Czeburkowa (nazwisko męża, Arabów, przestała nosić zaraz po jego zdradzie) nie

witała nowego człowieka, ale i nie wypędzała go. Dał jej pieniądze – położył je na stole, ona zaś automatycznie zaparzyła mu herbatę i zagrzała coś do jedzenia z resztek swego posiłku. Po kilku dniach wieczorem przyszedł dozorca i polecił Matronie Filippownie zameldować nowego lokatora – niechaj robi, co chce: przepędza go albo wychodzi za niego za mąż, ale tak żyć nikt jej nie pozwoli. Dozorca był kiedyś rozkułaczony i dlatego trzymał się prawa z całą ścisłością: sam przeżył i doświadczył na sobie siły państwa.

– Pilnuj się, obywatelko Czeburkowa, żebyś nie podpadła pod karę: państwo straty nie lubi.

– Już dobrze... Dawniej jakoś nie karaliście, a jak stałam się bezmężna, osłabła...

– To melduj go – dozorca wskazał Gruniachina – nie trać damskiej normy, bo i powierzchwnię zmarnujesz, i sama będziesz jak ten Pyszka w kinie, sama skóra i kości.

– Jutro zameldujesz, zdązysz – powiedziała Matrona Filippowna. – Teraz baby nie myślą od razu.

– To widać! – oznajmił dozorca i wyszedł.

– Dawniej, bywało, całkiem nie myślały, a żyły bez głupstwa, jak rozumne – dodał za drzwiami.

Po dwóch dniach Gruniachin zameldował się na pobyt tymczasowy, ale Czeburkowa kazała mu przerejestrować się na pobyt stały.

– Kto uwierzy, żeby w jednym pokoju z kuchnią chłop i baba żyli osobno! – oświadczyła z rozdrażnieniem. – A ja nie jestem twoją dziewczką, jestem kobietą – jak tu stoję, pójdiesz jutro ze mną do urzędu stanu cywilnego! A jak nie, to idź, skądeś przyszedł!

Wszystko odbyło się formalnie i szybko i życie Gruniachina przycichło w cudzym pokoju. On pracował, Matrona Filippowna gospodarzyła, wyrażała rozmaite niezadowolenie i rzadko wspominała syna – raczej już tylko po to, aby po łzach nastąpiła owa ulga, która równa się rozkoszy serca; innego szczęścia doświadczać nie była w stanie, a może nie nadarzała się jej okazja. W sposób tajemniczy dla niej samej śmierć syna stała się stopniowo przyczyną cichego szczęścia jej życia – po krótkim płaczu w powolnych detalicznych wspomnieniach; przyzywała wtedy Iwana Stiepanowicza, by uczestniczył w jej ubogim uczuciu, gdzie było wszakże ogrzewające ciepło ciemnego upojenia własnym bólem i całe cierpienie jej duszy. W takich chwilach była zawsze lepsza i łagodniejsza, niż domagał się tego jej charakter. Gruniachin lubił nawet, kiedy Matrona Filippowna zaczynała nagle płakać po swym zmarłym dziecku – wówczas i Iwanowi Stiepanowiczowi dostawała się od żony jakaś czułość albo pobjażanie.

Zazwyczaj jednak Czeburkowa chodzić mężowi nigdzie oprócz pracy nie pozwalała i pilnowała zegara – czy w porę wraca, w zebrania zaś nie wierzyła i zaczynała płakać i wymyślać, że drugi mąż to też lajdak i zdradza ją. Jeśli mąż mimo to się spóźniał, Matrona Filippowna, otworzywszy mu drzwi, zaczynała bić go pierwszym lepszym przedmiotem – starym walonkiem, wieszakiem razem z odzieżą, rurą po byłym samowarze, butem ze swej nogi i inną niespodziewaną rzeczą – byle pozbyć się własnego rozdrażnienia i nieszczęścia. W takich chwilach Iwan Stiepanowicz ze zdziwieniem patrzył na Matronę Filippownę, ona zaś żałośliwie płakała – dlatego, że jedno jej strapienie przekształciło się w drugie, ale całkiem nie znikło. Gruniachin, który widział już wiele w życiu, nie zadreślał się szczególnie takim postępowaniem.

Drugi syn Matrony Filippowny patrzył na kłótnie matki z nowym ojcem obojętnie, jako że matka zawsze brała nad ojcem górę. Kiedy jednak Iwan Stiepanowicz schwycił pewnego razu żonę za rękę, bo zaczęła drzeć mu pazurami gardło, chłopiec udzielił mu ostrzeżenia:

– Towarzyszu Gruniachin, nie bij mamy! Bo ci brzuch przesadzę szydłem, sukinsynu!... Nie twój dom, to się nie stawiaj!

Gruniachin natychmiast się opamiętał: zapomniał się tylko niechcący, i to od silnego bólu.

Przed nim złana gorącym potem, znużona, z wysileniem całego swego serca denerwowała

się Matriona Filippowna – broniła męża przez rozpustą i zabezpieczała jego rodzinną wierność. Iwan Stiepanowicz słuchał, znosił to i uczył się.

Nocami rozmyślał obok żony, że wszystko to tak właśnie być powinno, bo inaczej jego łapczywe, lekkie serce zużyłoby się i zginęło w bezpłodnym przywiązaniu do rozmaitych kobiet i przyjaciół, w niebezpiecznej gotowości do rzucenia się w odmęty wszelkiej rozkoszy, jaka odbywa się na ziemi.

Rankiem drugi syn Matriony Filippowny – tak samo Siemion, jak wcześniej nazywał się Gruniachin – powiedział Iwanowi Stiepanowiczowi:

– Dlaczego śpisz z moją matką? Myślisz, że mi przyjemnie na was patrzeć? Przyjemnie czy nie?

Gruniachin zaniemówił na to pytanie. Żony nie było, wyszła na bazar po jedzenie. Nadszedł dzień wolny od pracy, kiedy ludzie żyją domowymi uczuciami, wspólnymi przemyśleniami i chodzą z dziećmi do kina. Iwan Stiepanowicz także poszedł z Siemionem do kina, by obejrzeć radziecką komedię. Siemion był zadowolony, chociaż obraz skrytykował – takie problemy były dla niego nieistotne, sam przeżył więcej. W domu Matriona Filippowna siedziała przed portretem poprzedniego męża i płakała po nim, ale kiedy ujrzała Iwana Stiepanowicza, zawstydzila się i przestała; większej miłości Gruniachinowi nie było trzeba, skrepowanie Matriony Filippowny zrozumiał jako najwyższą czułość i uległe zaufanie do niego. Swojej udręki, powodowanej przez tę kobietę, nie liczył, albowiem człowiek nie nauczył się jeszcze heroizmu nieustannego szczęścia – dopiero się uczy.

W nocy, kiedy żona i syn zasnęli, Iwan Stiepanowicz pochylił się nad obliczem Matriony Filippowny i obserwował, jaka cała ona jest bezradna, jak żałośnie ma skurczoną twarz w bolesnym znużeniu. Zamknięte oczy wydawały się dobre, zupełnie jakby – kiedy leżała bez świadomości – spoczywał w niej odwieczny anioł. Gdyby tak cała ludzkość leżała we śnie, to po jej obliczu nie sposób byłoby poznać jej prawdziwego charakteru i można byłoby się oszukać.

WARIANTY POCZĄTKU POWIEŚCI

I

Bicie jej serca rozlegało się tak równo, prężnie i pewnie, że gdyby można było połączyć z owym sercem cały świat, mogłoby ono regulować bieg wydarzeń; policzki jej, nie wytrzymawszy ciśnienia serca, na długo, na całe życie nabrały barwy ciemnej znużonej krwi, oczy błyszczały jasnością szczęścia, włosy wypaliły się od skwaru nad głową, a ciało obrzmiało w późnej młodości, znajdując się już w przeddzień stanu kobiecego człowieczeństwa, kiedy to człowiek powstaje wewnątrz człowieka.

Szła ścieżką wzdłuż szosy leningradzkiej. W powietrzu jak zwykle latały samoloty, przy czym idąca dziewczyna dostrzegła wśród nich kilka nowych konstrukcji i spokojnie ucieszyła się, nie przyspieszając bicia swego serca. Rozumiała sens mechanizmów, dlatego że rok temu została inżynierem mechanikiem i teraz hałas maszyn w przestrzeni odzywał się w jej ciele uczuciem życzliwości.

Po półgodzinie zjawiła się w Instytucie Maksymalnych Prędkości. Wezwano ją wraz z innymi zdolnymi mechanikami, by wypróbować łożysko powietrzno-elektryczne, przeznaczone do pracy w najwyższych prędkościach, które są nie do zniesienia nawet dla najdoskonalszych łożysk kulkowych.

W eksperymentalnej sali instytutu siedzieli młodzi i starzy radzieccy inżynierowie z twarzami, na których odcisnęło się wielkie technologiczne doświadczenie socjalizmu: wczesne suche zmarszczki od temperatury łuków woltowych, przymrużone wyblakłe spojrzenie od pustynnych wiatrów Azji, szerokie, cierpliwe kości policzkowe, ufne oczy, nawykłe do radości sukcesu, młode włosy, siwiejące wpośród znużonej myśli, wpośród napięcia puszczanej w ruch świadomości wobec zadań trudnej i bezwzględnej substancji natury.

Starszy konstruktor Afrajew stał przy stole eksperymentalnym i składał oświadczenie. W tym samym czasie rozszarpywał w strzępy jakieś malutkie papierki, rozcierał paprochy w kieszeniach, dał zębami własne paznokcie, patroszył podszewkę marynarki – w ostatnich latach inżynier Afrajew żył psychicznie; skonstruował wiele detali nowego świata, lecz sam stopniowo się rozstroił. Jego oczy mrugały albo bardzo często, albo w ogóle nie mrugały i wówczas widać było, że zalega w nich ciężki szary sen.

– Do czego jest nam potrzebna maksymalna prędkość? – zapytał Afrajew i szybko podrapał się po grdyce, jak drapie się królika. – Oto, do czego! Prędkość, towarzysze, jest syntetycznym wyrazem jakości, dojrzałości, potęgi, ekonomii całej współczesnej techniki... Prędkość ruchu samolotu, samochodu, pług, sprzętu wojskowego, dłuta, każdego przyrządu toruje drogę do technicznego podboju świata. Kto opanuje największą prędkość, ten będzie zdolny całkowicie na nowo zorganizować świat, ten będzie zdolny bronić się przed zgodnymi

napaściami całego, dajmy na to, świata starego... Ale gdzie klucz, gdzie rozstrzygający detal maksymalnych prędkości?... W nowym łożysku, towarzysze!...

Afrajew zamarł, śpiesznie odrywając sobie guzik. Do sali weszli Anglicy, Niemcy, Francuzi i Włosi, zaproszeni do obejrzenia eksperymentu z łożyskiem „S-I”, które jutro znajdzie się w konstrukcji samochodów.

Afrajew zaczął histeryzować do niemożliwości: zdmuchiwał pył z instrumentów na stole, ale nie wierząc mimo to w ich czystość, zaczął je oblizywać językiem, kuląc się i cierpiąc od nerwicy. Wówczas przyszła mu na pomoc owa kobieta, która przybyła z szosy leningradzkiej.

– Porównajmy, towarzysze, łożysko kulkowe i powietrzno-elektryczne „S-I” – oznajmił Afrajew. – Zaczynajcie, towarzyszko Jawna!

Inżynier Jawna puściła w ruch łożysko kulkowe, którego obroty należało doprowadzić stopniowo do dwudziestu tysięcy na minutę. Czterdziestu inżynierów zaczęło wstrzymywać hałasy i oddech swoich ciał, aby dokładniej słyszeć pracę mechanizmu.

Duża, dostępna dla wszystkich tarcza tachometru wskazywała dziesięć tysięcy obrotów i strzałka instrumentu szła dalej; inne tarcze rejestrowały ubytek energii, smaru, wzrost siły odśrodkowej i wartość tarcia.

Przy osiemnastu tysiącach obrotów z łożyska wydobywał się płomień i zaczął się palić błękitnym pierścieniem wokół obracającej się szyjki.

– Smar się przegrzał i wydziela gaz – ustalił Afrajew. – Gaz spala się zaś w powietrzu... No, cóż – niech się spala!

Metal mechanizmu wył w udręce, stawiając opór skręcającej go rozjuszanej prędkości, i już ginął.

– Obroty! – krzyczał szczęśliwie Afrajew, zapominając o swej nerwowej psychozie.

Jawna ze spokojną satysfakcją dała dziewiętnasty tysiąc. Wówczas łożysko zaczęło śpiewać cienkim, zbliżonym do ludzkiego, głosem; z mechanizmu, niczym ostra gorąca wiejba, wydobył się mgiełką proch metalu – mikroskopijne strużki, zdarte siłą prędkości z roboczej powierzchni tarcia. Obłok otoczył całe łożysko jak dziwna blada poświata, która wyszła z ciemności ciasnej substancji zamiast niebios.

Mechanizm milkł – rozpływał się w gazie, w niejasności wytwarzającego się ciepła.

– Stop! – zarządził Afrajew. – Dziewiętnaście tysięcy! Włącz, Moskwo Iwanowna, nasze powietrzno-elektryczne!

Moskwa Iwanowna Jawna¹⁴

II

Miała dziewiętnaście lat, nosiła imię Moskwa, ojciec był Iwan z nazwiska Jawny. Teraz, kiedy wyrosła i stała się duża i ładna, dopytywali się jej wszyscy mało znajomi ludzie, dlaczego nazywa się Moskwa Iwanowna i do tego jeszcze Jawna. Ona jednak nie wiedziała, sądziła, że to normalne, ot tak, po prostu, tym bardziej że miała koleżankę o imieniu Niedoceniona i rówieśnika Kadrę.

– Tato, a dlaczego ja jestem Moskwa? – pytała ojca.

– Miasto cudne! – objaśniał ojciec. [Moskwa – ognisko centralne, ognisko ojczyzny.]¹⁵



W początkach wojny imperialistycznej moskiewskiemu kowalowi Iwanowi Afrajewowi,

¹⁴ Zdanie nie dokończone.

¹⁵ Zdanie wykreślone przez Płatonowa.

mieszkającemu przy szosie jarosławskiej, od postronnej kobiety urodziła się córka. Postronna kobieta zmęczyła się życiem i wkrótce umarła, córka zaś została przy ojcu.

Afrajew powiesił kołyskę obok miechów, rozżarzających palenisko, i dla oszczędności sił poruszał obydwie sprząty jednym sznurem. Kuźnia nie należała do Afrajewa, lecz do właściciela, który miał jeszcze pięć innych kuźni przy rozmaitych bitych i gruntowych wjazdach do Moskwy. Afrajew reperował zazwyczaj taratajki oficjalistów, faetony rozbijających się po okolicy kupców, furmanki kułaków badylarzy i kuł ich konie, puszczając w ślad za odjeżdżającymi wciąż te same przekleństwa, zrodzone z beznadziejnej nudy i nędzy jego życia.

Im więcej mijало lat, tym bardziej Afrajew nie mógł nadziwić się swojej córce: była tak wdzięczna, że nawet wychuchane ziemiańskie dzieci wyglądały przy niej ledwie jak podrzutki. Afrajew początkowo nie rozumiał, dlaczego od niego, steranego, schamiałego człowieka, rodzą się takie dzieci – już dawno trzeba mu było zająć się rozmnażaniem – potem jednak uznał, że to sprawa mocnej robociarskiej rasy: tak być powinno zgodnie z naturą i wedle sprawiedliwości.

W miarę wieku i wojenno-historycznych wydarzeń życie w środku Afrajewa uległo jakby zagęszczeniu, przekształcając się we wściekłość przez okrągłą dobę. Puścił za bezcen Cyganom narzędzia kowalskie, zawinął córkę w ubrania i wyruszył, by zająć się sprzedawaniem swoich rąk do pracy na krótkie terminy: nigdzie dłużej nie zostawał, bojąc się nabrać upodobania do ucisku albo popaść w przypadkowy związek uczuciowy z posiadaczami.

Przed rewolucją lutową został aresztowany za niebanalny wygląd swej powierzchowności, przypominającej niemieckiego szpiega i dezertera. Z więzienia¹⁶

III

Latem 1933 roku na Dworcu Jarosławskim z pociągu dalekobieżnego wysiadł człowiek w wieku¹⁷

IV

Bicie jej serca rozlegało się tak równo, prężnie i pewnie, że gdyby można było połączyć z owym sercem cały świat, mogłoby ono regulować bieg wydarzeń; policzki jej, znosząc ciśnienie serca, na długo, na całe życie nabrały ogorzałej barwy, oczy błyszczały jasnością szczęścia, włosy wypaliły się, wypłowiwały od skwaru i wiatru nad głową, a ciało obrzmiało w późnej młodości, znajdując się już na progu kobiecego człowieczeństwa, kiedy to człowiek niemal niechcący powstaje wewnątrz człowieka.

Miała niepełne dziewiętnaście lat, nazywała się Moskwa Iwanowna Czestnowa; nazwisko nadano jej dopiero w piątym roku życia – w domu dla sierot, które nie pamiętają bliskich. Jechała pociągiem w odległe lesiste okolice, aby pracować tam jako technik przy budowie mostów. Pociąg jechał szybko, mijając naturę [nowe budowy w pasie wywłaszczenia]¹⁸, północne drewniane kołchozy, zasnuć porannym dymem z pieców, budynki z tarcicy – mimo sosen, wyprężonych i wysokich w swej samotności.

¹⁶ Zdanie nie dokończone.

¹⁷ Zdanie nie dokończone.

¹⁸ Słowa wykreślone przez Płatonowa.

Moskwa patrzyła przez okno z ciekawości, starając się jak najrzadziej mrugać. Widziała nieruchomy biały obłok: spokojnie delikatny wicher zamarł na jego krawędzi, oświetlanej naiwnym słonecznym światłem w granatowej i niebieskiej czystości. Senna świeżość, jak zdrowie, wiatr i dzieciństwo, utrwalona była w owym obłoku, który w cichą nadciągającą noc pozostał nad radziecką przestrzenią. Moskwa poczuła tęsknotę w swoim ciele – zapagnęła pogрузić się w owym obłoku, w głębi jego chłodnego zapomnienia, aby każda jej żyła nabrzmiała życiem, a ona cała zagubiła się i stała bezimienna.

Rankiem Moskwa dojechała do swej stacji docelowej. Ogarnęło ją ostrzegawcze przecucie, kiedy ujrzała bezludzie, leśną przesiekę, prowadzącą w odległą gęstwinę drzew, barak z tarcicy dla robotników i całą nędzę miejscowych warunków. Była zachłanna na socjalizm: na sam widok nie urządzonego, nijakiego świata czuła w sobie nagromadzenie wzbierających sił i wiedziała zawczasu, co tutaj powinno się znajdować zamiast powszechnego ubóstwa i bezużytecznych majestatycznych głupot.

Moskwę powitał kierownik robót drogowych Afrajew, inżynier od linii komunikacyjnych, lat trzydziestu z kawałkiem. Nie kryjąc swego zainteresowania młodością, która u niego się zjawiała, Afrajew starannie obejrzał całe oblicze i tułów Moskwy. Moskwa także popatrzyła na Afrajewa i zobaczyła, że ma od dawna kochaną przez nią twarz, do tej pory jedynie niejasno wyobrażaną: wczesne suche zmarszczki od wysokiej temperatury pieców, przymrużone wyblakłe spojrzenie – od pustynnych wiatrów Azji i śnieżnej zadymki tundry, szerokie, cierpliwe kości policzkowe, ufne oczy, nawykłe do radości sukcesu, młode włosy, siwiejące wśród znużonej myśli, wśród napięcia puszczanej w ruch świadomości – wobec zadań trudnej i bezwzględnej substancji natury. Całe wielkie technologiczne doświadczenie socjalizmu, niczym głębokie przeżycie, pozostało na twarzy i w ciele Afrajewa.

Prosta sercem Moskwa nie wiedziała teraz, jak uniknąć udręki swego uczucia, i rozplakała się, kiedy została sama.

Późną nocą, kiedy Afrajew wrócił do baraku od swoich trosk, Moskwa ujrzała go ponownie. Ruszyli we dwoje leśną przesieką i patrzyli, jak światło księżyca oświetla białe brzegi nieruchomych nocnych obłoków. Afrajew ujął Moskwę za rękę, nikogo nie było w najbliższej przestrzeni, z oddali dochodziło chrapanie przodowników pracy w głębokim śnie.

– Moskwo Iwanowna! – powiedział Afrajew, a w jego wychudłym gardle zabulgotała ukryta, dręcząca siła.

Równomierne, potężne serce Moskwy zaczęło bić z tak donośnymi odgłosami, że wszystkie komary i ćmy, które siedziały z przodu na jej bluzce, natychmiast odleciały. „Oto materializm!” – bez sensu pomyślała Moskwa Czestnowa.

SPOR

Kronika biedniacka

W marcu roku 1930 pewien duchowy biedniak, wyczerpany troską o powszechną rzeczywistość, wsiadł do pociągu dalekobieżnego na moskiewskim Dworcu Kazańskim i wyniósł się precz z najgłówniejszego przewodniego miasta.

Kim był ów człowiek, który dopiero co wyjechał, a który będzie dalej świadkiem heroicznym, wzruszających i smutnych wydarzeń? Nie miał monstualnego – w sensie rozmiarów i siły – serca i ostrego, głębokiego umysłu, zdolnego rozdzierać chwiejną powłokę zjawisk, aby przeniknąć ich istotę.

Wędrowiec sam zdawał sobie sprawę, że zrobiony jest z cielecego materiału niczym nędzny, trwożliwy chłopina, i że wyszedł z kapitalizmu, ale dzięki owej słusznej świadomości nie miał w sobie ani egoizmu, ani samouwielbienia. Przypominał polnego pająka, z którego wyjęto indywidualną, drapieżną duszę, kiedy to niedołążne stworzenie niesie w przestrzeni tylko wiatr, a nie wola życia. A jednak były chwile w istnieniu tego człowieka, kiedy nagle drżało w nim serce, a on ze łzami w oczach, ze szczerością i słabowitym charakterem występował w obronie partii i rewolucji w głuchych wsiach republiki, gdzie żył jeszcze i ubocznie żarł biedotę kułak.

Ów wędrowiec po kolchozowej ziemi miał pewną cenną właściwość, gwoli której wybraliśmy jego oczy do obserwacji, to znaczy: mógł się pomylić, ale nie był zdolny skłamać, i do całej ogromnej okoliczności socjalistycznej rewolucji odnosił się z taką uwagą i niewinnością, że przez całe życie nie umiał znaleźć słów dla objaśnienia komunizmu we własnym umyśle. Jednak korzyść z tego dla socjalizmu nie była wielka, raczej znikoma, bowiem istota owego człowieka składała się, mówiąc w przybliżeniu, z cukru rozpuszczonego w moczu, podczas gdy prawdziwy człowiek proletariacki powinien mieć w swoim składzie kwas siarkowy, aby mógł wypalić całe kapitalistyczne ścierwo zajmujące ziemię.

Jeśli dalej będziemy nazywali podróżnika jak samego siebie („ja”), to dla krótkości wypowiedzi, a nie z uznania, że bezwolna obserwacja jest ważniejsza od napięcia i walki. Przeciwnie, w naszych czasach postronny obserwator to co najmniej w połowie kanalia, ponieważ nie jest bezpośrednim uczestnikiem sprawy, która tworzy komunizm. I dalej – nawet rzeczywistym obserwatorem, który widzi prawdziwe rzeczy, w naszych czasach, znajdując się poza pracą i szeregami proletariatu, być nie sposób, albowiem cenna obserwacja może wziąć się tylko z poczucia pełnowartościowej pracy przy budowie socjalizmu.

Tak więc człowiek ów wyjechał na oddalone czarnoziemne równiny, gdzie nad otwartymi zbiornikami wodnymi stoją targane wiatrem, kryte strzechą lepianki małorolnych biedniaków.

Jazda pociągiem odmieniła się. Dawniej można było obserwować przez okno tylko pustacie kraju, tylko rozproszenie rzadkich wsi, posadowionych tak nieśmiało i tymczasowo, jakby byty sierotami na obcej ziemi i jakby nieustannie gotowe były zniknąć. Niegdyś były to jedynie obozowiska wędrującego ludu, który nie wierzył w swój miejscowy los i czekał, kiedy każą mu ruszyć dalej, gdzie jest jeszcze gorzej.

Teraz zaś po obu stronach torów budowano rozmaite punkty, przedsiębiorstwa, urzędy, wieże, a jarosławskie i amowskie ciężarówki gorliwie woziły materiały po wyniszczającej bezdrożnej ziemi. Ludzie stali przy ceglanych murach i pilnie przykładali się do pracy, zagospodarowując już ostatecznie owe puste, deficytowe przestrzenie.

Przez wiele setek kilometrów budująca się republika nie zmieniała swego niespokojnego oblicza, lśniącego świeżą tarcicą w wieczornym słońcu. Wszędzie można było ujrzeć żelazne i ceglane przyrządzenia dla uspołecznionego gospodarstwa wiejskiego albo całe korpusy niezbędnych fabryk.

– Ile to trawy na zawsze przepadnie – powiedział pewien dobrowolnie żyjący staruszek, który jechał razem ze mną – ile gruntu skryje się pod ceglany ciężarem!

– Niezgorzej – odpowiedział mu inny człowiek, który miał typowo tambowskie oblicze, być może, obywatel dawnego powiatu Szackiego. On również przez okienne szkło pilnie obserwował rozmaite budowy i naszeptywał coś z uśmiechem kanalii, wrzucając sobie tymczasem do ust kawałki czegoś ze swego woreczka z jedzeniem. Ów mieszkaniak starej głuchej ziemi z pewnością nie uznawał naukowego socjalizmu i chętnie ofiarowałby piątaka na budowę świątyni, a zamiast radia słuchałby bicia dzwonów. Wierzył, sądząc po spokojnym szczęściu na jego twarzy, że odwieczne substancje świata zniszczą rewolucję – dlatego patrzył nie tylko na nowo budującą się republikę, ale także na parowy, na potężne obnażenia gliny, na napotykanych żebraków, na rosnące drzewa, na wiatr pod niebem – na całą martwą próżnotę natury, bo tej rzeczy jest za dużo i nie może być ona jakoby wykorzeniona przez rewolucję, jakkolwiekby ta ostatnia się starała. Zmurszała, zleżała substancja i tak, niby, zatłamsi żący radziecki potok swoim nawałem i prochem. Mając takie duchowe nastawienie, tambowski człowiek przekąsił jeszcze coś nieznacznie i od wewnętrznego spokojnego nastroju uczuć westchnął niczym przysły świątobliwiec.

– Jedzie, bywało, wóz z mlekiem – wyrzekł podróżny staruszek – fura cała skrzypi, sam gospodarz idzie na piechotę, a na wozie umościła się jego baba. A teraz tylko zimny inwentarz przerzucają!

– Traktory gorące, a życie chłodne – powiedział tambowski z wyglądu człowiek.

– Toteż to i strapienie – z miejsca zgodził się staruszek.

– Nie martwcie się – poradził z góry nie znany człowiek, który leżał tam na gołych deskach. – Zmartwienie zostawcie nam.

– A toż, jak chcesz, ja tylko tak! – przestraszył się staruszek.

– Ja też niczego nie mówiłem – uprzedził mieszkaniak Tambowszczyzny.

– Bierz mleko – powiedział górny człowiek i spuścił w żołnierskiej manierce ów napój. – Pij i nie wyrzekaj!

– A toż my syci, skosztuj sam, na Boga – odmówił staruszek.

– Pij, dopóki nie zszedłem! Przecież słyszałem – mleka ci brakowało.

Staruszek popił w strachu mleczka i oddał manierkę Tambowiakowi – ów także się napił.

Wkrótce z górnej półki zlązł i sam właściciel mleka; miał na sobie stary mundur czerwonoarmisty, który dostał mu się po demobilizacji, i posiadał młodą delikatną twarz, jakkolwiek znużoną już od myślenia i działalności. Usiadł na skraju ławki i zapalił.

– Ludzie mówią, że niedługo zbraknie tytoniu – wypowiedział się staruszek. – Siemaszka¹⁹ nie kazał więcej hodować jadowej rośliny, żeby proletariat żył czystym powietrzem.

¹⁹ Siemaszka – właśc. Siemaszko Nikołaj Aleksandrowicz (1874-1949), w latach 1918-1930 ludowy komisarz zdrowia Rosyjskiej FSRR.

– Na, zapal sobie! – były czerwonoarmista dał staruszkowi papierosa.

– Ja, towarzyszu, tym się nie zatrudniam.

– Pal, jak ci mówią!

Staruszek zapalił z uszanowania, nie chcąc narazić się na zagrożenie ze strony napotkanego człowieka. Czerwonoarmista zagadał do mnie.

– Jedziesz z nimi?

– Nie, sam.

– A ktoś ty?

– Elektrotechnik.

– No, to witaj – ucieszył się czerwonoarmista i podał mi rękę.

Byłem dla niego pożytecznym nabytkiem kadrowym i sam także się ucieszyłem, że jestem człowiekiem potrzebnym.

– Nie wysiadłbyś ze mną rano? Byłbyś dla naszego kołchozu cenny: u nas tam słońce się nie pali.

– Wsiądę – odpowiedziałem.

– Zaczekaj, to gdzie ty w takim razie jedziesz?

– A nigdzie – gdzie się przydam, tam wsiądę z wagonu.

– To dobrze, to nam pasuje. Bo wszyscy, rozumiesz, zajęci! I jeszcze się śmieją, gady, kiedy powiesz, że nad naszym kołchozem słońce się nie pali! A dlaczego ty się nie śmiejesz?

– Bo może zapalimy wasze słońce? Zobaczmy na miejscu – płakać czy śmiać się.

– No, jak tak mówisz, to zapalimy! – radośnie zawołał mój nowy towarzysz. – Chcesz, pobiegnę po wrzątek? Zaraz będzie Riazań.

– Pójdziemy razem.

– Nosiłbyś napis na czapce, żeś elektrotechnik. Bo myślałem, żeś kułacki poplecznik: wygląd masz paskudny.

Rankiem wysiedliśmy na maleńkiej stacyjce. Wewnątrz stacji znajdowała się nędzna sala dla pasażerów, na której sam widok, od nudy i ogólnej mizerii, każdego człowieka zaczynał boleć brzuch. Po ścianach wisiały wspaniałe plakaty, przedstawiające parostatki, samoloty i pociągi kurierskie; plakaty zachęcały do dalekich szczęśliwych podróży i ukazywały zamyśloną, syte kobiety, które rozkoszują się błękitną wodą Wołgi, a także obfitością przyrody na brzegach.

W owej sali dla pasażerów obecny był jeden jedyny człowiek, który żuł chleb z teczki.

– Siedzisz? – zapytał go dyżurny ruchu, wracając po odprawieniu pociągu. – Kiedy się wreszcie ruszysz? Już trzeci tydzień idzie, jakeś przyjechał.

– Alboż to ci przeszkadzam czy jak? – odrzekł ów osiadły pasażer. – Czego chcesz? Podłogę ci zamiatam, przecieram okna; niedawno zasnąłeś, a ja przyjąłem depeszę i wyszedłem, żeby postać bez czapki, dopóki nie przejedzie pociąg. Mieszkam u ciebie normalnie.

Dyżurny już więcej nie urągał leciwemu człowiekowi.

– I mieszkaj dalej. Boję się tylko, że spędzisz tutaj jeszcze ze cztery miesiące, a potem zażadasz etatu.

– Jetat mi niepotrzebny – zaprzeczył pasażer. – Z dokumentami prędeż się przepadnie, a bez papierka zawsze jakoś przeżyję, dlatego że niczego o mnie nie wiadomo.

Mój towarzysz, zdemobilizowany czerwonoarmista towarzysz Kondrow, zatrzymał się na tę pogawędkę.

– Miej na uwadze – powiedział dyżurnemu – że pracujesz po łajdacku; już ja teraz się o ciebie zatroszczę.

Z tym wyszliśmy na polną drogę. Naga natura wiosny otoczyła nas, stawiając opór wiatrem w twarz, ale pokonaliśmy go bez trudu.

Po kilku godzinach pieszego wysiłku zatrzymaliśmy się przy bramie wejściowej do wsi,

wzniesionej w postaci luku triumfalnego, na którym było napisane: „Rol. kolektyw DOBRY POCZĄTEK”. Sam kołchoz rozłożył się na stoku dużego parowu, w dole zaś płynął strumień, pracujący przez okrągły rok. Kołchozowe domy były zwykłymi wiejskimi chałupami, wszystkie sprzęty były dawne i znajome, jedynie ludzie wydali mi się nieznanymi. Chodzili w dużej liczbie po wszystkich miejscach we wsi, macali rozmaite przedmioty, dokręcali mutry na pługach, rzeczowo się spierali i poważnie rozmyślali. Powszechnymi odczuciami całej ludności kołchozu były obawa i troska, a kołchoźnicy starali się zmniejszyć ową obawę przed siewem skrzętnymi przygotowaniami. Każdy dla dobra sprawy uważał innych za głupców i dlatego sprawdzał mutry na wszystkich pługach własnoręcznie. Słyszałem krótkie dyskusje.

– Obejrzałeś szprychy w siewnikach?

– Obejrzałem.

– No i co?

– Które się chwiały, te naprawiłem.

– Naprawiłeś? Już ja wiem, jak ty naprawisz! Wdział od rana rubachę-harmonię i chodzi! Daj no, pójdę sam – naprawię od nowa.

Ten, który miał na sobie rubachę-harmonię (o czterdziestu guzikach, przypominających klawisze harmonii), nie sprzeciwił się, lecz jedynie westchnął, że nijak nie może dogodzić członkom kołchozu.

– Wasiek, poleciałbyś popatrzeć na konie!

– A co je oglądać? Patrzyłem: stoją, owies żrą który dzień, aż obrosły sadłem.

– A ty jednakowoż polec się o nie wywiedzieć!

– Ale czego tu latać, łysy człowieku? Czego na próżno obijać sobie kołchozowe nogi?

– A tak: przyjrzyj się, w jakim są nastroju, przylecisz – powiesz.

– A to zachłanny diabeł – obraził się młodzieżowiec Waśka. – Ja przecież całe kułactwo obszedłem z najmem, a jak żyję, tak się nie uszarpałem.

– Dziwak: u kułaka miałeś nagrabilone, a u nas masz własną krwawicę.

Koniec końców Waśka poszedł jednak zbadać nastrój społecznych koni.

– Obywatele – powiedział człowiek, który przyszedł z wiadrem oleju skalnego; z owego wiadra smarował wszystkie żelazne ruchome i nieruchome części w kołchozie, lękając się, że zgubią je rdza i tarcie. – Obywatele, wczorajszym dniem Sierioğa znowu okurki z ogniem rozrzucił, gdzie popadło. Donoszę o tym, bo będzie pożar!

– Bujasz, smarowaczu – zaprzeczył obecny przy tym ogromny Sierioğa. – Ja je zapluwałem.

– Zapluwałeś, ale w pobok – nie ustępował smarowacz – a ogień ulatywał suchy.

– Dobra już, starczy piłowania – ustąpił Sierioğa. – Ty sam chodzisz i olejem skalnym kapiesz na ziemię, a on przecież kupiony ze wspólnych środków.

– Obywatele, on beczelnie i po kułacku kłamie. Niech znajdzie gdzieś choć jedną kroplę. Czego on mnie dręczy!

– Dosyć – powiedział Kondrow – nie zagłuszajcie wrzaskiem ogólnych kłopotów. Ty, Sierioğa, pal skromniej, a ty kap sobie – kropla kołchozowi nie straszna – ale smaruj, gdzie potrzeba, a nie gdzie sucho. Dlaczego smarujesz obręcze kół przy furach?

– Rdzy się boję, towarzyszu Kondrow – odrzekł smarowacz. – Przeczytałem, że rdza to cichy ogień, a towarzysz Kujbyszew²⁰ mówił przez radio, że u nas jest głód żelaza, to jestem na niego skąpy.

– Kombinuj do końca – wyjaśnił smarowaczowi Kondrow – olej skalny wydobywa się też żelaznymi maszynami. A jak ty tracisz go po próżnicy, to w Baku maszyny chodzą niepotrzebnie.

– A to ci! – wystraszył się smarowacz i w zaskiwieniu usiadł na swoim wiadrze: myślał, że

²⁰ Kujbyszew Walerian Władimirowicz (1888-1935) – działacz partyjny, do listopada 1930r. przewodniczący WSNCh (Rady Najwyższej Gospodarki Narodowej).

olej skalny to zwyczajnie taka sobie gęsta ciecz.

– Piętka – zwrócił się do chłopaka łysy chłopina, ten sam, który wysłał Waškę do koni. – Idź, na miłość boską, obleć wszystkie chałupy – niech baby pozamykają szybry, bo ciepło się ulotni.

– A toż teraz nie zimno – oświadczył Sierioga.

– Wszystko jedno: niech baby przyzwyczajają się chronić spalone dobro, przyda im się ta nauka na zimę.

Piętka bez słowa pobiegł nakazywać babom w sprawie szybrów.

– Słuchaj, wujku Siemionie! Czegoś to wczoraj siano mojej kobyle odjął i podsunął swojemu wałachowi? Patrzaj go, jaki diabeł średniacki – widać kołchoz nie na twój rozmiar!

Wujek Siemion stał ze zmarkotniałą twarzą.

– Przywiązałem się do wałacha – powiedział – jak tylko wejde, sapie na mnie i mruga oczami, a tu nic, tylko norma – nie ma czym bydłęcia dopieścić, to i położyłem twoje siano.

– Ty teraz do człowieka się przywiązuj, a wtenczas będą cię szanować wszystkie wałachy!...

– Będę się przywiązując – smętnie przyobiecał wujek Siemion.

– A może by tak pójść i zrobić pokrywę na studnię? – odezwał się Sierioga, który stał bez zajęcia.

– Idź, kochany, idź. Od małego pijemy wodę z owadzim drobiazgiem. Może przy lepszej wodzie zaczniemy zjadać mniej stawy.

Odszedłszy z Kondrowem w głąb kołchozu, odkryłem, że na prawo od wsi, na nie obsianym skłonie wzgórza, stoi nowa drewniana wieża strażacka na dziesięć, dwanaście metrów. Na szczycie wieży błyszczało blaszane urządzenie, które, sądząc z kształtu, było reflektorem, przy czym ustawiono je tak, że powinno promienie niewiadomego źródła światła kierować w całości w stronę kołchozu.

– Oto nasze słońce, które się nie pali – powiedział mi Kondrow, wskazując na wieżę. – Chcesz jeść?

– Chcę. Macie zapasy?

– Wystarczy. Zeszłego roku jesień była bolszewicka – wszystko się rodziło.

Pojadłszy rozmaitego dobra w pierwszej z brzegu chacie, w której wisiała lampka elektryczna, poszliśmy z Kondrowem nie na wieżę, ale ku strumieniowi. Nad strumieniem, obok prymitywnego jazu, stał dębowy spichrz z mocnym przedsiębiernym kołem młyńskim; jaz służył najwyraźniej do gromadzenia zapasu wody.

– Nasiębierne koło pracowałoby u was lepiej! – powiedziałem.

– No, cóż, powiedz tylko, jak trzeba to zrobić, a my już zrobimy – odpowiedział mi Kondrow.

Zrobiło mi się smutno i trwożnie od bliskości takiego człowieka: wszak on za odrobinę wiedzy odda wszystko, z drugiej zaś strony byle jakie szkodnicze ścierwo może go łatwo oszukać i doprowadzić do zguby, wykazawszy uprzednio, że ma w swojej głowie algebrę i mechanikę.

Kondrow otworzył spichrz. Żadnego młyna w spichrze nie było, stała tam niewielka dynamomaszyna i więcej nic. Na wale koła wodnego znajdowała się tarcza, która poprzez pas transmisyjny przekazywała moc na dynamomaszynę. Po zbadaniu okazało się, że koło wodne zdolne było za pośrednictwem dynamomaszyny dać moc wystarczającą, aby w kołchozie paliło się dwadzieścia tysięcy świec elektrycznych albo czterdzieści tysięcy tychże świec w półwatowych żarówkach. Po przerobieniu koła wodnego z podsiębiernego na nasiębierne moc całego urządzenia można było zwiększyć przynajmniej o jedną trzecią; dynamomaszyna była zaś obliczona na czterdzieści koni mechanicznych i mogła znieść duże obciążenia.

– A nasze słońce nie pali się, rozumiesz! – z goryczą wyrzekł nade mną Kondrow. – Zagasło.

Przewody od spichrza ciągnęły się po wiklinie, po opłotkach i odgałęziając się po drodze do kołchozu, kierowały się ku słońcu. My także tam poszliśmy. Przewody wszędzie były wystarczająco solidne, na samym słońcu też nie mogłem dostrzec niczego wadliwego. Szczególnej satysfakcji dostarczyło mi blaszane zwierciadło: jego powierzchnia odbijająca miała tak dobrze wyliczoną krzywiznę, że całą siłę światła kierowała równomiernie na kołchoz i na jego ogrodowe użytki, niczego nie trwoniąc do góry i na boki. Źródło światła stanowił drewniany dysk, na którym było zamocowane sto stuświecowych półwatowych żarówek, to jest ogólna świetlna moc słońca równała się dziesięciu tysiącom świec. Kondrow mówił, że to jednak za mało – niezwłocznie trzeba osiągnąć światło o co najmniej czterdziestu tysiącach świec; szczególnie, rzecz jasna, nadałby się reflektor, ale nie sposób go zdobyć.

– Zaraz pójde, puszcze koło i dynamo, a ty zobaczysz, że nasze słońce się nie pali! – gorzko powiedział do mnie Kondrow.

Poszedł, puścił, a słońce rzeczywiście się nie zapaliło. Stałem zakłopotany na wieży. Prąd w głównych przewodach był. Kołchoźnicy zebrali się pod wieżą i roztrząsali docierającą do mnie kwestię.

– Władza u nas ogólnie naukowa, a słońce nie świeci!

– Szkodnictwo albo jak!?

– Ile budowaliśmy – myśleliśmy, że nie będzie u nas pochurności, bukiety się rozwiną, a tu ono stoi zimne!

– To ci bieda! Jak wstaniesz, spojrzysz, że ono nie świeci, to zaraz gryziesz się cały od stóp do głowy!

– Nasi starcy przestali wierzyć w Boga, a jak słońce się nie zapaliło, to znowu zaczęli się żegnać.

– Dziadek Pawlik obiecał zlikwidować Boga jako wiarę, jeśli ogień zabłyśnie na wieży. Przyobiecał uwierzyć wtenczas w elektryczność jak w Boga.

– A paliło się to słońce choć raz? – zapytałem narodu.

– Paliło się prawie że z pół godziny! – powiedział naród i odpowiadał dalej, spierając się sam ze sobą.

– Więcej się paliło: nie bujaj!

– Mniej – nie zdążyłem się nacieszyć!

– Jakże mniej, kiedy mi od jasności pociekły łzy?!

– Tobie to ciekna i od kaganka.

– Jasno świeciło? – zapytałem.

– Cudnie – zawołał ten i ów.

– Zaprowadziło się u nas było naukowe światło, ale szkoda, że się skończyło – powiedział znany mi smarowacz.

– A potrzebne wam elektryczne słońce? – zainteresowałem się.

– Nam ono spor; przeczytaj formalność koło ciebie.

Obejrzałem się i ujrzałem papierowy rękopis, przybity gwoździami do specjalnej deski. Oto treść tego papieru:

„Regulamin działania elektrośłońca w kołchozie DOBRY POCZĄTEK:

1. Słońce organizuje się w celu pokrycia ciemnego i pochurnego deficytu ciała niebieskiego pod tą samą nazwą.

2. Kołchozowe słońce zachowuje światło nad kołchozem od godziny szóstej rano do godziny szóstej wieczorem każdego dnia przez okrągły rok. Przy obecności trwałego światła natury kołchozowe słońce wyłącza się, przy braku włącza na nowo.

3. Celem kołchozowego słońca jest wypuszczanie światła dla życia, pracy i roboty kulturalnej kołchoźników, dla pożytecznych zwierząt i ogrodów, ogarnianych promieniami światła.

4. W najbliższym czasie zwyczajne szkło na słońcu należy zastąpić naukowym ultrafioletowym, które rozwija w oświetlonych ludziach zdrowie i opaleniznę. Zatrzaszczy się towarzysz Kondrow.

5. Kołchozowe elektrośłońce to jednocześnie siła kulturalna, jako że niektórzy starzy członkowie naszego kołchozu i rozmaite wierzące niedobitki z sąsiednich wsi i kołchozów dały zobowiązanie na piśmie, że przestaną trzymać się religii w razie zaistnienia tutejszego słońca. Elektrośłońce ma też to wspaniałe znaczenie, że utrzymuje na ziemi bez ustanku jasny dzień i nie pozwala gromadzić się w nastrojach chwiejności, nieuctwu, zwątpieniu, zgryzocie, zgnębieniu i innym przesądom i przymusza każdego biedniaka i średniaka do poznania pochodzenia wszelkiej siły światła na ziemi.

6. Nasze elektrośłońce powinno udowodnić miastom, że radziecka wieś chce je po przyjaźni dopędzić i przegnać w technice, nauce i kulturze, i wykazać, że i w miastach konieczne jest urządzenie dzielnicowych publicznych słońc, ażeby technika wszędzie po naszym kraju płonęła i grzmiała.

7. Niech żyje codzienne słońce na radzieckiej ziemi!”

Wszystko to było całkowicie słuszne i dobre, więc ucieszyłem się na to rzeczywiste budownictwo nowego życia. Co prawda, było w tym zjawisku coś wzruszającego i śmiesznego, lecz była to wzruszająca niepewność dzieciństwa, które cię wyprzedza, a nie dekadenska ironia zagłady. Gdyby takie sytuacje się nie zdarzały, nigdy byśmy nie zorganizowali ludzkości i nie poczuli człowieczeństwa, bowiem nowy człowiek jest dla nas równie śmieszny, jak Robinson dla małpy; wydają nam się naiwne jego zajęcia, w skrytości zaś pragniemy, żeby nie zostawiał nas umierających w samotności i żeby do nas wrócił. Ale on nie wróci i każdy duchowy biedniak, którego jedynym majątkiem jest zwątpienie, przypadnie w bezdziedzicznej krainie przeszłości.

Wrócił Kondrow.

– Na pewno jeździłeś do Moskwy po lampy ultrafioletowe? – zapytałem go.

– Po nie – odpowiedział – powiedzieli, że się ich jeszcze nie sprzedaje, ledwie tylko szykują się je robić, czegoś się czają!

– Gdzie byłeś, kiedy zaczęło się palić słońce i zgasło?

– A tutaj, na słońcu.

– Gorąco było koło dysku?

– Strasznie!

Zajrzałem za dysk i zacząłem sprawdzać instalację, ale nie było czego sprawdzać; cała izolacja na przewodach zesmażyła się, wszystkie przewody były zwarte, a bezpieczniki wejściowe przepaliły się, rzecz jasna. Całe to urządzenie robił, jak się okazało, kowal z innej wsi, i to dzięki samej tylko własnej smykałce.

Zgodnie z ogólną decyzją, Kondrow i ja dokonaliśmy pełnej analizy niepalenia się słońca, po czym obwieściliśmy swoje zdanie obecnym w pobliżu członkom kołchozu. Nasze zdanie było takie: słońce zgasło od strasznego świetlnego gorąca, które zepsuło przewody, trzeba zatem rzadziej obsadzić żarówki na dysku.

– Nie trzeba! – sprzeciwił się tylni średniak. – Nie rozumiecie. Postawcie na blasze jakieś naczynia z wodą – woda będzie studzić gorąc, a naszym żołądkom przypadnie wrzątek.

Słowo średniaka, który stał z tyłu, było rozumne i pożyteczne dla sprawy; jeśli umocować na odbłyśniku wodny rękaw, to blacha będzie chłodziła przewody, a prócz tego co godzina można otrzymywać po wiadrze wrzątku.

– No jak? – zapytał mnie Kondrow pośród pospólnego zadumanego milczenia.

– Tak będzie dobrze – odpowiedziałem.

– Proszę do mnie brygadę młockarnianą! – głośno zarządził Kondrow.

Brygada ta była najbardziej wytrwała w każdej ciężkiej, pilnej albo mało wiadomej pracy. Wczoraj dopiero co skończyła oczyszczanie wszystkich nasion i przespawszy dwadzieścia

godzin, teraz stopniowo podeszła do Kondrowa.

Pod słoneczną wieżą urządziliśmy naradę produkcyjną, na której ustaliliśmy wszystkie części i materiały potrzebne do racjonalizacji słońca, a także sposób przeróbki koła wodnego z przedsiębiorczego na nasiębierne, odgórne.

Potem zwolnili mnie, a ja zainteresowałem się tutejszą walką klasową. W tym celu poszedłem do chaty-czytelni, wiedząc, że rewolucja kulturalna często postępuje u nas po rozkułaczonych miejscach. Tak też się okazało: chata-czytelnia zajmowała dom starodawnego, odwiecznego kułaka Siemiona Wierieszczagina, do swej likwidacji indywidualnie i dostatnio gospodarującego na chutorze Pieriepalnym przez czterdzieści lat (w oczekiwaniu na nazwanie się kolchozem „Dobry Początek” wieś nazywała się chutorem Pieriepalnym). Wierieszczagin i podobny mu jego sąsiad Riewuszkina żyli nie tyle ze swej pracy, ile ze szczególnej mądrości.

Od samego początku władzy radzieckiej Wierieszczagin prenumerował cztery gazety i czytał w nich wszystkie ustawy i rozporządzenia w celu przepchania się między nimi w jakieś wąskie i korzystne miejsce. Tym sposobem długo i pewnie bytował Siemion Wierieszczagin, przytając się i mędrkując. W ostatnich czasach wszakże wprawiała go w konfuzję tanizna bydła, a Wierieszczagin z dawien dawna ciągnął po cichu zyski ze skupu i odsprzedaży cudzych bydła. Długo szukał Wierieszczagin jakichkolwiek dekretów w tym przedmiocie, ale gazety mówiły o tym tylko jakoś pośrednio. Wtenczas Wierieszczagin postanowił wykorzystać i samą pośredniość. Utkwiło mu w głowie, że jego koń wart jest teraz na targu około trzydziestu rubli, a ubezpieczony jest na sto siedemnaście. A tu jeszcze kolchoz tylko patrzeć, jak zwali się na głowę, a wtedy koń stanie się jakby w ogóle nie zwierzęciem pociągowym i nie przedmiotem. Całymi długimi dniami siedział Wierieszczagin na ławce i smętnie dumał, łypiąc chytrze jednym żółtym okiem.

„Najważniejsze, żeby państwo mnie nie usłyszało – kombinował. – Jakoś nigdzie nie czytałem, żeby nie wolno było dręczyć koni: to znaczy, że można. Byle tylko Osoawichim²¹ się nie przyczepił: ale nie, on od aeroplanów!”

I Wierieszczagin świadomie przestał dawać karmę koniowi. Przywiązał go na sztywno powrozami do żłobu i dawał tylko wodę, żeby zwierzę nie chrypiało i nie przyciągało czujnego słuchu sąsiadów.

Tak minął tydzień. Koń zmarniał i patrzył prawie po ludzku. A kiedy przychodził do niego Wierieszczagin, to nawet otwierał mordę, jakby pragnąc wypowiedzieć dręczące go słowo.

Minął jeszcze tydzień, a może dekada. Wierieszczagin – aby przyspieszyć śmierć konia – przestał dawać mu i wodę. Zwierzę zwiesiło łeb i nieustannie chrypiało ze swej męki.

– Zdychaj – przykazywał koniowi Wierieszczagin. – Bo władza radziecka czepliwa. Tylko patrzeć, jak sobie o tobie przypomni.

Koń jednak żył i żył, zupełnie jakby była w nim jakaś ideowa odporność.

Dwudziestego dnia, kiedy koniowi zamknęły się oczy, ale biło jeszcze serce, Wierieszczagin objął swoje zwierzę za szyję i po upływie godziny udusił je. Koń po dwóch godzinach ostygł.

Wierieszczagin uśmiechnął się nieznacznie nad pokonanym państwem i poszedł do chałupy, by uspokoić stargane nerwy.

Po jakichś dziesięciu dniach poszedł odebrać ubezpieczenie za padłego konia, gdy tylko rada wiejska wydała mu zaświadczenie, że koń zdechł, bo cierpiał na żołądek.

Za uzyskane sto rubli Wierieszczagin kupił na targu trzy konie i jako świadomy obywatel ubezpieczył to pogłowie w okręgowym biurze Gosstrachu²².

Odczekawszy miesiąc i nie słysząc, ażeby państwo powstało na niego, Wierieszczagin

²¹ Zob. przypis 1 do Szczęśliwej Moskwy.

²² Gosstrach – Głównoje uprawlenije gosudarstwiennogo strachowanija (Zarząd Główny Ubezpieczeń Państwowych).

przestał karmić także trzy nowe konie. Po miesiącu będzie miał teraz dwieście rubli czystego zysku, a może i więcej, i tak dalej – aż do nieskończonej obfitości.

Przywiązawszy konie powrozami do stanowisk, Wierieszczagin zaczął czekać na ich śmierć i na swój zysk.

Jednakże pies podwórzowy Wierieszczagina też nie siedział bezczynnie – zaczął od na wpół martwych koni odrywać z tyłu kawałki, tak że konie skręcały się z bólu, i rozwłóczył mięso po cudzych podwórzach, żeby je zakopywać. Chłopi zauważyli psa i wkrótce rada wiejska w pełnym składzie, na czele z Kondrowem, przyszła do Wierieszczagina, żeby wykryć u niego skład wieprzowiny. Żadnego składu rada nie znalazła, w nocy zaś przybiegło do obejścia Wierieszczaginów całe stado obcych psów i przysiadłszy, owe podwórzowe zwierzęta zaczęły wyc.

Następnego dnia lewicowy biedniacki sąsiad Wierieszczagina przelazł przez płot i zobaczył trzy rozszarpane przez psy umierające konie.

Wierieszczagin też nie spał – rozmyślał. Już z samego rana poszedł po zaświadczenie o swoich trzech padłych koniach, które kupił jakoby tylko po to, żeby przekazać je do organizującej się końskiej kolumny, ale wynikła z tego sama wola boża. Kondrow popatrzył na Wierieszczagina i powiedział:

– Nie przejdzie, Wierieszczagin, twoje przedsięwzięcie, dowiedzieliśmy się od psów o całym twoim sposobie życia. Idź na razie do komórki, a my będziemy obradować nad twoim losem: przyszła dzisiaj gazeta „Biednota”²³, napisane tam jest o tobie i o wszystkich podobnych osobnikach.

– Poczta pracuje u nas do niczego, towarzyszu przewodniczący – powiedział Wierieszczagin. – Ja przecież myślałem, że teraz maszyny wejdą, a koń to stworzenie szkodliwe i dlatego nie leczyłem tych zacofanych bydła.

– Aha, toś ty mądrzej myślał od całego państwa – rzekł na to Kondrow. – No, nic, podpadniesz teraz jak złoto pod nowy dekret o ochronie zwierząt gospodarskich.

– Niechbym i podpadł – chytrze ustąpił Wierieszczagin. – Za to obstawałem przy pełnej industrializacji, a koń to zwierzę-purtunista!

– O właśnie! – zawołał wtedy Kondrow. – Purtunista zawsze krzyczy „za”, kiedy odsuną od niego miskę z kapuśniakiem! Idź do komórki i czekaj na nasz wyrok, dopóki nerwy mi nie puściły, wrogu całej ludzkości!

Po miesiącu lub dwóch Wierieszczagina i analogicznego Riewuszkina ich dawni parobcy – Sierioğa, smarowacz i inni – popędzili pieszym pochodem do rejonu i tam pozostawili na wieki.

W Pieriepalnym ani jeden średniak nie został skrzywdzony przy rozkułaczaniu – przeciwnie, średniak Jewsiejew, któremu powierzyli ściśle spisanie każdego drobiazgu w kułackich obejściach, żeby wciągnąć go do kułchozowego przychodu, sam pokrzywdził władzę radziecką. Kiedy mianowicie Jewsiejew zobaczył szafę jakichś babsko-damskich kosztownych przedmiotów w domu Riewuszkina, to Jewsiejewowi z chciwej radości podwoiło się w oczach i wziął sobie zbywającą połowę, która wedle jego mniemania tylko dublowała przedmioty – w ten sposób z żeńskiego inwentarza nic nie pozostało, a państwo zostało poszkodowane na sumę stu albo dwustu rubli.

To jednostkowe zjawisko w rejonie określono potem jako rozgięcie, Jewsiejew zaś zasłynął jako rozginacz – w odróżnieniu od przeginacza. Tutaj korzystam z okazji, żeby wyjawić prawdziwą sytuację: przegięcia w czasie kolektywizacji nie były zjawiskiem powszechnym, zdarzały się miejsca wolne od błędów wynikających z zawrotu głowy i tam linia partii nie rwała się i nie zbaczała w krzywe odchylenie. Niestety, jednak takich miejsc nie było zbyt wiele. W czym zatem przyczyna tak skutecznego przeprowadzenia generalnej

²³ „Biednota” – gazeta codzienna, wydawana w Moskwie od 27 marca 1918 do 31 stycznia 1931, adresowana do biedoty wiejskiej i czerwoarmistów.

linii?²⁴

Według mnie, w samodzielnie rozmyślającej głowie Kondrowa, który wielu dyrektyw z rejonu po prostu nie wykonywał.

– To pisał samochwał – mówił, czytając szczególnie natarczywe dyrektywy, w rodzaju „wszyscy za dziesięciodniówką” itp. – Chce zasłynąć jak jakiś autor: ja, niby, pierwszy na papierku osiągnąłem socjalizm, kanalia jedna!

Inne dyrektywy, przeciwnie, Kondrow wykonywał z surową skrupulatnością.

– A to słusznie i rewolucyjnie! – powiedział o sensownym dokumencie. – Każde słowo chrzęści w głowie, czytasz i jakbyś świeżą wodę pił: tylko towarzysz Stalin może tak informować! Na pewno rejonowe cholery odpisały zwyczajnie tę dyrektywę z centralnej, a tę, którą wyrzuciłem, sami wymyślili, żeby wysadzić się ze swoim rozumem!

Kondrow działał bez jakiegokolwiek strachu i zastanawiania się, nie bacząc na nieustannie grożący mu palec z rejonu:

– Pilnuj się, Kondrow, nie powstrzymuj wyrywającej się w przyszłość biedoty, rozwijaj tempo na całą historyczną szybkość, nieszczęsny niedowiarku!

Kondrow wszakże wiedział, że tempo należy rozwijać w klasie biedniackiej, a nie tylko we własnym samopoczuciu; rejonowi ludzie wzięli zaś swój jednostkowy nastrój za powszechny entuzjazm i wyrwali się tak daleko naprzód, że od dawna zniknęli niezamożnemu chłopstwu za polnym horyzontem.

Mimo wszystko jednak Kondrow dopuścił się faktu niestosownego: w dniu otrzymania artykułu Stalina o zawrocie głowy do Kondrowa w bieżącej sprawie zajechał *priedrika*²⁵. Kondrow siedział akurat na cembrowinie studni i świętował z prawdziwej radości, nie wiedząc, co zrobić na początek – rzucić się w śnieg, czy też od razu zabrać się za budowanie słońca – tak czy owak trzeba było bezwzględnie i natychmiast spożytkować swoje spełnione szczęście.

– Czego szumisz? – zapytał go niczego nie świadomy *priedrika*. – Zrób mi wykazik...

Tutaj Kondrow owinął „Prawdę” pięścią i walnął nią w ucho *priedrika*.

Aż do zachodu normalnego słońca przebywałem w kołchozie i rozpatrzywszy się we wszystkim, co w nim wartościowe, wyszedłem zeń na dobre. Kołchozowe słońce nie było jeszcze gotowe, miałem jednak nadzieję, że w nocnym mroku ujrzę je z jakiegoś przydrożnego drzewa.

Oddaliwszy się na jakieś dziesięć wiorst, napotkałem odpowiednie drzewo i wdrapałem się na nie w oczekiwaniu. Połowa rejonu wystawiona była na moją obserwację w tę zaczynającą się wiosenną noc. W odległych kołchozach płonęły ognie. Słychać było pracujący gdzieś sortownik i zewsząd rozlegało się znajome jak dźwięk dzwonów ostrzegawcze szczekanie psów, które pracowały dla komunizmu z taką samą gorliwością, jak i dla kułackiego kapitalizmu. Odnalazłem miejsce, w którym znajdował się „Dobry Początek”, ale tam paliły się wszystkiego ze dwa światła i nie docierało stamtąd psie ujadanie.

Strawiłem wiele czasu, rozlokowawszy się na bocznej gałęzi drzewa, i wciąż wpatrywałem się w dookolne, stopniowo milknące dale. Mnóstwo zimnych gwiazd świeciło z nieba w ziemski mrok, w którym nieustannie pracowali ludzie, by potem zamyślić się także nad losem

²⁴ Cały ten akapit i następne nawiązują do dwóch artykułów Stalina: **Zawrót głowy od sukcesów** („Prawda” 1930, nr 60) i **W odpowiedzi towarzyszom kołchoźnikom** („Prawda” 1930, nr 92), dotyczących kolektywizacji, gdzie autor mówił m.in.: „Dyskredytowanie kierownictwa partyjnego stanowi to elementarne podłoże, jedyny grunt, na którym może rozegrać się walka prawicowych odchyleńców przeciw partii. Ten grunt dają odchyleńcom prawicowym amatorzy »lewicowych« przegięć, ich błędy i wypaczenia. Dlatego też, aby skutecznie walczyć z oportunistycznym prawicowym, trzeba przewyciężyć błędy oportunistów »lewicowych«. Ci, którzy dopuszczają się wypaczeń »lewicowych«, są obiektywnie sojusznikami odchyleńców prawicowych”. (Cyt. za: J.W. Stalin, **Dzieła**, t. 12, Warszawa 1951, s. 221).

²⁵ *Priedrika* – *Priedsiedatiel rajonnogo ispotnitelnogo komiteta* (przewodniczący rejonowego komitetu wykonawczego).

postronnych ciał niebieskich i dlatego kołchoz jest bardziej przyjazny gwieździe na niebie niż zwyczajna wieś. Znużony, mimo woli zdrzemnąłem się i w ten sposób spędziłem nieokreśloną ilość czasu, dopóki nie spadłem z przestachu, ale nie potłukłem się. Nieznany człowiek odsunął się od drzewa, zwalniając miejsce dla mego upadku – to na głos tego człowieka zbudziłem się na górze.

Zagadawszy się z człowiekiem, ruszyłem w ślad za nim drogą, oddalającą nas od „Dobrego Początku”. Czasami oglądałem się za siebie, oczekując kołchozowego światła, ale wciąż na próżno. Człowiek powiedział mi, że jest bojownikiem z niegłównym niebezpieczeństwem²⁶ i porusza się po obwodzie jako oddelegowany służbowo.

– Żegnaj, Kondrow! – po raz ostatni odwróciłem się w stronę „Dobrego Początku”.

Po drodze często trafiali nam się jacyś samotni i grupowi ludzie – widocznie w kołchozowych czasach nawet puste pole ma swą gęstość zaludnienia.

– A jakie jest to niegłówne niebezpieczeństwo? – zapytałem tego, z którym szedłem. – Lepiej byś walczył z głównym!

– Niegłówne żywi główne – odpowiedział mi podróżny przyjaciel. – Prócz tego mam słabe serce i dali mi lewactwo jako rejon pomocniczy dla prawicowców! Główne niebezpieczeństwo – to dopiero: masz tam podstarzałych zasłużonych biurokratów, masz różnych akcyjnych liberałów – tych trzeba miażdżyć na proszek z pożytkiem dla samokształcenia: kto tam wie, może prawicowcy to już ostatni odchyleńcy, ostatnie wywichnięte dusze kułaków!

Ach, jaka szkoda, że mam słabe serce, bo daliby mi główne: ach, pożyłoby się wtedy w tych niszczycielskich czasach! Nadzwyczaj przyjemnie i pożytecznie uziemić i prawych, i lewych, tak żeby tutejszemu kułactwu nie pozostała ani dusza, ani rozum!

Obejrzałem mówiącego człowieka. Lat nie był jeszcze podeszłych, za to twarz i ciało najwyraźniej zużyły się już w obwodowych dyskusjach, jego tułów bowiem przypominał udreżone stworzenie.

Oddychał nierównomiernie i rzadko, przez cały czas pogrążał się w wewnętrznych zamyśleniach i mocno wątpliwe, czy spożywał dostateczną ilość strawy.

Pokonując horyzont, zorientowaliśmy się po bladym świetle na ziemi, że za nami wzeszedł księżyc. Obejrzelismy się.

Pośród odległego mroku ujrzałem słabe okrągłe źródło światła, mimo wszystko pokonujące wszechobecną ciemność.

– To zapalili słońce w kołchozie! – powiedziałem.

– Tak, możliwe – obojętnie zgodził się bojownik z niegłównym niebezpieczeństwem. – Dla księżycy, dla naśladowcy słońca, to niezbyt ważny ogień. Naśladowcą też trzeba umieć być.

Nocowaliśmy w nieokreślonej chałupce, którą zobaczyliśmy na uboczu od traktu.

– Punkt by jakiś tutaj urządzić – powiedział mi o świtaniu przechodni towarzysz. – Dlaczego ta chatka stoi pusta, kiedy podstawowy skarb, naszą ideologię, nie każdy ma w duszy!

– To prawda – powiedziałem – na świecie jest wielu duchowych biedniaków.

W ciągu pierwszej połowy dnia szliśmy dalej. Po wilgotnych polach tu i ówdzie chodziły już pełnym składem kołchozy i macały rękami ziemię, określając jej wiosenną dojrzałość.

Potem doszliśmy do wsi Ponizowka, która istotnie rozłożyła się na niskiej ziemi. Objaśnia się to niedostatkiem wody albo trudnością jej zdobycia na wysokich gruntach.

²⁶ Niegłówne niebezpieczeństwo – aluzja do cytowanych w przyp. 6 artykułów Stalina, który **W odpowiedzi towarzyszom kołchoźnikom** pisał: „Pytanie piąte. Jakie jest u nas główne niebezpieczeństwo, prawicowe czy «lewicowe»? Odpowiedź. Głównym niebezpieczeństwem jest u nas niebezpieczeństwo prawicowe. Niebezpieczeństwo prawicowe było i pozostaje u nas głównym niebezpieczeństwem”. (Cyt. za: J.W. Stalin, **Dzieła**, t. 12, Warszawa 1951, s. 221).

W ogóle zaopatrzenie w wodę kolchozów i sowchozów powinno stać się ważną kwestią naszej pięcioletki, bowiem, jak zauważyłem, stopień uprawy i zagospodarowania ziem jest odwrotnie proporcjonalny do ich nawodnienia.

Oznacza to, że wysokie ziemie na działach wodnych, o najwyższej zazwyczaj jakości i najcenniejszym strukturalnie składzie, gorzej są uprawiane i mniej się zwykle o nie dba.

To zrozumiałe, bowiem działki wodne położone są daleko od bazy gospodarczej, zawsze przykutej do naturalnego otwartego zbiornika wodnego albo do płytkiej wody gruntowej.

W zbożowych rejonach widziałem nie mniej niż sto wsi i wszystkie one spędzone były do wodopoju w dół – w doliny rzeczek, w parowy i inne zapadliny ukształtowania terenu.

Wysokie zaś, najżyźniejsze ziemie są odleje i pustynne.

Oznacza to zapewne olbrzymie, na kilkaset milionów rubli rocznie, straty dla naszej gospodarki z uwagi na zbyt niskie plony z wododziałowych gruntów.

W czym zatem leży klucz do rozwiązania zadania? W tym, aby osadzać kolchozy i tworzyć sowchozowe folwarki wprost na działach wodnych, w centrum płodności gleb. A zaopatrzenie w wodę należy zapewnić dla nich za pomocą studni głębinowych. Dodatkowe znaczenie będzie tutaj miała wyraźna poprawa zdrowia wsi. Owa zakaźna ciecz otwartych zbiorników wodnych, którą zaspokajają swoje pragnienie liczne wiejskie rejony ZSRR, utraci wówczas znaczenie jako źródło zaopatrzenia w wodę. Artezyjska woda ze studni głębinowych jest ponadto mniej szkodliwa, smaczniejsza i czystsza niż chlorowana wodociągowa.

Dzisiaj, kiedy idzie się przez odległe części ZSRR, to widzi się pustą, jakby nie zasiedloną krainę. To dlatego, że wszystkie osady ukryły się w zapadliskach; inaczej mówiąc, warunki hydrologiczne określiły sposób zasiedlenia naszej ziemi. Zastanowiwszy się zaś nieco głębiej, można powiedzieć, że feudalno-kapitalistyczne stosunki produkcyjne trzymały wieś przy strumieniach i bagnach, pozostawiając w całkowitym bądź częściowym zaniedbaniu najlepsze pod względem żyzności suchodoły. Stąd jasne jest, że dla wielu naszych południowych, południowo-wschodnich i centralnych czarnoziemnych rejonów socjalizm powinien objawić się – oprócz innych jego elementów – pod postacią wody na działach wodnych.

Oto dlaczego wieś, którą napotkaliśmy, nazywała się Ponizowka – nazwa odpowiednia także dla tysiąca innych wsi.

Bojownik z niegłównym niebezpieczeństwem poszedł bezpośrednio do rady wiejskiej. Tutaj byłem świadkiem działań jego doświadczonego umysłu, który potrafił każdą biurokratyczną komplikację obrócić w zrozumiałą prostotę istoty rzeczy.

– Dlaczegoście nas nie zawiadomili? – zapytał mego drogowego towarzysza sekretarz rady wiejskiej. – Podesłalibyśmy po was tarantas!

– Nie pouczaj! – odpowiedział bojownik. – Oszczędzaj konie na siew, a nie dla mnie.

Na ścianie rady wisiały liczne schematy i plakaty, a wśród nich jeden wielki plan, który natychmiast przyciągnął bystry umysł bojownika z niegłównym niebezpieczeństwem. Plan przedstawiał ustalone terminy i nazwy kampanii bojowych: sortownicza, wyznaczająca pola, objaśniająca, przyprzężno-organizacyjna, próbno-siewna, sprawdzająca gotowość, siewna, kontrolna, plewna, żniwna, obliczeniowo-plonowa, skupowa, transportowo-wagowa i żywieniowa.

Głęboko zakłopotany, bojownik usiadł naprzeciwko podstarzałego, ponurego jakby przewodniczącego. Interesowało go, dlaczego rada wiejska troszczy się także o to, żeby ludzie jedli chleb – czyżby było to ponad ich siły, czy też na tyle są zacofani, że odmówią współczesnej strawy!

– A kto ich wie? – odpowiedział przewodniczący. – Może zeżłą się na coś albo posłuchają kułaków i zaczną nie jeść! A my nie możemy dopuścić do osłabienia mieszkańców!

Sekretarz podał ze swego miejsca dodatkowy powód konieczności twardego przeprowadzenia kampanii żywieniowej.

– Jeśli tak uważać – powiedział sekretarz – to i kampania plewna nie jest potrzebna: przecież dawniej baby same chodziły pleć proso, dlaczego więc teraz my je mobilizujemy?

– Dlatego, młody człowieku, że wy tylko nakazujecie wierzyć, że społeczne gospodarstwo jest lepsze od indywidualnego, ale dlaczego lepsze – nie pokazujecie – odpowiedział mój drogowy towarzysz.

– Pokazywać nie mamy kiedy, socjalizm nie czeka! – zaproponował sekretarz.

– No pewnie – podsumował bojownik. – Budować i dobudowywać niczego nie chcecie, macie ochotę byle szybciej jakoś tam się odbudować i zaleć na odpoczynek pośród szczęścia... Oto ona – lewicowa rozpędzona młodość! – już do mnie zwrócił się oddelegowany.

Nastawienie przewodniczącego było inne. Posepnie przewidywał, że dalej życie potoczy się jeszcze gorzej. Według niego, wychodziło na to, że ludzi trzeba będzie karmić administracyjnie łyżkami, budzić rankami i namawiać, by przeżyli kolejny dzionek. Sekretarz zaś nieustannie się z nim kłócił i uważał go za prawicowego tchórza, gdy sam tymczasem wściekle i dyrektywnie pędził grupę biedniaków-aktywistów – nie pozwalając im ani zrozumieć, ani odczuć – naprzód, biegiem poprzez kołchoz do komuny.

Po pewnym czasie obwodowy towarzysz mocno śmiał się na tak wyrazistą okoliczność, kiedy lewicowiec i prawicowiec siedzą w jednym pokoju i przez cały czas jakby wyciągają się nawzajem z kułackiej otchłani.

– Kampania żywieniowa była żyłką, na którą złapałem za jednym zamachem i lewackiego karasia, i prawicowego szczupaka – wyjaśnił mi obwodowy towarzysz podróży. – Wypadnie mi posiedzieć w tej wsi i tego czy owego spośród tych treserów mas usadzić.

– Ale ty zbyt pojednawczo z nimi rozmawiasz – powiedziałem. – Co tu ma do rzeczy młodość, delikatność, kiedy lewicowiec zmierza do katastrofy? Tłucz równo i jednych, i drugich!

– Racja – po zastanowieniu zgodził się bojownik. – Niechby zdarzyło się coś ciężkiego, to lewy poleci przecież do prawego: boję się, powie, wujaszku! A ten wujaszek zaryczy swoim basem i ukatrupi wszystko na świecie, kułacki kumoter!

Obwodowy człowiek rozmyślał jeszcze trochę pośród ciszy kończącego się stepowego dnia.

– Słusznie, słusznie: lewicowcy mówią dyszkantem, prawicowcy basem, a prawdziwa rewolucja barytonem, głosem geniusza i precyzyjnego silnika.

Tutaj bojownik z niegłównym niebezpieczeństwem odszedł ode mnie, ja zaś skierowałem się z Ponizowki zgodnie ze swoją marszrutą dalej, nie bacząc na przedwieczorny czas.

Iść wypadło mi niedługo: dwaj nieznanymi inżynierowie jechali z szoferem samochodem i podjęli się podwieźć mnie do najbliższego miejsca. Jakies pół godziny jechaliśmy spokojnie, potem w silniku coś twardo i gwałtownie zaczęło się tłuc, zupełnie jakby do komór cylindrów dostała się jakaś metaliczna trzepotająca się istota. Luz, hamulec i szofer wysiadł obejrzyć uszkodzenie. Odkręciwszy śruby, wspólnym wysiłkiem próbowaliśmy podnieść blok cylindrów, ale siły nasze okazały się mniejsze niż ciężar, a entuzjazmu nie było. Przechodni człowiek stał i oceniał nas:

– Słabosiłni jesteście i nie tak się zabieracie. Lepiej idźcie na Rękodzielne Chutory – stąd ze dwie wiorsty będzie, a i to nie. Weźcie stamtąd Griszkę – on sam jeden wam samochód odpali. Bo inaczej się zamęczycie: nie toci z was ludzie.

Zmilczeliśmy z szacunku dla siebie wobec przechodnia, ale potem zrozumieliśmy, że bez owego Grigorija z chutoru i bez koni się nie obejdziemy, a już się ściemniało.

Poszedłem na chutor. W parowie bytowały cztery zakopcone obejścia, z każdego komina walił jakiś naftowy dym i wszędzie w osadzie tłukły młotki. Chutor podobny był nie do wsi, ale do grupy przydrożnych kuźni; same zaś domy, kiedy podszedłem bliżej, nie były w ogóle mieszkaniami, ale warsztatami, gdzie palił się ogień pracy nad metalem. Opustoszałe pola

otaczały tę industrię, widać było, że chutorzanie nie orzą i nie sieją, tylko zajmują się żelaznymi sprawami jakiegoś stałego maszynowego rzemiosła. Nagle ostra fala powietrza uderzyła mi w oczy gorącym piaskiem, który porwała z ziemi, i w ślad za tym rozległ się armatni wystrzał. Raptownie przestraszony, przysiadłem w łopianach i nieco odczekałem. Nagi człowiek, czarny i spalony – nie na słońcu, tylko w pobliżu ognia – wyszedł z chaty-warsztatu i podniósł za mną ogromną drewnianą zatyczkę.

Człowiek ów okazał się niezbędnym nam Grigorijem. Wypróbował on właśnie wytrzymałość żelaznej rury, wystrzeliwując z niej drewniany korek: rura leżała w palenisku z wodą w środku i działała jak kocioł parowy – pod ciśnieniem, dopóki nie wysadziła zatyczki z otworu.

Grigorij poszedł ze mną i postąpił z automobilem bardzo prosto: wybrał z dwóch cylindrów ich zawartość w postaci rozsypanych panewek i zapuścił silnik na dwóch pozostałych.

– Jechać można – powiedział nam Grigorij. – Tylko że dwa jałowe cylindry brzuch teraz boli: gaz i olej pędzą się tam nie do pojęcia jak.

Pojechaliśmy do jego chutoru. Chutor ten istnieje już od dwustu lat i nigdy nie było w nim więcej niż cztery obejścia. W swych odeszłych w zamierzchłość czasach chutor był warsztatem remontowym czumackich wozów, arb i urzędniczych powozów, teraz zaś osiedlili się na chutorze dawni partyzanci i zdemobilizowani czerwonoarmiści, z zawodu górnicy, moskiewscy szewcy i wiejscy zegarmistrzowie, którzy z braku zamówień robili dziewczynskie korale.

– Jeździliście samochodem?! – zapytał Grigorija jeden główny pasażer-inżynier.

– Kto mi go dawał?! – z urazą w pytaniu rzekł Grigorij, który prowadził samochód.

– To jakim sposobem tak porządnie jedziecie?

– A bo ja jadę i myślę – objaśnił Grigorij. – Maszyna sama mówi, co dla niej sympatyczne, a ja jej słucham i dogadzam.

Nocowaliśmy w tym chutorze, bo Grigorij obiecał porobić panewki z metalu, który nigdy nie pęknie i nie rozkruszy się.

Położyliśmy się na nocleg w słomie koło szopy, w której trzymano węgiel i odpady produkcyjne. Ledwie tylko zagłębiliśmy się w chłód snu na świeżym powietrzu, jak rozbudziły nas burza oklasków i długotrwałe owacje. Wokół nic nie było, prócz cichego i pustego stepu, a w jednym z budynków chutoru huczały w uniesieniu masy i trzeźwo dzwoniło szkło otwartego okna. Wstałem rozdrażniony zepsutym snem, ale szczęśliwie zaciekawiony.

– Brakuje nieokreślonych odgłosów! – usłyszałem opinię Grigorija w ciszy kończącej się owacji. – Ludzie pracują zawsze naraz – i dłońmi, i głosem! Inaczej nie bywa. Kiedyś rad, nadawać zaczynają wszystkie członki organizmu.

Nie rozumiałem, więc wszedłem do środka warsztatu. Na podłodze pomieszczenia stało urządzenie, przypominające to, na którym toczy się noże i wszelkie ostrza, ale z dodatkową pokaźną skrzyneczką i rozmaitymi drobnymi detalami. Napęd urządzenia był najwyraźniej nożny. Cały ów oklaskujący automat sporządzony został przez polnych rzemieślników dla kółka dramatycznego z Pietropawłowska, któremu w toku pewnej sztuki potrzebne były rozentuzjasmowane masy za sceną.

Tu przyszedł inny majster – Paweł, przezwiskiem Pryncyp, który przyniósł w rękę kawałek błyszczącego metalu.

– Co to? – zapytałem Grigorija.

– A to my tu z niego dłubiemy detektory.

– I dużo ich u was zamawiają?

– Tysiącami. Nasze wsie muzykę uwielbiają, a słobody jeszcze więcej. Myślę, że dalej w step to radio nawet i nie przechodzi: w naszym okręgu anten gęściej niż drzew, cała fala

zatrzymuje się tutaj.

Następnie majstrzy zasiedli do kolacji; było ich siedmiu i wszyscy byli nieco do siebie podobni. Stół stał w kącie podwórza w cieniu korony okopconego jedyne drzewa; nad stołem, podwieszony do drzewa, palił się żeliwny żyrandol, składający się z dziesięciu pięćświecowych żarówek, a zasilanie w prąd dawał mu akumulator ze strychu. Na stole, gwoli lepszemu apetytu, umieszczone były blaszane polne kwiaty w puszcze i dwa staloryty, przedstawiające miłość.

Po sycącej kolacji, obliczonej na zaspokojenie krzepkich tułowi stepowych majstrów, odbyło się głośne czytanie gazety. Czytał Grigorij, a pozostali w skupieniu słuchali i odpowiadali szczerymi uczuciami.

– „Nasza straż graniczna zatrzymała polskiego szpiega Złuczkowskiego!” – czytał Grigorij.

– Pod obcas! – rozstrzygali słuchacze los tego szpiega.

– „W Baku otwarto nową potężną fabrykę smarów”.

– Maszynom tłustość jest niezbędna. To najpierwsza potrzeba – chwalili tę sprawę majstrzy, współczując maszynom.

– „Kamczacka ekspedycja futrzarska Gostorgu²⁷ śle pozdrowienia proletariatowi Związku Radzieckiego”.

I wszyscy słuchacze w milczeniu skłaniali głowy, odwzajemniając pozdrowienie.

– „W okolicach Aszchabadu zaobserwowano słabe wstrząsy podziemne. We wsi Ismidij zniszczeniu uległ jeden dom”.

– Bez pojęcia: ludzie pracują, a postronna siła się wpycha.

Byli to bardzo poważni ludzie. Widać było, że nie słuchają wydarzeń, ale czują je, nie kontemplują, ale badają i w lekkiej pracy umysłu odpoczywają ciężkim ciałem.

Po kolacji Grigorij zabrał się za robienie panewek do samochodowego silnika. Według jego systemu panewki powinny wyjść trwalsze niż były, bo zamierzał zrobić je nie z jednego kawałka brązu, ale z wielu.

– Czy widziałeś domy z jednego litego kamienia? – zapytał mnie Grigorij.

– Nie – odrzekłem zgodnie z prawdą.

– I dlatego stoją po sto lat, dlatego wytrzymują burze, skwar, deszcze i wstrząsy. Ja ci panewki zespawam z kawałeczków i z części – jak ceglany dom. Będziesz jeździł pewnie. Mitrij, wal mi brąz na okruchy.

Dmitrij zaczął rozdrabniać kawałek brązu.

– Zostaw – połapał się Grigorij. – Na brąz państwo traci środki i organizację. Krusz mi go ze starych panewek.

I tak też postąpiono.

Nie zdążył jeszcze Grigorij zespawać i sformować panewek, jak ze stepowej nocy pojawił się przed warsztatem tajemniczy, skłopotany jeździec. Był to przyjaciel Grigorija – komsomolec z odległej slobody.

– Grisza, Bóg do nas posuwa, pop i baby „Któryś chierubiny” chórem mu śpiewają, światło na głowie mu się pali!... Wskakuj ze mną na koński zad i jedziemy!

– Zapalaj samochód! – polecił mi Grigorij. – Budź szofera!

Szofera rozbudziłem, zmęczeni inżynierowie zaś nigdzie jechać nie chcieli.

Po chwili pędziliśmy z chutoru na dwóch cylindrach walczyć z najściem Boga na slobodę, a za nami podążał komsomolec na koniu.

Przyjechaliśmy przed Bogiem, który nie doszedł jeszcze do slobody, ale powoli poruszał się po widnokręgu, otoczony starym narodem, a nad jego głową rzeczywiście płonęła aureola białawego ognia. Dodaliśmy gazu i z czkawką w dwóch cylindrach dopędziliśmy Boga i jego

²⁷ Gostorg – Gosudarstwiennaja importno-eksportnaja torgowaja kontora (Państwowe Biuro Handlowe Importowo-Eksportowe).

wiernych.

Kroczył po ziemi starzec, odziany w samodział, bosi i uroczysty. Broda, jasne oczy i dobroduszość leciwego oblicza stanowiły jakby cechy szczególne Boga Ojca. Wokół kosmatych włosów na głowie jaśniała równa światłość. Ujrzawszy automobil, Bóg Ojciec wypuścił z rąk gołębia z czarnym ogonem, który oznaczał Ducha Świętego; gołąb nie chciał być odlecieć od swego żywiciela, ale Grigorij dał przeciągły sygnał i ptak poleciał bokiem w dal.

Dostało nam się za to z tłumu kamieniem, który rozbił szkło w prawym reflektorze.

Grigorij stanął wtedy na siedzeniu szofera:

– Szanowni staruszkowie i staruszki! (W slobodach na południu lubią ów przestarzały, pełen uszanowania zwrot). Pana Boga umęczył ciężar grzechów ludu i piesza wędrówka przez ziemskie przestrzenie. Przyjechaliśmy tutaj samochodem, żeby zmusić diabła do służby Panu... Wsiadaj, Bóg!

– Z przyjemnością, kochaneczku! – zgodził się obserwujący nas z bliska Bóg Ojciec.

Posadzono go na tylnym siedzeniu, obok niego usiadł Grigorij, a szofer poprowadził samochód z taką szybkością, aby staruszkowie i staruszki nadążali z tyłu biegiem.

Noc trwała nad nami; głęboka gwiazdna natura istniała wokół nas, nie zauważając lokalnego ludzkiego zdarzenia. W slobodzie spostrzeżono zbliżanie się tego, który zjawiał się po raz drugi w człowieczym świecie, i stróż uderzył w główny dzwon i małe do wtóru, wydzwaniając na nich wielkanocne granie.

Szoferskie boczne lusterko przez cały czas odbijało światło tylnego Boga, aż nagle zgasło; nie mogłem odwrócić się, bo na prośbę szofera pompowałem powietrze do baku z benzyną, ale lusterko ponownie zaślnięło bożą światłością i uspokoiłem się.

U wejścia do świątyni leżał plackiem pop i tak samo zalegali wszyscy ci, którzy wcześniej chodzili za Bogiem. Z boku stała grupa komsomolców, traktorzystów i młodych slobodzian, którzy tuż przed końcem świata mężnie się uśmiechali. Pewien chłop, w wieku już statecznym, podszedł do mnie w zwątpieniu:

– Albo to i, towarzyszu, prawda – Bóg gdzieś tam był, a teraz zjawiał się, kiedy niepotrzebny.

Nie zniechęcałem go słowami, ponieważ Bóg Ojciec prawie że faktycznie był. Tu boże światło znowu przygasło. Pop podniósł oczy.

– A gdzież światłość Pańska, co to widziałem ją chwilowo?

– Już – odpowiedział Bóg, ale światło wokół jego głowy nie pojawiała się.

– Daj, ja zapalę! – zaproponował Grigorij. – Bo zaczniesz się guzdrać i stracisz posadę.

Zadarł Bogu sukmanę jak sukienkę, pogmerał mu na piersiach i światło zajaśniało.

– Poluzowały ci się zaciski na baterii – cicho poinformował Grigorij Boga.

– Wiem! – zgodliwie odrzekł Bóg. – Potrzebne by były śrubki i nakrętki, ale bo to znajdziesz je gdzie w stepie?

Po nawiedzeniu świątyni powieźliśmy Boga do chaty-czytelni. Tak postanowił Grigorij, a Bóg na to przystał. Grigorij miał pewien pomysł: w owej zamożnej slobodzie prawie nikt nie wierzył w radio, bo uważano je za gramofon – Grigorij wiozł Boga, by przeprowadzić techniczny dowód. W chacie-czytelni zebrało się narodu mnóstwo, tym bardziej że miał przybyć Bóg.

Tymczasem w głośniku osłabł akumulator, o czym też wiedział Grigorij, Bogu zaś wisiąca u piersi cała świeża bateria. Grigorij ustawił Boga w pobliżu głośnika i podłączył go przewodami do aparatu. Radio, uzyskawszy wzmocnione zasilanie, zadudniło wyrazistym basem, ale za to światło wokół głowy Boga przygasło.

– Czy wierzycie teraz w radio? – zapytał Grigorij zebranie w czasie przerwy, jaką miała orkiestra w Moskwie.

– Wierzymy – odpowiedziało zebranie. – Wierzymy w Pana naszego i w głośną maszynę.

– A w co nie wierzycie? – badał Grigorij.
– Nie wierzymy teraz w gramofon – oświadczyło zebranie.
– Masz ci los! – zirytował się Grigorij. – A jeśli zrobimy wam gramofon, to wtedy uwierzycie?

– Posłuchamy. Słuchać będziemy, a z wiarą poczekamy.

– A jeśli pozbawię was za chwilę Boga?

Zebranie i na to niespecjalnie się zdziwiło.

– No i co – odpowiedział za wszystkich ubogi chłop Jewziej, czytelnik centralnych gazet. – Zamiast jednego Boga będzie nam się przypodchlebiało dziesięciu bezbożników. Czym, Grisza, mniej wierzysz, tym więcej masz poszanowania i korzyści.

O północy nadeszła pora, by się rozejść. Tu wyszła bieda: nikt nie brał Boga do swej chaty na kolację i nocleg. Słobodzianie żądali, aby rada wiejska naznaczyła kolejność obejść utrzymujących Boga, bo w sposób nie zorganizowany mieć go nife chcieli.

– Wziąłbyś go choćby i ty, Stiepanie – zwrócił się Jewziej do sąsiada. – Chałupę masz nową, pustą, jakoś tam się utrząsiecie.

– Coś ty? – obruszył się Stiepan. – Ja już trzeci dzień wożę na szarwark belki na most.

Bogu zachciało się już jeść, a poza tym zziębł od świeżej nocy, która przesączała się przez okna chaty-czytelni.

Wreszcie ulitował się nad nim komsomolec, który przyjechał po nas na chutor, i zaprosił staruszka do swego domu, gdzie bytowała samotnie jego biedna matka.

Grigorij rozeźlił się na taką religię i jako staruszka powiódł Boga na chutor. Tam Bóg podjadł sobie, odespał się, rankiem zaś został, by pracować jako pomocnik kowala. Okazał się on sezonowym palaczem astrachańskiej elektrowni, który wyruszył w drogę pod postacią Boga Ojca, aby głosić święte życie i aby znaleźć dla siebie zaszczytne szczęście w kołchozie.

– Jak jeszcze raz cię złapię, to przyłożę – przyobiecał mu Grigorij. – Żyj tutaj i pracuj z pożytkiem. Głoś chwałę młotkiem, a nie mową.

Zadowolony Bóg został: mimo wszystko żyła w nim dusza palacza i proletariusza, żyła i myślała; kułak albo inny burżuj nie potrafiłby zostać Bogiem – nieuk jeden z drugim nie zna elektrotechniki.

Z tymi technicznymi uzdolnieniami, jakie miał Grigorij Michajłowicz Skrynko, siedzenie na chutorze i strzelanie z rur drewnianymi korkami było bez sensu i ze stratą dla państwa. Rankiem powiedziałem o tym Grigorijowi. Wysłuchał i pokazał mi papiery z obwodu, na mocy których mianowano go dyrektorem ośrodka maszynowo-tractorowego z sześćdziesięcioma ciężkimi traktorami; na podstawową bazę owego ośrodka wyznaczano tenże mechaniczny chutor, gdzie działał teraz Grigorij. Maszyny i wyposażenie dla OMT miały przybyć w ciągu jednego, dwóch tygodni.

Było to wspaniałe. Lepszego wodza i przyjaciela maszyn niż Grigorij Michajłowicz nie sposób byłoby w tej okolicy znaleźć. Prócz tego tylko w razie nagłej śmierci Grigorija Michajłowicza plan zasiewów OMT mógłby nie zostać wykonany, za jego życia natomiast ów plan niechybnie zostanie przekroczony o sto procent, bowiem jego traktory nie zatrzymają się nigdy, a on zmusi maszynę do pracy nawet na jednym cylindrze, byle tylko zaoszczędzić wiosenną minutę.

– A ja nie jestem zadowolony – powiedział mi w rozmowie, która nastąpiła, Grigorij Skrynko. – Wezmę i przeprowadzę tutaj generalną linię, pokażę całemu średniactwu, czym jest kołchoz w naturze, co znaczy wiosna przy kierownicy traktom, a potem wyjadę się uczyć – więcej tego nie ścierpię!

– Czego to nie możecie ścierpieć?

– Zacołania. Na co nam potrzebne traktory po jakieś dwanaście, dwadzieścia albo sześćdziesiąt koni. To kapitalistyczne słabosilne marki! Nam nada się maszyna o dwustu koniach, żeby poruszała się na sześciu szerokich kołach i żeby nie bzykał w niej wiatraczek,

ale żeby głęboko dyszał diesel albo gazogenerator. Oto, co znaczy radziecki traktor, a nie tam jakiś prymusik Forda!

– Pewnie to i racja. Ale jak to osiągnąć?

– Sam zostanę profesorem od napędu, to i osiągnę.

Bez wątpienia tak też się i stanie, że po trzech, czterech albo pięciu latach zaczną znikać u nas fordowskie drapałki, a pojawią się potężne dwustukonne ciągniki konstrukcji profesora G.M. Skrynki.

– Co będzie dalej na mojej drodze? – zapytałem Grigorija.

– Kołchoz „Bez kułaka” – powiedział Grigorij. – Przewodniczącym jest tam mój przyrodni brat, Sieńka Kuczum, powiedz mu, że byłeś u mnie. A jeszcze dalej będziesz miał Drugie Radosne, tam leż mnie znają, to pokłoń się tam komu, jak ci się nawinie!

Skierowałem się do owego wskazanego mi kołchozu, ale z racji nocnych ciemności nie dotarłem do miejsca przeznaczenia i zjawiłem się tam rankiem nowego dnia.

Przy wejściu do kołchozu wisiała tablica z nazwą owego pospólnego gospodarstwa wiejskiego, a pod nią plan robót na bieżący rok, wypisany na blasze, i klasowy skład kołchozu:

„48 biedniaków, u parobków, 73 średniaków, 2 nauczyciele, 1 dodatkowa kobieta z dziećmi sierotami”.

Kołchoz „Bez kułaka” istnieje od sierpnia 1929 roku, przy czym w 1928 roku, za gospodarki indywidualnej, obecni uczestnicy kołchozu obsiali zbożami ozimymi wszystkiego 182 hektary, kołchoz zaś obsiał oziminami 232 hektary, co się zaś tyczy jarych, to kołchoz zaplanował półtorakrotnie zwiększyć obszar zasiewów w porównaniu do tego, co siali jego obecni członkowie, będąc gospodarzami indywidualnymi. Kosztem jakiej konkretnej siły doszło do zwiększenia produktywności połączonych gospodarstw biedniacko-średniackich?

Nie wiedząc o tym, poszedłem do Siemiona Kuczuma, by się rozpytać. Siemion, z nazwiska Kuczum, zdumiał mnie posępną oblicza i ostrym głosem, dobywającym się z głębin jego nieustannie bolejącego serca.

– Nie mogę ci odpowiedzieć – rzekł do mnie – dlatego że dla nas nie ma takiego pytania, dla nas jest to zrozumiałe bez jakiegokolwiek rozumu.

– Macie na pewno traktory albo pracował u was OMT?

– Nie ma jeszcze ani traktora, ani OMT.

– To co takiego jest?

– To, czego nie ma w tobie: w nas nie ma pytań.

– Ale skąd chłopci zaczęli więcej siał?

– A po co oni organizowali kołchoz – dla burzanu czy jak?

– Omijasz moje pytanie, a ja przecież pytam po dobremu.

– Nie omijam – oświadczył Kuczum. – Według ciebie, cała nasza sprawa powinna pójść tak: zebrali się ludzie w gromadę z jednym planem i pragnieniem, zaczęli pracować i nagle nic im nie wyszło. A to byłoby dziwne i tak być nie może! Tak myśli szaleniec albo nienawistnik.

– I ja tak czasami myślę.

– Jasne: nie ma w tobie kołchozowego poczucia i klasowej potrzeby, nie wszyscy nadążają za rewolucją. Kto ma poczucie czy choćby naszą klasowość, ten ma i rozum, a bez poczucia – zostają same pytania i złość.

Zmarkotniałem. Była to z grubsza prawda. Zostałem w kołchozie na kilka dni, nie w pełni jednak dowierając Siemionowi Kuczumowi. Kuczum więcej już ani razu ze mną nie rozmawiał, dlatego że w ogóle nie wypowiadał słów bez potrzeby, jakkolwiek w swym jakimś równomiernym rzeczowym znękanu był człowiekiem uprzejmym i spokojnym. Dalej przytomny byłem tylko jako świadek niektórych wydarzeń.

W owej wsi około jednej czwartej mieszkańców było w kołchozie. Pozostali chłopci zaś

przez cały czas dręczyli się w duchu: wstępować, czy też odczekać. Kuczum pracował niedostrzegalnie, nigdy więcej takiego kołchozowego organizatora nie widziałem.

Pewnego razu przystępuje do niego czterech biedniaków – wszyscy z tym samym oświadczeniem: bierz ich i przyjmuj do kołchozu. Biedniacy owi byli powszechnie znani, ale w sensie wartości nie byli to ludzie nazbyt pilni, jako że już dawno zwątpili w odnalezienie drogi do polepszenia swego życia. Zapewne owa ich niepilność rozdrażniła Kuczuma, ponieważ droga do życia dla biedoty była już otwarta.

– Jeszcze czego! – z szorstką niechęcią powiedział im Kuczum. – Co wy, zbiesiliście się czy jak? Myślicie, że w kołchozie będzie wam lekko?

– A no, może i lżej, Siemionie Jefimyczu – odpowiedzieli biedniacy.

– Ludzie wam nabujali – ponuro wyjaśnił Kuczum. – W kołchozie tymczasem robota, troska, obowiązki, dyscyplina – gdzie się pchacie?

– To co nam robić, Siemionie Jefimyczu?

– A siedźcie w swoich obejściach, jak chce się wam zaznać biedy!

Biedniacy w zadumie opuszczali Kuczuma; niektórzy zaś uważali po cichu, że Kuczum to utajony poplecznik kułaków.

Średniacy przychodzili zazwyczaj zapisywać się do kołchozu pojedynczo. Wręcali papier w milczeniu i ze zmarszczką na czole, która wżarła się w ich głowy jeszcze zimą.

– Zapisuj i mnie, Siemionie Jefimyczu, nie jestem człowiekiem z kamienia.

– A jaki jesteś? – dopytywał się Kuczum.

– Wpływowy. Widzę przecież wasze okoliczności, a u siebie nie widzę niczego – żyję nieruchomo, jakby jakiś odwieczny!

– Uszarpać ci się u nas zachciało – ze znużeniem i niedowierzaniem stawia sprawę Kuczum. – Chcesz dorobić się drugiej zmarszczki na czole?

– A choćby i tak, Siemionie Jefimyczu!

– Choćby i tak? Nie, idź już sobie z powrotem, męczenników nie potrzebujemy. Pomęcz się lepiej na swoim, a jak się odmęczysz, to przyjdiesz.

Uznałem, że Kuczum celowo nie przyjmował gospodarzy indywidualnych, żeby w odizolowany sposób podnieść kołchoz do poziomu dobrobytu. Jednakże większość indywidualnych chłopów odbierała to inaczej, bo darzyli Kuczuma głębokim szacunkiem.

– Z początku też myśleliśmy, że pijany albo przygłupi, ale potem przekonaliśmy się, że jest prawdziwy – wyjaśnił mi wielokrotnie nie przyjęty do kołchozu biedniak Astapow.

Okazuje się, że i w zeszłym roku Kuczum tworzył kołchoz też wyjątkowo niechętnie, z odkładaniem i przeciąganiem, strasznie wzmagając ową słabizną uczucia biedoty, która już postanowiła iść do kołchozu. Tymi niepojętymi działaniami Kuczum wywołał nie tyle przyływ biedoty do kołchozu, ile cały zalew, ścisk pod swoimi drzwiami, potrafił bowiem wytworzyć jakąś wyższą zagadkowość kołchozu i dać masom poczucie, że niewarte są być jego członkami. Ale jednocześnie Kuczum nie kręcił, nie udawał polityka. Nigdy nie obiecywał z góry niczego dobrego, nie składał żadnych zobowiązań i zaręczeń o świetlanym życiu i pierwszy spośród wszystkich znanych mi kołchozowych aktywistów miał odwagę powiedzieć ponuro kołchoźnikom, że na początku czeka ich utrapienie niesnasek, niezręczności, nieporządków i nędzy; przy czym nędza owa będzie jeszcze bardziej gorzka, niż to bywa w indywidualnym obejściu, a pokonać ją też będzie trudniej niż pojedynczemu gospodarzowi, ale za to, kiedy kołchoz okrzepnie, nędza stanie się czymś niemożliwym i bezpowrotnym. Myśli tej Kuczum wszakże nie wypowiadał, lecz jedynie hołubił ją w skrytości – mówił zaś co innego.

– Ale może potem będzie nam dobrze? – nieśmiało pytali go pierwsi kołchoźnicy.

– Nie wiem – szczerze odpowiadał Kuczum – to zależy od was, a nie ode mnie. Będę wam pomagał, kułaka do kołchozu nie przepuszczę, ale wyżywić się i dobijać lepszego powinniście sami. Nie myślcie tylko, że władzy radzieckiej niezbędny jest wasz kołchoz –

władza radziecka żyła i bez chleba – kołchoz potrzebny jest wam, a nie jej.

– Czy aby tak?! – trwożyli się pierwsi kołchoźnicy. – A my słyszeliśmy, że kołchoz jest władzy radzieckiej na rękę!

– No i co, że na rękę! Władza radziecka duszę ma biedniacką, a z tego wynika, że co dla was dobre, to i jej spor.

I tak ledwie-ledwie, pod naporem nędzarzy został założony kołchoz „Bez kułaka”.

I rzeczywiście, Siemion Kuczum nikogo nie oszukał – ciężko przyszło kołchoźnikom w pierwszym niejasnym okresie organizacyjności. A Siemion chodził wśród nich w tych dniach zamętu i mówił:

– No, kogo wypisywać? – Ale nikt nie zapragnął się wypisać.

Tylko o wiele później, już zimą, pewien człowiek, przechwalający się tym, że jest oficjalnym parobkiem, wypisał się z kołchozu.

– Nie mogę – powiedział – żarcie dają bez gęstego, pracuj od snu do snu, o wszystkim nakazują pamiętać, już lepiej będę żył parobczańską wolnością.

– Wal – odpowiedział mu Kuczum. – Kułak przecież nie samych bolszewików z naszych robił, ale jeszcze i wiecznych niewolników, takich jak ty. Zjeżdżaj do wszystkich diabłów!

Po jesiennym siewie Kuczum przyjął wszakże do kołchozu obejść, zdaje się, dziesięć, i to po poważnych rozmowach. Napisałem „przyjął”, ale nie znaczy to, że Kuczum zdecydował o wszystkich sprawach kołchozu w pojedynkę, przeciwnie, zrzekał się wszystkiego oprócz zwyczajnej roboty w rodzaju orania. Jednak sami kołchoźnicy odnosili się do Kuczuma tak, że niczego nie dokonywali bez jego słowa. Jeśli zaś milczał, wówczas kolektywiści wyczuwali jego nastrój i wedle nastroju podejmowali swoje postanowienia. Po sortowaniu ziarna i przygotowaniach do siewu Kuczum przyjął jeszcze pięć obejść. Takimi sposobami przyjmowania Kuczum tak nastawił całą indywidualną część wsi, że większość gospodarzy już napierała na bramę kołchozu. Ale Kuczum nie dokonywał przyjęć bez wzorcowych faktów kołchozowych, bez osiągnięcia takich przykładów robót, które służą jako jasny i prosty dowód wygody gospodarstwa uspołecznionego. Dlatego właśnie dziesięć obejść przyjął dopiero po jesiennym siewie, przeprowadzonym, jak mówią, tak, że gospodarze indywidualni stali po bokach kołchozowego pola i płakali, zupełnie jakby ujrzeli coś wzruszającego.

Po przygotowaniach do siewu także odbyło się przyjmowanie nowych członków; należy sądzić, że i po wiosnie Kuczum odpuści i pozwoli wejść biedniakom i średniakom. Zasada Kuczuma była najwyraźniej taka: im bardziej kołchoz potwierdza sam siebie (potwierdza faktycznie – namacalnie dla miejscowych), tym bardziej jest uzupełniany nowymi członkami. Kuczum nie pozwalał ludziom oszukiwać się.

Taka polityka pozbawiała w istocie biedotę i najlepszą część średniaków możliwości wykazania się aktywnością. Taka polityka, przypominająca nieco bezwolny żywioł, mogła rozbroić rewolucyjne siły wsi i później rejon poważnie i ostro wytknął Kuczumowi, że choć on sam, Kuczum, jest człowiekiem miłym i heroicznym, to jego polityka jest prawie że kułacka, a Kuczum, obraziwszy się, mimo wszystko zgodził się z rejonem, bowiem rozumu i dyscypliny było w nim więcej niż gospodarskiego egoizmu.

W tym czasie jednak dziwnie mi było widzieć i słyszeć, jak gospodarze indywidualni, nie przyjęci jeszcze do kołchozu, kochali ów kołchoz i troszczyli się o niego. Pewien średni rolnik, o ulicznym przezwisku Pups, chciał, na przykład, zorganizować grupę kołchozowych kandydatów, ażeby zapewnić sobie dostanie się do kołchozu w pierwszej kolejności, ale Kuczum zakazał tego mętnego przedsięwzięcia i pozwolił Pupsowi utworzyć tylko stowarzyszenie społecznej uprawy roli. Pups takie stowarzyszenie założył, ale pozostawał jednak bardzo obrażony na Kuczuma i podpiwszy sobie, chodził po wsi z piosenką:

Ech, w kołchozie żyć swobodnie,

*Żyć swobodnie, żyć pogodnie.
Golniesz raz i drugi kwasku
I przechadzasz się po lasku.*

Doszedłszy do zarządu kołchozu, Pups długo żądał, żeby wyszedł do niego Kuczum – chciał jeszcze raz popatrzeć na wielkiego człowieka.

W różnych elementach bytu i rolniczej rutyny gospodarzy indywidualnych przejawiał się wpływ kołchozu. Każdy pojedynczy gospodarz próbował krzątać się po swoim obejściu zgodnie z kołchozowymi dzwonekami, które rozlegały się na całą wieś. Było mu teraz nijako leżeć w domu na ławie, kiedy wiedział, że w kołchozie pracują. Szczególnie zaś dostawało się żeńskiej części indywidualnych. Napatrzwszy się na porządki w kołchozie, chłopci chodzili teraz po swoich domowych pieleszach z pogardą:

– Mariusza! Ej, Mariusz! – hamując się, zwracał się mąż do żony, która doła krowę. – Przywiązałaś ogonową końcówkę do krowiej nóżki: czego cię stworzenie ogonem po mordzie tłucze! Poszłaś choć raz na kołchozowe podwórza i popatrzyła, jak tam członki doją!

Inny gospodarz przez całą noc spał z otwartym oknem izby, bo w kołchozie ludzie spali z powietrzną cyrkulacją. Trzeci człowiek prenumerował na siebie dwie gazety naraz, ponieważ w kołchozie wypadało po gazecie na każdą dorosłą duszę.

I zauważyłem jeszcze, że kołchozowe dziewczęta wśród młodzieży indywidualnych obejść były najmodniejszymi pannami. Wydawały się im one bardziej apetyczne, uświadomione i znacznie wytworniejsze, istne socjalistyczne paryżanki pośród feudalizmu.

Dziewczyny indywidualnych, patrząc na kołchożnice, jednomyślnie zarzucały bielenie się, przestając trzeć się policzkami o białe ściany, bowiem ani jedna kołchożnica nie upiększała twarzy malowaniem.

Taka to była wielka tęsknota gospodarzy indywidualnych za kołchozem, założonym przez Kuczuma bez większego entuzjazmu. Mało tego – obserwowałem ludzi, którzy przybywali z okolicznych wsi, mając najwyraźniej nadzieję, że będą mogli sprzęgnąć się swoją wsią z kołchozem Kuczuma.

– Szukajcie sobie strapienia, jeśli wam życie niemile – oznajmiał Kuczum takim gościom – ale skarżyć się potem do mnie nie przychodźcie.

– Patrzajcie go! – obruszali się przybysze. – Wychodzi na to, że u ciebie i kołchoz, i całe światło życia, a nam co? – siedzieć pod własnym płotem i żuć razowiec z solą?

– Przecież mówię wam, żebyście się organizowali, jak biedy się nie boicie!

– Alboż to u was w kołchozie jest jaka bieda?

Biedy w kołchozie pewnie nie było, ale i spokojnego życia także nikt nie znalazł. A mimo to indywidualni wierzyli, że w kołchozie z każdym dniem przybywa po jednej kropli lepszego życia, u nich zaś tego płynu jest po brzegi, na jednym poziomie.

Kuczum wyliczył, że o związku z okolicznymi kołchozami będzie mówił, kiedy już będzie potrzeba takiego związku, na przykład po pojawieniu się OMT, przy zagospodarowywaniu ziemi, przy organizacji walki z nieświadomymi szkodnikami i w innych dużych gospodarczych okazjach.

Bardzo mnie interesowało, jak ten mroczny wódz biedniackiego ruchu do chleba i światła potrafił zorganizować pracę w kołchozie i rozdzielać produkty.

W tej kwestii okazał się skąpym rycerzem. Cały skład kołchozu rozbił na dwie części: ludzie do lat dwudziestu (chłopaki i dziewczyny) i ludzie powyżej lat dwudziestu.

Młode pokolenie (do dwudziestu lat) dzieli się przy tym jeszcze na szereg grup: niemowlęta, dzieci, podrostki, młodzież pracująca od piętnastu do dwudziestu lat. Dla całej owej młodzieżowej części kołchozu zaopatrzenie ustalono jak w komunie, bez jakiegokolwiek różnicy i poprawki na społeczną przydatność do pracy (brano pod uwagę jedynie różnice

wiekowe: na przykład, niemowlę i już pracujący siedemnastoletni młodzieniec itp.). Wynagrodzenie w naturze i pieniężne członków powyżej dwudziestu lat ustalane było na podstawie pracy akordowej. W gospodarczym planie kołchozu zapisano i zatwierdzono rzecz następującą: „Cały dochód kołchozu »Bez kułaka«, po odliczeniu od niego amortyzacji, podatku, wydatków na bydło, ubezpieczenia i in., dzieli się przez liczbę głów do wyżywienia; głowy do wyżywienia do dwudziestu lat otrzymują swoją część dochodu w całości, starsze zaś tylko połowę swej części i z wyliczenia owej połowy dochodu na głowę ustala się stawkę akordową dla każdego członka powyżej lat dwudziestu. Drugą połowę dochodu na głowę starszego członka za zeszyły rok obrachunkowy dzieli się tak: jedna czwarta idzie na poprawę wyżywienia i ubranie młodego pokolenia, to jest do dwudziestu lat, dwie czwarte na gospodarczy rozwój kolektywu i ostatnia jedna czwarta na nienaruszalny fundusz zapasowy, a także na wspomoczenie industrializacji państwa”.

Jasne, że Kuczum wiązał ze świeżym pokoleniem wielkie nadzieje i wprzągnął wszystkich dorosłych, już zepsutych byłym imperializmem ludzi do pracy na tę żywą przyszłość.

Kuczum wiedział, że obecna młodzież żyć będzie już w komunie i nie będzie potrzebowała systemu akordowego. Zresztą, młodzież i teraz nie potrzebowała akordu: dowiedziałem się, że kołchoźnicy w wieku od piętnastu do dwudziestu lat pracowali z krańcowym wyczerpaniem sił i nie wykazywali potrzeby jakiegokolwiek przypilającego przymusu – potrzebna im była tylko nauka. Ów obraz gorliwości młodzieży w pracy stał się powszechny w naszym kraju, ponieważ radziecka młodość nie zna powodów dla unikania wysiłku, może tylko kiedy się przemęczy albo zakocha.

Plany pracy układane były w tym kołchozie na każde dziesięć dni. Zgodnie z takim ogólnym dekadowym planem, każdemu członkowi kołchozu wydawano osobisty plan-talon, w którym określano zakres robót, ilość godzin na ich wykonanie i stawkę. Takie indywidualne plany-talony określały obowiązki każdego członka w ciągu jednego, dwóch, czasami nawet trzech dni.

Cały planujący i operacyjny personel kołchozu składał się z Kuczuma i jego pomocnika, dawnego parobka Siłajłowa; ale także i ci dwaj dostawali osobiste plany-talony na zwykłą robotę, ogólną planową i kierowniczą działalnością zajmowali się zaś wieczorami albo wczesnym rankiem.

Z nowych instytucji w kołchozie były przedszkole i żłobek oraz Dom Kolektywisty, pracujący pod opieką dwóch nauczycieli-kołchoźników, przy czym owi nauczyciele zwolnieni byli od wszelkich rolniczych robót i wynagradzani byli tak, jakby mieli mniej niż dwadzieścia lat. Ta ostatnia okoliczność ujawniała głęboki przezorny takt Kuczuma; w pozostałych sprawach był on jednak sknerą i bezlitosnym gospodarzem. Te jego właściwości odbijały się i na planach kołchozu, i na wyglądzie zewnętrznym kołchoźników – ubierali się oni źle, wyglądali kiepsko, byli przepracowani.

Za to młoda część kołchozu była zupełnie inna – nie tylko urodna i syta z wyglądu, ale i całkiem przyzwoicie ubrana: nie darmo kołchozowe panny były paryżankami dla wszystkich dziewczyn z gospodarstw indywidualnych. W tym kierunku Kuczum już niczego nie żałował i osobiście jeździł do miasta kupować dla młodzieży materiały tekstylne, biorąc dla konsultacji chłopaka i dziewczynę.

W czasie mojej bytności w kołchozie Kuczum dokonał pewnego szczególnie trafnego posunięcia: w imieniu kołchozu wezwał do współzawodnictwa wszystkich miejscowych gospodarzy indywidualnych, którzy pragnęli zostać kołchoźnikami. Przedmiotem współzawodnictwa były wszystkie normalne wskaźniki wiosennego siewu: ziarno siewne, obszar zasiewu na człowiekokonia, termin itd. Nagrodą współzawodnictwa była zaś rzecz następująca: jeśli indywidualni wygrają z kołchozem lub choćby będą bliscy zrównania się z nim, to wszystkich współzawodniczących gospodarzy Kuczum przyjmie do kołchozu; jeśli przegrają, niech z przyjęciem poczekają do jesieni.

Indywidualni przyjęli wyzwanie Kuczuma.

– My mu, cholera, pokażemy, cośmy za jedni! – zawzinając się przed niesamowitym wysiłkiem, mówili niektórzy gospodarze.

– Spróbujemy. Może jakoś poradzimy.

– Z nim spróbujesz! Tylko patrzeć, jak on i spać przestanie.

– To by było jeszcze nic. Gorsze to, że niedługo wszyscy zatańczą, jak im zagra.

– Na wygląd to on ospały, a jak ci pocnie się biesić, to ledwie grunt go nosi!

– Ale przecie i nas zrobili z kościanego materiału!

– Zadręczył ci nas. Gdyby był babą, tobyśmy myśleli, że umie zamawiać, ale że jest chłopem, to nie do wyrozumienia. Mówią, że przy nim nawet dzieci w żłobku nie płaczą.

– To co robią?

– Kto je tam wie! Pewnie zaczynają się uświadamiać.

– A to ci nam Pan krzyż zesłał! Nie odczepisz się od niego, tak jak i od baby.

– Aż dziwno! – prawie że naukowo wyraził się jakiś indywidualny chłopina.

Nie wiem, czym zakończyło się to wyjątkowe współzawodnictwo. Jeśli nawet kołchoz nie wygrał, co z Kuczumem nie do pomyślenia, to wygrało państwo, bowiem w tej wsi obsiano z pewnością nie tylko wszystkie pustacie, ale nawet i zbocza parowów, bowiem zaciekłość chłopów była wielka, a kuczumowców też nie mała, jakkolwiek inna co do jakości.

Zastanówmy się teraz nad tym, czy praca Kuczuma jest prawidłowa we wszystkich elementach, czy nie ma w jego pracy skrytego nastawienia na żywiołowość, na tego wroga biedoty i średniego chłopstwa. Kołchozy, rzecz jasna, są przeznaczeniem światowego pracującego chłopstwa, lecz jeśli awangarda tegoż chłopstwa i proletariatu nie rozbudzi świadomości w masach, nie wytworzy ciężenia ku kołchozom, to owo przeznaczenie opóźni się, a spowolniony ruch zawsze brzemienny jest ryzykiem upadku.

Tak, w pracy Kuczuma jest i było nieświadome nastawienie na wyczekiwanie, na politykę wciśniętych hamulców, ale uważam, że napierająca biedota odbierze wkrótce Kuczumowi owo nastawienie, a wówczas, utraciwszy swą wstrzemięźliwość, nabierze on w pełni cech wodza.

W dniu mego odejścia z kołchozu zobaczyłem wreszcie, jak smętnie obojętnego Kuczuma ogarnęła na krótko wściekłość. Zjawił się u niego zdjęty ze stanowiska przewodniczący kołchozowego zjednoczenia, znajdującego się o jakieś dwadzieścia kilometrów stąd. Kuczuma znał dobrze i był niemalże jego przyjacielem, co widać było po szczerym powitaniu i lekkiej radości na obydwu twarzach. Przybyły zjednoczeniowy przewodniczący zaczął skarżyć się na nieprawidłowości: przepędzono go za przegięcia, za to, że rozkułaczył jakoby czterdziestu średniaków i zamknął cerkiew bez liberalnego podejścia do mas; ale przecie ci średniacy jutro mogli stać się kułakami i on tylko położył kres ich rosnącej tendencji. A co się tyczy cerkwi, to naród, sam sobie tego nie uświadamiając, już dawno utracił nadzieję na istnienie Boga, on zaś tylko zafiksował ów fakt, zakazując religii – za cóż więc, powstaje pytanie, zlikwidowano go jako przewodniczącego?

Tutaj były przewodniczący wyraził następująco swój pogląd: psu odcina się ogon, by nabrał rozumu, bo na drugim końcu ogona znajduje się głowa. Wyraźnie dawał tym do zrozumienia, że niby rejonowy komitet wykonawczy to głowa, on zaś jest ogonem, zupełnie jakby rzeczywiście komitet nakazywał mu w ciągu tygodnia zaprowadzić komunizm. Nawet ja byłem głęboko zasmucony, gdy słuchałem tak wyraźnie łajdackiego wystąpienia.

Im bardziej Kuczum wsłuchiwał się w słowa swego przyjaciela, tym wyraźniej szarzała jego twarz. Potem zrobił się pąsowy, jego obojętne oczy rozblęły chwilową energią i lekko się uniosły, w milczeniu wymierzył gwałtowny, chrzęszczący cios w pierś siedzącego naprzeciwko przyjaciela. Przyjaciel zwałił się bez tchu na wznak.

Kuczum nie był jednak jeszcze usatysfakcjonowany. Wstał zza stołu, podniósł zwałonego za kurtkę i zadał mu nowy, druzgoczący cios w skroń – tak że były przewodniczący wybił

głową okienną ramę i wypadł z pomieszczenia na ulicę osypany szklanym drobiazgiem. Po tym akcie Kuczum przybrał ponownie smętny wyraz twarzy, ja zaś odczułem znaczenie partii dla serca owych posepnych, niepokonanych ludzi, którzy latami potrafili tłamsić w sobie niewyraźną miłość i ujawnić ją dopiero w wyczerpującym, szczęśliwym trudzie socjalizmu.

– Do widzenia! – powiedziałem Kuczumowi.

– Żegnaj – odrzekł miękko i po koleżeńsku, wiedząc, że gdziekolwiek bym się znalazł, wszędzie tak czy owak pozostanę w obrębie budowy socjalizmu i jakiś tam pożytek ze mnie będzie.

Najadłszy się w kołchozie mięsa, wyruszyłem z pospólnego gospodarstwa prostą drogą i po około sześciu godzinach doszedłem do dużej osady pod nazwą Guszczowka. Zatrzymałem się w skrajnej chacie na nocleg i długo leżałem na ławie bez snu, aż o północy przyszedł nocować w tym miejscu towarzysz Upojew, przywódca rejonu całkowitej kolektywizacji, który nie posiadał miejsca stałego pobytu.

Do rana poznałem gruntownie towarzysza Upojewa i dowiedziałem się o heroicznym, nieprzepartym życiu tego prostego człowieka.

Dawniej byle jaka kułacka siła nieustannie wmawiała biedniakowi Upojewowi: „Tyś zacofany, tyś człowiek zbędny na tym świecie, ty jesteś psychiczny, na bolszewika się nie nadajesz – bolszewicy to ludzie obrotni”.

Ale Upojew nie wierzył ani kułakowi, ani wydarzeniu – był niepohamowany w swojej aktywności i codziennie zużywał swe ciało dla rewolucji.

Rodzina Upojewa wymarła stopniowo z głodu i z niedbałego stosunku do niej samego Upojewa, który wszystkie swoje siły i pragnienia skupiał na trosce o biedujące masy. I kiedy mu powiedziano: „Upojew, popatrz na swoje obojętne, ulituj się nad swoją żoną – ona też była kiedyś szykowną średniaczką”, to Upojew obrócił się do mówiących swym myśląco-aktywnym obliczem i odpowiedział im w stylu ewangelicznym, bo marksistowskiego jeszcze nie znał, wskazując na cały ubogi otaczający go świat: „Oto moje żony, ojcowie, dzieci i matki – nie ma nikogo prócz nieposiadających mas! Odstąpcie ode mnie, kułaccy egoiści, nie powstrzymujcie biegu rewolucyjności! Naprzód – do socjalizmu!”

I wszyscy opływający w dostatki, obserwując energiczne szaleństwo Upojewa, milczeli wokół tego półnagiego, ledwie żywego od swej żrącej idei człowieka.

Nocami zaś Upojew leżał gdzieś w trawie, obok postronnego biedniaka, i płakał, zraszając łzami cierpliwą ziemię: płakał dlatego, że nigdzie jeszcze nie ma pełnego, heroicznego socjalizmu, kiedy każdy nieszczęśliwy i uciśniony ocknie się na wyżynach całego świata. Pewnego razu o północy Upojew ujrzał we śnie Lenina i jak stał, nie oglądając się na nic, pomaszerował do Moskwy.

W Moskwie pojawił się na Kremlu i zastukał dłonią do jakichś drzwi. Otworzył mu czerwonoarmista i zapytał: „Co tam?”

– Lenina pożądam – odpowiedział Upojew – politykę swoją chcę wyłożyć.

Po jakimś czasie dopuszczono Upojewa do Włodzimierza Iljicza.

Malutki człowieczek siedział przy stole, wysunąwszy naprzód dużą głowę, która była śmiertcioną kulą dla burżuazji.

– I co, towarzyszu? – zapytał Lenin. – Mówcie do mnie, jak umiecie, a ja będę was słuchał i robił co innego – ja tak potrafię.

Ujrawszy Lenina, Upojew zazgrzytał zębami z radości i nie pohamowawszy się, trysnął łzami. Gotów był rozetrzeć się w żarnach, byle tylko ów niewielki człowiek, roztrzaskający dwie myśli naraz, siedział przy swoim stole i kreślił na papierze dla wieczności, dla wszystkich zgębnionych i ginących swoje posłanie.

– Włodzimierzu Iljiczu, towarzyszu Leninie – zwrócił się Upojew, starając się być nie ołowianym, tylko męskim i żelaznym. – Zezwól mi zaprowadzić komunizm w moich okolicach! A toż dostatnia gadzina znowuż chce rozrabiać, a na drogach od nowa pojawili się

ludzie, którzy nie to, że majątku, ale i paczporta nie mają! Zezwól mi oprzeć się na pieszych żebraczych masach!...

Lenin podniósł swoje oblicze na Upojewa i tu między dwojgiem ludzi doszło do porozumienia, które na zawsze pozostanie klasową tajemnicą, jako że Upojew dopowiadał tylko do tego miejsca, a dalej płakał i jęczał z bólu po zmarłym.

– Jedź na wieś – rzekł Włodzimierz Iljicz na pożegnanie – my cię zaopatrzymy: dostaniesz ubranie i jedzenie na drogę, a ty skupiaj biedotę i pisz do mnie listy, jak ci tam wychodzi.

– Dobrze, Włodzimierzu Iljiczu, po tygodniu wszyscy biedniacy i średniacy będą czcić ciebie i komunizm!

– Żyj sobie, towarzyszu – raz jeszcze powtórzył Lenin. – Będziemy zużywać swoje życie dla szczęścia pracujących i ginących: przecież całe dziesiątki i setki milionów umarły niepotrzebnie!

Upojew ujął rękę Włodzimierza Iljicza, ręka była gorąca, a ciężar pracowitego żywota zółcił się na zadumany obliczu Lenina.

– Tylko pilnuj się, Włodzimierzu Iljiczu – powiedział Upojew – nie umrzyj przypadkiem. Tobie będzie wszystko jedno, ale co z nami.

Lenin zaśmiał się i owo radosne ciśnienie życia starło z jego twarzy wszystkie śmiertelne piętna myśli i znużenia.

– Ty, Włodzimierzu Iljiczu, przede wszystkim nie zapomnij zostawić nam kogoś na swoje podobieństwo – na wszelki wypadek.

Po powrocie na wieś Upojew zaczął działać z większym opanowaniem. Kiedy zaś zaczynały szaleć w nim nadmiernie rewolucyjne uczucia, Upojew walił się po brzuchu i krzyczał:

– Przepadnij, żywiolo!

Jednakże Upojew nie zawsze był w stanie pamiętać o tym, że jest zapóźniony i że powinien myśleć: pewnej dusznej nocy spalił kułacki chutor, żeby kułacy poczuli, czyja jest władza.

Upojewa aresztowano wówczas za klasową samowolę i posadzono bez hałasu do więzienia.

W więzieniu przesiedział całą zimę, ale w środku zimy miał sen, że Lenin nie żyje, i zbudził się we łzach.

Rzeczywiście, strażnik więzienny stał w drzwiach i mówił, że Lenin nie żyje, kapiąc łzami na świeczkę w dłoni.

Kiedy nad ranem naród ucichł, Upojew powiedział sobie:

– Lenin umarł, to po co takie draństwo jak ja miałoby żyć! – i powiesił się na pasku, umocowawszy go do kółka przy pryczy. Jednak włóczęga, który nie spał, uwolnił go od śmierci i wysłuchawszy objaśnień Upojewa, sprzeciwił się zasadniczo:

– Ty naprawdę jesteś drań! Przecież Lenin przez całe życie żył dla takich jak my, a jeśli ty skończysz ze sobą, to powstaje pytanie, dla kogo w końcu się starał?

– Dobrze ci mówić – powiedział Upojew. – Ale ja osobiście widziałem Lenina i nie mogę teraz wyczuć, po co zostałem na świecie!

Włóczęga obejrzał sobie Upojewa dydaktycznym spojrzeniem:

– Głupiec: jakże ty nie łapiesz, że przecież Lenin był mądrzejszy od wszystkich i jeśli umarł, to bez dopatrzenia nas nie zostawił!

– Pewnie to i racja – zgodził się Upojew i zaczął obsychać na twarzy.

A teraz, kiedy minęły lata, od czasu, jak Upojew stoi na czele rejonu powszechnej kolektywizacji i zmiata kułaka z całego rewolucyjnego ładu, w pełni wyczuwa i rozumie to, że Lenin rzeczywiście zatroszczył się i nie pozostawił go sierotą.

I każdego roku zimą Upojew myśli o tamtym włóczędze, który wyciągnął go z pętli, i który rozumiał Lenina, nigdy go nie widząc, lepiej niż Upojew.

Ogółem jednak Upojew był prawie że szczęśliwy, jeśli nie liczyć nagany od zarządu ziemskiego, którą dostał za obsianie pokrzywą dziesięciu hektarów. A i to nie on był winien, bo przeczytał w gazecie hasło: „Z pokrzywami na front socjalistycznego budownictwa!” – i zaczął rozmnażać ów przedmiot dla wysyłania go za granicę całymi eszelonami.

Upojew radośnie sądził, że stanęła kwestia wychłostania pokrzywami kapitalistów przez zagranicznych, słabo uzbrojonych towarzyszy.

Włóczęg się w następne dni po kołchozowych folwarkach i użytkach, przekonałem się, że pogląd o ucisku kołchozowej masy przez kołchozowe kierownictwo nie jest słuszny.

Od Upojewa kołchoźnicy doznawali nie ucisku, ale odcisku, który polegał na tym, że Upojew natychmiast odciskał precz każdego niedbałego albo leniwego pracownika i na jego oczach osobiście wykonywał całą robotę.

Miałem okazję zobaczyć, jak spędził traktorzystę z traktora, dlatego że ów spalał benzynę z czarnym dymem, i sam zasiadł za kierownicą, a traktorzysta szedł z tyłu na piechotę i patrzył, jak należy pracować. Równie nagle i pokazowo Upojew przyniżał się do grupy sortowaczy ziarna i ganił ich nieuważną pracę za pomocą demonstracji swych umiejętności. Siadał nawet specjalnie do obiadu wśród zacofanych dziewczuch i pokazywał im, jak należy powoli i produktywnie żuć pokarm, ażeby był z niego pożytek i żeby nie przytrafił się zator w żołądku. Dziewuchy rzeczywiście – ze strachu albo świadomie, nie potrafię ściśle powiedzieć, dlaczego – zaprzestały połykania wieprzowiny całymi kawałkami. Dawniej z niestrawności nieustannie burczało im w żołądkach. Podobną drogą wzorcowej demonstracji Upojew przyuczył kołchoźników do porządnego mycia się rano, przy czym na początku przyszło mu myć się na trybunie pośrodku wsi, kołchoźnicy zaś stali dookoła i zgłębiali jego prawidłowe ruchy.

Z tej samej trybuny Upojew publicznie czyścił zęby i pokazywał trzy głębokie wdechy, które każdy uświadomiony człowiek powinien robić o poranku.

Nie mając mieszkania i nocując w tej chacie, która mu się tylko nawinie w nocnych ciemnościach, Upojew uważał za swoją izbę całą kołchozową wieś i dręczony wielkim duchowym uczuciem, wchodził czasami na drewnianą trybunę i wygłaszał referaty o zachodzie słońca. Przemówienia te zawierały więcej wzruszenia niż słów i wzywały do pospólnego wspaniałego życia na żyznej ziemi. Brał do siebie na trybunę jakąś urodziwą dziewczynę, gładził jej włosy, całował w usta, płakał i szalał piersiowym uczuciem.

– Towarzysze! Wiecznie płynie czas na święcie – z nas już dusza precz wychodzi, ale za to na dzieciach włosy rosną. Popatrzcie dookoła swoimi oczami, jak bardzo z latami rozkwita władza radziecka i pięknieje młode pokolenie! To strasznie ładne, od tego serce dzień i noc wali o moje kości, a ja boleję, że uchodzi plan mojego życia, że wykonywany jest w całych stu procentach, że wkrótce zapadnę się w ziemię pod nogi całego przyszłego człowieczeństwa... Kto powiedział, że trapię się swoim życiem?

– Tyś sam powiedział – mówiła Upojewowi stojąca obok dziewczyna.

– Ach, ja powiedziałem! To hańba mi, hańba takiej bezmyślnej kanalii! Bać się ginąć to duch burżuazyjny, to indywidualny luksus... Powiedzcie mi głośno, po co jestem potrzebny, czym mam się trapić, kiedy obecna już jest bolszewicka młodość, a nowy pierwszorzędny człowiek wszedł do rejestru rewolucji?! Spójrzcie tylko, jak słońce zachodzi nad naszymi polami – toż to wszechświatowa chwała kołchozowemu ruchowi! Niech teraz patrzy na nas pierwsza lepsza gwiazda nocy – nam nie wstyd istnieć, my za darmo organizujemy całą biedną ludzkość, my pracujemy na spotkanie odległym planetom, my nie żyjemy jak płazy! Powiedz coś i ty albo zaśpiewaj od razu pieśń! – zwracał się Upojew do dziewczyny.

Dziewczyna się wstydziła.

– Powiedz choćby w przybliżeniu! – upraszał ją wzruszony Upojew.

– Co ja ci powiem, kiedy mi i tak dobrze! – obwieszczała dziewczyna.

– Wujku Upojew, daj, zaśpiewam ci kuplet! – zaproponował jakiś młodzian z szeregow

kołchozu.

– To zaśpiewaj, sukinsynu! – zgodził się Upojew.

Chłopak zagrał motyw na harmonii i zaśpiewał rzewnym tonem:

*Ech, lubią dziewczki jak cholera,
Lubią Waniuszę pierdziela!*

– Rozkułaczę za chuligaństwo, ścierwo! – wysłuchawszy dobrego głosu, zawołał Upojew i rzucił się był z trybuny do harmonisty, ale powstrzymali go aktywiści:

– Daj spokój, Upojew, ma dobry głos, a robota kulturalna u nas słaba!

Później Upojew rozpytywał mnie o pochodzenie człowieka: w chacie-czytelni też pewnego razu zapytano go o to, a on dokładnie nie wiedział i odrzekł tylko, że na pewno na samym początku człowieczeństwa był aktyw, który to zorganizował ludzi spośród zwierząt. Słuchacze zapytali jednak i o aktyw – skąd on się wziął.

Odpowiedziałem, że według mnie na początku też był aktyw przywódczy, ale nie potrafiłem ściśle objaśnić całego obrazu pochodzenia człowieka od małpy.

– Dlaczego małpa stała się człowiekiem, albo to źle jej było? – dopytywał się Upojew. – Dlaczego nagle zmądrzała?

Tutaj przypomniałem sobie o Kuczumie i o tamtym, którego Kuczum rozkwasił na miejscu.

– Najgłówniejszy trzon u zwierzęcia i u człowieka, towarzyszu Upojew, to stos pacierzowy z cieżą w środku. Jeden koniec kręgosłupa to głowa, a drugi – ogon.

– Rozumiem – rozmyślał Upojew. – Kręgosłup w człowieku to jakby belka, w nim opora życia.

– Może jakieś zwierzęta odgryzły małpom ogony i siła, która szła w ogon, uderzyła w drugi koniec, do głowy, i małpy zmądrzały!

– A to być może! – radośnie zdumiał się Upojew. – Wychodzi na to, że nam też bestie kułacy i kułaccy poplecznicy powinni coś odgryźć, żebyśmy zmądrzeli.

– Oni już odgryźli – powiedziałem.

– Jak to odgryźli? Czegóż to mnie nie bolało?

– A przeginacz linii – to nie jest dla ciebie kułacki poplecznik?

– Onże, ścierwo.

– I zaszkoził kolektywizacji czy nie zaszkoził?

– Fakt – zaszkoził, padlina jedna!

Na tym się rozstaliśmy, żeby pójść spać. Ale po północy Upojew postukał mnie w głowę i obudziłem się.

– Posłuchaj, przecież ty mi naplotłeś kłamstw! – rzekł Upojew. – Położyłem się spać i opamiętałem się: to przecież nie kułacy odgryźli nam ogon, ale my oderwaliśmy im klasową głowę! Coś za jeden? Pokaż dokumenty!

Dokumentów ze sobą nie nosiłem. Jednakże Upojew wybaczył mi tę okoliczność i śpiesznie wyprowadził nocą poza granice kołchozu.

– Ja czytam codziennie pełne wydanie „Dzieł” Włodzimierza Iljicza i wkrótce pójde na rozmowę do towarzysza Stalina – czego ty mi mieszasz w głowie?

– Słyszałem, jak pewien przeginacz tak mówił – odpowiedziałem słabo.

– Przeginacz albo zawrotogłowiec to poplecznik kułactwa: kogo ty słuchasz? Ech, gadzina! Chodźmy z powrotem na nocleg.

Odmówiłem. Upojew popatrzył na mnie dziwnie bezbronnymi oczyma, jakie miewają ludzie udręczeni i wąpiący.

– Wedle ciebie, to pewnie Lenin też umarł, a żyje tylko sam jego duch? – zapytał nagle.

Nie mogłem nadążyć za jego tajemniczą myślą i za zmianami nastroju.

– I duch, i dzieło – powiedziałem. – A co?

– A to, że błąd. Duch i dzieło dla życia mas – to racja, ale dla przyjaznych uczuć trzeba nam mieć pośród ziemi konkretną jednostkę.

Szedłem w milczeniu, niczego nie rozumiejąc... Upojew westchnął i dodatkowo oświadczył:

– Potrzebny nam jest żywy i taki sam jak Lenin... Obsięję ziemię i pójdę oglądać Stalina: czuję w nim swoje źródło. Wrócę i na całe życie będę spokojny.

Pożegnaliśmy się.

– To już się kręć tutaj, czort z tobą! – poprosił mnie Upojew.

Będąc przesadnym, nie zgodziłem się i odszedłem w mrok. Kroki Upojewa ucichły w przeciwnym kierunku. Ruszyłem niepewnie, nie wiedząc, dokąd iść i gdzie została za mną linia kolejowa. Otaczała mnie głusza głębokiego kraju, zapomniałem już, w jakim obwodzie i rejonie się znajduję, i prawie zagubiłem się w nieprzebranej przestrzeni.

Ale Upojew i tutaj nigdy by nie utracił pewności ducha, dlatego że ma na tej ziemi centralną drogę, po której, żeby nie zbłądził, kroczą przed nim ukochani przez niego ludzie.

Coraz bardziej nabierając szacunku dla Upojewa, szedłem stopniowo naprzód swoim normalnym krokiem i wkrótce napotkałem stepowe świtanie. Drogi pode mną nie było; zszedłem w wyschlę koryto rzeczki i ruszyłem jej dnem w stronę ujścia, wiedząc, że im bliżej powierzchni będzie woda, tym szybciej znajdę wieś.

Tak też było. Spozregłem dym porannego pieca i po krótkim czasie wyszedłem na gliniastą, naturalną ulicę nie znanej osady. Ze wschodu, niczym z jakiejś dziury, wionęło chłodem i senną wilgocią jutrzeńki. Zapragnąłem odpocząć; skręciłem w przejazd między obejściami, znalazłem spokojne miejsce w załomie płotu i ułożyłem się do snu.

Obudziłem się, kiedy słońce stało już wysoko – było koło południa. Niedaleko ode mnie, na ulicy, dreptał naród, a pośród niego siedział na koniu człowiek bez czapki. Podszedłem do publicznego miejsca i zapytałem najbliższego człowieka, kim jest ów znękany na okazałym koniu?

– To wojujący bezbożnik, dopiero co przyjechał. Od dawna już obsługuje naszą okolicę – wyjaśnił mi wiejski obywatel.

Istotnie, towarzysza Szczekotułowa, aktywnie odrzucającego Boga i niebo, znano tutaj dosyć detalicznie. Już dwa lata, jak jeździ wierzchem po wsiach i unicastwia Boga w sercach i umysłach zacofanych wierzących mas.

Działał towarzysz Szczekotułow z przekonaniem i prosto. Przyjeżdża do jakiejś wsi, zatrzymuje się w ludnym kooperacyjnym miejscu i woła:

– Obywatele, kto nie wierzy w Boga, ten niech zostanie w domu, a kto wierzy – wychodzić i ustawiać się przede mną zorganizowaną masą!

Wierzący z przestachu wychodzili i ustawiali się przed oczyma towarzysza Szczekotułowa.

– Boga nie ma! – gromko oświadczał Szczekotułow, wytrzymawszy naród.

– To kto będzie główny? – zapytywał jakiś ciemny leciwy chłop.

– Główna jest u nas klasa! – objaśniał Szczekotułow i mówił dalej: – Żeby mi ani jednego, choćby nawet słabowiarka, u was nie było! Wierzący w Boga jest rozkładaczem socjalistycznego budownictwa, psuje, ogłupiały członek, nastrój mas, które kroczą naprzód w tempie! Natychmiast zaprzestańcie religii, podnieście poziom rozumu i obróćcie byłą cerkiew w narzędzie rewolucji kulturalnej! Zróbcie w cerkwi radio i niech zagrzmi ono wybuchami klasowego zwycięstwa i szczęściem osiągnięć!...

Kobiety z przodu, które widziały poruszenie Szczekotułowa, ze współczucia dla krzyżącego proroka zaczęły ocierać oczy.

– Proszę – zwracał się towarzysz Szczekotułow – świadome kobiety płaczą przede mną, z czego wynika, że uświadamiają sobie, że Boga nie ma.

– Nie ma, milutki – mówiły kobiety. – Gdzie mu tam być, kiedyś ty się pojawił.

– No, właśnie – zgadzał się Szczekotułow. – Gdyby nawet się pokazał, tobym go skasował dla dobra biedoty i średniactwa.

– Toteż się i schował, milutki – trapiły się baby. – Ale jak odjedziesz, to on się pojawi.

– Skąd się pojawi? – zdumiewał się Szczekotułow. – To ja go przypilnuję.

– Na co ci pilnować: Boga nie ma – chytrze oznajmiały baby.

– Aha! – mówił Szczekotułow. – Wiedziałem, że was przekonam. Pojadę teraz dalej.

I towarzysz Szczekotułow, zadowolony ze swego zwycięstwa nad zacofaniem, jechał głosić nieobecność Boga dalej. A kobiety i wszyscy wierzący zostawali we wsi i zaczęli wierzyć w Boga na przekór towarzyszowi Szczekotulowowi.

W kolejnej wsi towarzysz Szczekotułow postępował podobnie: zbierał naród i mówił:

– Boga nie ma!

– To i cóż! – odpowiadali mu wierzący. – Nie to nie, wychodzi na to, że jak Jezusa Chrystusa nie ma, to nie masz co przeciwko niemu wojować.

Szczekotułow zapędział się ze swoim rozumem w kozi róg.

– W naturze to nie ma – objaśniał Szczekotułow – ale w waszym ciele jest.

– To włącz w nasze ciała!

– Wy, obywatele, wyróżniacie się idiotyzmem wiejskiego życia. Przewidział was już Marks Karol.

– To jakże nam postępować?

– Myślcie o czymś naukowym!

– A o czym by tak?

– Myślcie, jak, na przykład, ziemia stworzyła się sama z siebie...

– Rozum mamy przy słaby: Karol Marks nas przewidział, że jesteśmy idiotyzmem!

– A jak już myśleć nie możecie – konkludował Szczekotułow – to lepiej wierzcie we mnie, byle tylko nie w Boga.

– Nie, towarzyszu oratorze, tyś gorszy od Boga! Bóg jest chociaż niewidzialny i dzięki mu za to, a ty tutaj – spokoju od ciebie nie uświadczy.

Ten ostatni argument został wypowiedziany przy mnie i wprowadził Szczekotulowa na chwilę w osłupienie – widać jego myśl nieco się wyczerpała. Ale żywo się opamiętał i mężnie na wszystkich wrzasnął:

– To kontrrewolucja! Zburzę waszą kułacką Kartaginę!²⁸

– Stop, towarzyszu, za mocno szumicie! – powiedział z tłumy niewidoczny dla mnie człowiek.

Po czym usłyszałem głos, który mówił o Szczekotulowie jako o pomocniku religii i kułackim rękodajnym. Człowiek mówił, że religia to rzecz wyjątkowo delikatna, że zlikwidować ją można tylko za pomocą siły kolektywnego gospodarowania i przy udziale wyższej, heroicznej kultury społecznej. Tacy zaś jak Szczekotułow straszą tylko naród i jeszcze bardziej zwracają jego oblicze ku prawosławiu – dla Szczekotulowów nie ma miejsca w szeregach rejonowych pracowników kultury.

Jako drugi wystąpiłem ja, dlatego że poczułem wściekłość na Szczekotulowa i rewolucyjne wyrzuty sumienia wobec mas; akuratnie starałem się objaśnić religię jako środek doprowadzenia narodu przez kapitalistów do zatrąty świadomości, a także wskazałem, na ile potrafiłem, właściwe sposoby likwidacji tego szaleństwa. Osmarowałem przy tym Szczekotulowa, walczącego z szaleństwem ciemnymi środkami, bowiem Szczekotułow jest owym lewackim podskakiewiczem, z którym partia teraz walczy.

Szczekotułow, pozwoliwszy mi skończyć, szybko obrócił konia i zdecydowanie pogalopował ze wsi, a wyglądał tak, jakby pojechał poprowadzić na nas wojska.

²⁸ Parodia słów Leopolda Awerbacha, jednej z najbardziej złowrogich postaci literatury radzieckiej, który w polemice z Aleksandrem Woronskim w 1926 roku użył zwrotu: „Kartagina Woronskiego musi być koniecznie zburzona”. Postać Szczekotulowa parodiuje właśnie Awerbacha.

– Patrzajcie, gadzinę: do kołchozów pewnie jeździć przestał! – powiedział ktoś w ślad za nim. – Tam by mu wraz igłę w rozum przez ucho wsadzili! Marks – Engels jeden!

Wiesz, gdzie byłem teraz obecny, nazywała się Drugie Radosne, Pierwsze zaś znajdowało się gdzieś tam indziej. Drugie Radosne do tej pory nie było jeszcze kołchozem i nawet stowarzyszenie społecznej uprawy roli w nim nie istniało, zupełnie jakby żyli tutaj jacyś szczególnie okrzepli gospodarze albo niezachwiani kułaccy poplecznicy. Uważnie, jak za granicą, szedłem po tej wieloobejściowej wsi, pragnąc zrozumieć z namacalnych faktów i źródeł ocaląky tutaj kapitalizm.

Na przyzbie pewnej na wpół spróchniałej chałupy siedział postarzały chłop i wyraźnie czymś się trapił.

– Czym się gryziesz? – zapytałem go.

– Ano cały czas kołchozem! – powiedział chłop.

– Ale na co to się nim gryźć?

– A jakże się nie martwić, kiedy u wszystkich jest, a u nas nie ma! Wszyscy już dawno zorganizowani, a my żyjemy jak przypędki! Nam się tak nie opłaca!

– A bardzo chcesz do kołchozu?

– Okropnie! – szczerze odpowiedział chłop.

Albo mnie oszukiwał, albo byłem głupi co do nowego życia. Postąłem w nieświadomości i odszedłem popatrzeć na miejscowy kapitalizm. Mieścił się on w obejściach, bezwzględnie pragnących stać się folwarkami, i w słabych na oko ludziach, którzy tylko ustnie tęsknili za kołchozem, a w istocie, być może, marzyli o nocnym morze na wszystkich swoich sąsiadów, aby rankiem stać się jedynym gospodarzem całego bezdziedzicznego majątku. Jednak z drugiej strony, na przyzbach siedzieli amatorzy kołchozowego budownictwa, a samego kołchozu nie było. A zatem była w tym jakaś poważna zagadka. Dlatego chodziłem i badałem, mając się cały czas na baczności.

Wieczorem trafiłem do chaty-czytelnii, dowiedziawszy się przez cały dzień tylko tego, że wszyscy chcą do kołchozu, a kołchoz się nie zakłada. W chacie-czytelnii stało pięć stołów, przy których obradowało pięć komisji do spraw organizacji kołchozu. Na ścianach wisiały nazwy komisji: „statutowa”, „klasowo-klasyfikacyjna”, „inwentaryzacyjna”, „likwidacyjno-kułacka” i wreszcie – „wyjaśniająco-ochotnicza”.

Wysłuchawszy nieprzerwanej pracy owych komisji, zrozumiałem, że tak dużej ilości głupich ludzi, zebranych w jednym miejscu, być nie może. Wynikało z tego, że w komisjach siedzą kułaccy działacze, pragnący uśmiercić żywe kołchozowe zaczątki w nieskończonyj, jakoby przygotowawczej, biurokratycznej mitrędze. Porozmawiałem z przewodniczącym komisji „wyjaśniająco-ochotniczej” – miałem ochotę dowiedzieć się, na czym polega jego praca.

– Boimy się, żeby przymusu nie było: rozwijamy dobrowolność! – oświadczył przewodniczący.

– Rozwinęliście już, czy też się nie udaje? – zapytałem.

– Jak wam powiedzieć? Rzecz jasna, sztandar masowej wyjaśniającej roboty trzymamy wysoko, ale kto tam wie, a nuż gospodarze jeszcze się nie przekonali! Przegiąć przecież teraz nijak nie wolno, wypada trzymać kurs na święte poczucie przekonania.

Wydało mi się, że przewodniczący jest człowiekiem nieco skrytym.

– Od dawna pracują wasze komisje?

– A już czwarty miesiąc. Zimą bo nie poradziliśmy sobie z organizacją, a teraz prowadzimy masową kampanię.

Dookolne komisje coś spokojnie pisały, a chłopie smętnie czekali kołchozu na przyzbach. Jeden z takich czekaczy przyszedł potem do przewodniczącego komisji, by złożyć wyjaśnienia. Zapytano go:

– Czujesz pragnienie kolektywizacji?

– Jeszcze jak! – odpowiedział chłop.

– A od czego ty tak czujesz?

– Od bezkonności. Ty przecież – zwrócił się do przewodniczącego – orzesz u mnie za zbiory, a tamuj konna brygada za zbiory i orze, i sieje, i ziarno na podwórze zwozi. Tylko że ta konna kolumna pracuje dla kołchozów, a dla nas nie daje rady.

– A toż to twoje pazerne nastawienie, a nie kołchozowe poczucie! – aż zdumiał się przewodniczący. – To znaczy, żeś jeszcze nie przekonany do kołchozu!

– I jak tu wyrozumieć! – wyraził się bezkonny. – Kołchozu prawie że i nie czujemy, ale czujemy, że naszym żyje się tam z zyskiem!

– Zysk to pazerność, a nie uświadomienie – odpowiedział przewodniczący. – Trzeba nam będzie jeszcze szerzej poprowadzić kampanię wyjaśniającą!...

– Prowadź ją bezterminowo – powiedział bezkonny – dla ciebie kołchoz to przecie strata.

Przewodniczący cierpliwie zmilczał.

Łatwo się było domyślić, że tutejsi zamożni i poplecznicy kułactwa stali się urzędnikami i do ostatka eksploatowali zasadę dobrowolności, odkładając organizację kołchozu do odległej pory jakiegoś wyższego przekonania. Nie wiadomo, na ile miało tutaj miejsce pobłażanie ze strony rejonu, ale cała kułacka norma ludności wsi (około pięciu procent) siedziała w komisjach, a biedniacy i średni, widząc w otaczających ich kołchozach rozwój wytężonej pracy i życiowego dostatku, uważali swoją indywidualność za stratę, zaniedbanie, a nawet grzech – kto jeszcze szcążkowo wierzył w Boga. Jednak zamożni gospodarze, którzy stali się biurokratycznym aktywem wsi, przyuczili naród myśleć i mówić tak oficjalnie i nieskładnie, że niejedno zdanie biedniaka, wyrażające szczere uczucie, brzmiało niemal ironicznie. Słuchając, można było pomyśleć, że wieś zasiedlona jest natrzęsającymi się kułackimi poplecznikami, gdy w istocie byli to biedniacy, jutrzejsi budowniczo wiej wielkiej historii, wyrażający swoje myśli obcym, dwuznacznym, kułacko-biurokratycznym językiem. Biedniackie baby wychodziły pod wieczór z wrót i, zafrasowane, zaczynały lamentować za kołchozem. Dla nich brak kołchozu oznaczał przepłacanie tym z końmi za orkę, dziadowanie za chlebem do zbiorów po zamożnych obejściach, dalsze życie bez perkalu i nowych kiecek i nędzne sieroctwo w pustej chacie, podczas gdy kołchozowe baby już teraz przechadzają się po gminie w nowych chustach i przechwalają się, że jedzą świninę na porcje. Dzięki samej zawiści i zwyczajnym codziennym odczuciom biedniackie baby całkiem dobrze rozumiały, gdzie leży ich wyższe życie.

Jednak wewnątrz ich wsi siedział kułacki smok, a indywidualni biedniacy chodzili w guniach, nigdy nie próbując kołchozowego mięsa.

Zdumiewające było jeszcze to, że kołchozowe komisje ani razu nie zwołały w Drugim Radosnym plenum biedniacko-średniackiego, odkładając tę sprawę aż do nieprawdopodobnego momentu przedarcia się przez całą gęstwinę problemów organizacyjnych, które codziennie wymyślali sami ich członkowie kułacy.

Naradziwszy się z niektórymi energicznymi biedniakami, napisałem list do towarzysza G.M. Skrynki na Rękodzielne Chutory, ponieważ był najrozumniejszym aktywistą w przyległym rejonie.

„Towarzyszu Grigoriju! W 2-gim Radosnym budownictwo kołchozowe zostało podstępnie przechwycone przez zamożnych popleczników kułactwa, a żeńskie biedniactwo wyraża swoje cierpienie spontanicznie pieśniami na ulicach. A twój rejon i kierowany przez ciebie OMT są prawie tuż obok. Radzę ci zajechać wpierw do władz rejonowych i dowiedziawszy się, czy nie ma tam jakichś korzeni, które rozrastają się w całe sploty w 2-gim Radosnym, przybyć tutaj w celu likwidacji biurokratycznego ogniska”.

Pewien biedniak podjął się zawieźć list towarzyszowi G.M. Skrynce, ja zaś, przekonany, że Skrynko zjawi się w Drugim Radosnym i zlikwiduje biurokratyczne kułactwo, wyruszyłem z tego miejsca dalej.

Było słonecznie, w przyrodzie zrobiło się dość przyjemnie, a ja szedłem ze spokojną o kołchozy duszą. Ozime pokolenia zbóż rosły wokół szeroko, a wiatr wyzwał leniwe fale w ich zielonej zadumanej gęstwinie – jest to najlepszy na całej ziemi widok. Zapraǳiałem odejść tego dnia jak najdalej, omijając małe kołchozy, tak aby znaleźć w oddali coś bardziej znaczącego.

Wieczorne słońce zastało mnie w pobliżu jakiegoś parku: od głównej drogi w ǳłęb parku prowadziła zadbana aleja, na której początku znajdował się łuk z napisem: „Kooperatywa rolnicza imienia Odznaczonych Bohaterów, założona w 1923 r.”. Tutaj produkcja uspołeczniona osiągnęła z pewnością wysoki stopień doskonałości. Być może, ludzie pracowali tu już równie harmonijnie i łatwo, jak oddychali. Z ową jasną nadzieją zoczyłem ze swej drogi i wstąpiłem na ziemię komuny. Minąwszy park, ujrzałem ogromny i zarazem przytulny dwór kooperatywy bohaterów. Dziesiątki nowych i wyremontowanych budynków gospodarczych rozmieszczonych było na gumnie planowo i w rozumnym porządku; trzy duże domy mieszkalne znajdowały się w pewnej odległości od nich, zapewne gwoli lepszych warunków sanitarno-higienicznych. Jeśli dawniej ów majątek był siedziskiem dziedzica, to teraz po przeszłości nie zostało ani śladu. Nie chcąc być ani gościem, ani rezydentem, poszedłem do biura kooperatywy i kiedy powiedziałem, że jestem majstrem studniarzem i dekarzem, zaraz przyjęto mnie jako sezonowego technika do remontu instalacji wodnej i do zorganizowania właściwego z niej korzystania. Bez zwłoki wyznaczono mi też oddzielny pokój, wydano pościel i jako osobie służbowej zapewniono wyżywienie. Z od dawna zanikłym poczuciem swej społecznej przydatności położyłem się do łóżka i awansem, na poczet swej przyszłej pracy przy instalacji wodnej, oddałem się wypoczynkowi.

Późnym wieczorem odwiedziłem klub kooperatywy, interesując się jej składem członkowskim. W klubie wystawiano sztukę „Na przywódczych posterunkach”, zawierającą obraz rozczulania się proletariatu własną władzą, to jest uczucia całkowicie proletariatowi obcego. Jednak owa prawicowa prawomyślność uchodzi u nas za sztukę masową, ponieważ ludzie pierwszoplanowi zajęci są bezpośrednio budowaniem socjalizmu, drugorzędni zaś wyżywają się w sztuce.

Członkowie kooperatywy bohaterów, urządzonej jakoby wedle wzoru komuny, wyglądali spokojnie i schludnie i patrzyli na bohaterów akcji sztuki jak na samych siebie, co jeszcze bardziej ich uspokajało i zadowalało. Cztery dziewczynki stały po rogach sceny i trzymały w rękach lampy; ubrane były w białe sukienki, na ich głowach tkwiły sztywne fryzury, a cały ich wygląd przypominał starodawne gimnazjalistki.

Tego wieczoru oprócz normalnie sytych twarzy niczego w spółdzielcach spostrzec nie zdążyłem.

Przepracowawszy jednak kilka dni przy remoncie studni ǳłębiny, dowiedziałem się wielu niepokojących dla siebie rzeczy. Własnymi oczyma pewnie nie potrafiłbym wszystkiego dojrzeć, ale przy studni pracowali ze mną dwaj członkowie kooperatywy i to oni wyjaśnili mi niektóre szczegóły dotyczące tych, którzy daremnie chcieli upodobnić się do rzeczywistych bohaterów życia.

Owi dwaj członkowie byli, jak się okazuje, w kooperatywie od niedawna i nienawidzili prawie wszystkich innych spółdzielców; przyczyną tak nierozważnego stanowiska była rzecz następująca: komitet rejonowy i wiejskie komórki partyjne prowadziły politykę uzupełnienia kooperatywy „Odznaczeni Bohaterowie” biedniakami-aktywistami, zarząd kooperatywy nie chciał zaś przyjmować żadnych nowych członków, bowiem dla zarządu dobrzy byli tylko starzy, zżyci ze sobą ludzie. Kimże wobec tego byli owi starzy członkowie kooperatywy, jej założyciele? Może skrytymi kułakami?

– Coś ty?! – zdumieli się dwaj ludzie, przydzieleni wraz ze mną do remontu studni. – To kompletne bohaterstwo wojny domowej! Partia brała ich na wszystkie zęby i nic nie wychodzi: całkowicie nasi ludzie!

– To dlaczego nie chcą nikogo wpuszczać do swej kooperatywy?

Biedniacy przez chwilę myśleli.

– Widzisz, w siedemnastym roku oni też byli biedniakami, to znaczy, że nie mieli niczego prócz swojej klasy; teraz uzbierali górę dobra, a z klasą dali sobie spokój...

Niemożliwe było wszakże, aby wszyscy bohaterowie bitew z białogwardzistami stali się gospodarskimi skrzętlivcami i wrogami okolicznej biedoty: gdzież mogła zniknąć ich zasadnicza ofiarna natura? Dowiedziałem się, że w rzeczywistości niektórzy założyciele kooperatywy już dawno pomarli od chorób i źle zabliźnionych ran, inni rzucili kooperatywę i odeszli bezpowrotnie do miast, reszta pozostała zaś tutaj na wieki. Ci pozostali byli bohaterami nie z powodu organicznych właściwości klasowych, ale z powodu jakichś chwilowych warunków frontowych, w zapamiętaniu, a teraz eksploatowali swoje mimowolne wyczyny z całą zręcznością burżuazyjnej drobnicy.

Przewodniczący kooperatywy, towarzysz Mczałow, przyszedł do nas pod koniec czwartego dnia. Ujrzałem korpulentnego postarzałego człowieka ze smętną troską na obliczu, ale ze starą czapką czerwonarmisty na głowie.

– Bo to oziminy, powiadają, na terenach czarnoziemnych wszystkie wymarły – rzekł do mnie. – I co też będziemy jeść w przyszłym operacyjnym roku?... I teraz też – potrzebny by deszcz na owies, a nie ma go i nie ma!...

– Lepiej byś wdział na głowę kułacką czapkę – powiedziałem mu. – A nakrycie czerwonarmisty lepiej byś zdjął! Kto ci kłamie i kogo ty słuchasz!...

– Tak, może i tak, a ludzie informują – odrzekł przewodniczący. – Serce przecie boli!... Posłuchaj, jak tylko naprawisz studnię, to sobie idź, bo inaczej trzeba będzie płacić za ciebie ubezpieczenie, kupować ubranie robocze, a tyś nie członek, kłopotu z tobą się nie uniknie, a wody napijemy się i bez ciebie!...

Obiady wypadło mi jadać w ogólnej stołówce, były one kiepskie, głodowałem i nie mogłem zrozumieć, dlaczego członkowie kooperatywy są tak spasieni. Potem ciż sami opozycyjnie nastawieni biedniacy nowi członkowie pokazali mi, że spółdzielcy jadają jeszcze raz w swoich pokojach. Obiad w stołówce wydawano najoszczędniej, jak tylko można, żeby nieustannie sterczącym na folwarku kooperatywy okolicznym biedniakom nie wydawało się, że tutaj słodko się jada.

Im dłużej żyłem w owej kooperatywie, tym bardziej przekonywałem się, że jej ideologią jest obłudność, mimo znacznego wspólnego majątku, mimo dużych sukcesów produkcyjnych. Spółdzielcy-bohaterowie, zwłaszcza wobec postronnych chłopów, nieustannie biadolili na kiepskie zbiory w minionym roku i na to, że życie w kooperatywie nie opłaca się i widać przyjdzie wkrótce podzielić się na obojętne, wracając do starych porządków.

Wszystko to było, rzecz jasna, hipokryzją. Dochód na głowę każdego członka kooperatywy co najmniej dwukrotnie przewyższał dochód przypadający na miejscowego indywidualnego średniaka, a udział kapitałowy, przypadający na każdego spółdzielcę, sięgał tysiąca rubli.

Skąd jednak owa obłudność, owa chytra, skryta walka z partią i z biedniakami o zachowanie osiągnięć tylko dla siebie?

Sama kooperatywa była wysepką pośród dość rozległego jeśli nie morza, to w każdym razie rozlewiska gospodarstw indywidualnych. Aktyw biedniacki najbliższych wsi, a także radzieckie organizacje partyjne od dawna miały chęć uczynić ową kooperatywę centrum i źródłem doświadczenia w społeczno-klasowym gospodarowaniu dla dużego kołchozokombinatu. Ale kooperatywa, składająca się z dawnych bohaterów, po bohatersku się broniła – niszczyć zaś wybitnego w sensie produkcyjnym gospodarstwa ani aktywiści-biedniacy, ani partyjni nie chcieli. Przeciwnie, wszystkie ich próby umieszczenia kooperatywy na czele ruchu kołchozowego bazowały na dobrowolnym porozumieniu z jej zarządem. Porozumieć się jednak nie udawało. Co więcej, przez ostatnie cztery lata kooperatywa przyjęła jako

nowych członków tylko dziesięciu biedniaków, a i to pod dużym naciskiem wszystkich organizacji. Przy czym dwaj z owej dziesiątki oswoili się z kooperatywą i przesiąkli jej mdłym praktycystycznym duchem; trzej z niej wystąpili, zamieniwszy kufry kooperatywy na powietrze bolszewickiego wichru, piątka zaś tworzyła w kooperatywie prawdziwie bolszewicką opozycję wobec sekciarskiego zarządu, i to właśnie dwóch z nich poznałem. Zrozumiałe, że owa piątka nie miała decydującego znaczenia w kooperatywie, przy pierwszej lepszej okazji mogli ich nawet pozbawić członkostwa. Oni to jednak są według mnie prawdziwym zarodkiem przyszłego bolszewickiego zarządu kooperatywy, który powinien zastąpić byłych bohaterów, a obecnych obłudników i amatorów słodkości.

W całym rejonie, gdzie znajdowała się kooperatywa imienia Odznaczonych Bohaterów, w kolchozach było jedynie około dwudziestu procent biedniaków i średniaków; duże kolchozowe skupiska nie istniały jeszcze w ogóle, a wszystkie małe punktowe kolchozy, podobnie jak kooperatywa, smażyły się we własnym ciasno praktycystycznym sosie. Brak masowości kolchozowego ruchu, święte, obłudne przestrzeganie zasady dobrowolności (w istocie zaś rozwijanie pasywności w najlepszych ludziach spośród biedoty), jakaś bezwietrzność całej atmosfery stworzyły, zamiast wzbierającej kolchozowej rzeki, kałuże-kolchoziki i całe bagno owej kooperatywy.

Dokończywszy powierzoną mi studniarską robotę, dostałem dziesięć rubli i powinienem był odejść. Zostawiać jednak tak kwitnącą, produkcyjną kooperatywę nowo upieczonym feudałom było mi ogromnie żal. Wszak w minionym, średnio sprzyjającym roku kooperatywa zebrała z hektara prawie po dwie tony pszenicy, a samych owoców sprzedała za dwadzieścia pięć tysięcy rubli. Jasne było, że ten gospodarski ośrodek może połączyć, postawić na nogi i popchnąć naprzód kilkaset biedniackich gospodarstw. To po co utrzymywać tutaj kilka dziesiątków bezwładnie tuczących się „bohaterów”?

Interesujące jest jeszcze i to, że w kooperatywie były wszystkiego dwa traktory. Wszystkie prace wykonywano odwiecznymi, starodawnymi sposobami, dobre rezultaty tłumaczyły się zaś wyjątkową pracowitością, zgodną organizacją i oszczędnością spółdzielców w odniesieniu do własnej produkcji; tych zalet nie sposób im odmówić i te zalety powinny zachować się i wtedy, kiedy owa obłudnie interesowna kooperatywa stanie się bolszewicką. A co dopiero będzie w kooperatywie, jeśli zaopatrzyć ją w traktory, nawozy, zamiast suchej zapobiegliwości zastosować na jej użytkach pracę szturmową, zastąpić majątkowego rzeźnika bolszewikiem i agronorem i, przede wszystkim, uczynić kooperatywę rzeczywistą spółdzielnią pracy chłopów-biedniaków?

Ja i dwaj opozycyjnie nastawieni członkowie kooperatywy długo roztrząsaliśmy nabołate kwestie, nie widząc, jak znaleźć sposób pozbycia się ich.

Jeden z członków zapytał mnie pod koniec rozmowy:

– A co u nas jest ze wszystkiego najlepsze i najsilniejsze?

Powiedziałem mu, że to dyktatura proletariatu.

– Pójdę do obwodowego komitetu wykonawczego, pójdę do obwodowego komitetu partii, poproszę o zmianę zarządu naszej kooperatywy za pomocą dyktatury proletariatu – powiedział towarzysz. – Wszędzie komuny i stare kooperatywy prowadzą kolchozy, a u nas martwy zastój.

– Na pewno nasza kooperatywna komuna to nie komunizm – rzekł drugi spółdzielca.

– Nasza kooperatywa to jakby kułackie stowarzyszenie z udziałami pracowniczymi i na państwowym majątku – dałem coś na kształt definicji.

– A przecież założyciele to bohaterowie wojny domowej! – z żalem powiedział jeden z obecnych członków.

– Ale czas pokonuje bohaterów i robi z nich samo tylko pośmiewisko!

To ja powiedziałem, ale komunardzi natychmiast mnie sprostowali.

– Mówisz kłamstwa: są tacy bohaterowie, którzy nigdy się nie spóźniają na swój czas, oni

prowadzą go za sobą!

Z uwagi na oczywistość zgodziłem się, rzecz jasna. Potem zebraliśmy wspólnie środki dla jednego ze spółdzielców, a on poszedł wzywać na pomoc proletariacką dyktaturę.

Człowiek poszedł i po dwóch dniach wrócił. W Drugim Radosnym, jak się okazuje, siedziała już jakaś komisja z obwodowego miasta, która ustaliła istotny związek między zarządem kooperatywy postarzałych bohaterów a pięcioma kołchozowymi komisjami Drugiego Radosnego.

W ten sposób, jeszcze przed przybyciem towarzysza Skrynki, ustalono, że kooperatywa „Odnaczonych Bohaterów” była tylko agenturą kułackiego żywiołu, który działał w Drugim Radosnym, i na odwrót – kooperatywa była bastionem dostatnich grup gospodarzy indywidualnych. Związek ów był w istocie znany od dawna: wyrażał się więzami małżeńskimi członków kooperatywy i kułackich poplecznic i na odwrót. To, co było powiązane klasowo, zostało następnie utrwalone związkami krwi.

Z uwagi na to potajemną wiejską burżuazję czekał koniec, ja zaś z zadowoleniem wyruszyłem stąd w kolejną dal, jaka otwierała się przede mną z folwarku kooperatywy.

Tuż przed religijnym świętem Wielkanocy wkroczyłem do niewielkiego kołchozu „Silny Potok” i byłem tutaj świadkiem końca życia Fiłata-parobka, którego historię postaram się teraz przekazać w całości.

Fiłata przyjęto do kołchozu jako ostatniego, kiedy już wszyscy średniacy zdążyli się zapisać.

– Ty zawsze poradzisz sobie z nabyciem członkostwa – mówiła Fiłatowi kadra kierownicza. – W wymiarze klasowym tyś przecie człowiek absolutny!

I Fiłat czekał, nie wiedząc, z czego by się tu cieszyć, skoro nie jest jeszcze członkiem kołchozu. Ze smętnym wyrazem twarzy chodził po kołchozie i usuwał wszelkie niedociągnięcia. Czy były to otwarte drzwi do chaty, czy pochylił się płot, czy też po prostu kogut odstręczył się od kur – Fiłat przymykał drzwi, ustawiał płot i podganiał koguta do kur.

Gdy wiał wiatr, Fiłat wychodził na ten skraj kołchozowej wsi, w którego stronę kierował się wichur, i pilnował, żeby nie wywiał ze wsi czegoś pożytecznego. A jeśli coś pożytecznego wiatr unosił, Fiłat chwycił ową pożyteczną rzecz i zwracał ją uspołecznionym zasobom.

I tak to żył sobie Fiłat ze wzmożoną troską o kołchozowe dobro i porządek, nie będąc członkiem kooperatywnego gospodarstwa.

Do Fiłata wszyscy od dawna przywykli i był on kołchozowi niezbędny. Kiedy u kogoś rodziła baba, wzywano Fiłata, by prowadził gospodarstwo i pilnował małych dzieci; oprócz tego Fiłat potrafił czyścić kominy, umiał oduczać kury od chęci siedzenia i odcinał psom ogony, aby były złe.

Takiego człowieka zarząd kołchozu postanowił przyjąć w pierwszy dzień Wielkanocy, ażeby zamiast zmartwychwstania Chrystusa urządzić zmartwychwstanie biedniaka w kołchozie.

W Wielką Sobotę ubrano Fiłata we wspaniałą czystą odzież z kołchozowej spółdzielni, stare ubranie Fiłata powieszono zaś w oddzielnej komórce, która nazywała się „muzeum biedniaka i parobka, którzy żyli w epoce kułactwa jako klasy”.

Chatę-czytelnię udekorowano zawczasu flagą i hasłem, a rankiem pierwszego dnia Wielkanocy wyprowadzono Fiłata na ganek, wokół którego stała zebrana cała kołchozowa masa. Fiłat, ujrawszy słońce na niebie i zorganizowany naród w dole, ucieszył się ze wszystkich sił swego ciała i zapragnął żyć w przyszłości jeszcze pracowiciej i z większym poświęceniem, niż żył dotychczas.

– Oto – powiedział aktywny przewodniczący do całego kołchozu – oto macie nowego członka naszego kołchozu: towarzysza Fiłata. To nie dzwony biją nad smętnymi chałupami, nie pop zawodzi żałobne pieśni, nie kułak, wreszcie, słoninę zażera, ale przeciwnie, Fiłat stoi, uśmiecha się, pracowite słońce lśni nad naszym kołchozem i nad całym światowym

internacjonalem, a i my sami czujemy niepojętą radość w swoim tułowiu! Ale z czego ta nasza niewiadoma radość? Z tego, że Fiłat był najbardziej gnębionym, najbardziej milkliwym i najmniej jedzącym człowiekiem na świecie! Nigdy nie wyrzekł ani słowa, ale zawsze pilnie się trudził – i oto teraz on, ostatni biedniak, zmartwychwstał dzięki organizacji kołchozu!... Powiedz no, Fiłacie, nam cokolwiek; teraz ty, stroskany pracowniku, powinieneś jaśnieć na świecie zamiast kułackiego Chrystusa...

Fiłat uśmiechnął się do najbliższego narodu i całej okolicznej kwitnącej przyrody.

– Ja, towarzysze, mówię cicho, dlatego że nigdy mnie nie pytano. Myślałem tylko, żeby kiedyś szczęście znalazło się w parobczańskim kotle, ale boję się to szczęście odpijać – niech już lepiej dostanie się innym...

Tu Fiłat pobladł na twarzy i oparł się o ciało przewodniczącego kołchozu.

– Coś ty, Fiłacie?! – zakrzyknął cały kołchoz. – Żyj śmieiej, bojaźliwa duszo, będziesz teraz członkiem! Głoś nam pracę i gorliwość, ostami człowieka!

– Mogę – cicho rzekł Fiłat – tylko że moje serce przywykło do bólu i kłamstwa, a wy dajecie mi szczęście – pierś nie wytrzyma.

– To nic, oswoisz się! – zawołali kołchoźnicy. – Popatrz na słońce, dajcie mu powietrza...

Ale Fiłat tak osłabł ze szczęścia, że osunął się i zaczął umierać od nadmiernego bicia serca.

Fiłata wyniesiono na trawę i położono twarzą do góry, do światła słonecznego. Wszyscy umilkli i stali nieruchomo.

Nagle rozległ się głos jakiegoś przytajonego kułackiego poplecznika:

– To znaczy, że istnieje Jezus Chrystus, skoro pokarał Fiłata parobka!

Fiłat usłyszał te słowa poprzez pomrokę swego gasnącego umysłu i stanął na nogi, bo jeśli potrafił wytrzymać trzydzieści siedem lat życia, to mógł przetrzymać i przemóc śmierć – choćby na ostatnią minutę.

– Kłamiesz, podstępna gadzino! Tu on, czyli ja, stoi żywy, jak widzisz, a słońce świeci nad polami i nade mną! Kułacy przez trzydzieści siedem lat mnie dręczyli i teraz już mnie nie ma.

Zaraz potem Filar postąpił dwa kroki, otworzył oczy i umarł ze zbielełym spojrzeniem.

– Żegnaj, Fiłacie! – powiedział za wszystkich przewodniczący. – Ogromny był twój trud, nie rozpoznany sławny człowieku.

Tu każdy kołchoźnik zdjął czapkę i szeroko otworzył oczy, ażeby wysychały i nie płakały.

...Nieopodal kołchozu „Silny Potok” napotkałem nasyp kolejowy, ruszyłem wzdłuż niego, dotarłem do stacji i dalej pojechałem pociągiem.

W ciągu doby odjechałem na tyle daleko, że wysiadłem z pociągu już w obwodzie ostrogożskim, kolebce najcenniejszej w całym Związku Radzieckim owcy michnowskiej. Jednakże obwód ostrogożski nie ma możliwości zająć się poważnie i planowo hodowlą tej ostatniej z uwagi na to, że suchych, zdrowych dla owiec pastwisk w obwodzie brakuje, a wilgotne i zabagnione pastwiska są siedliskiem wszelkich możliwych infekcji, zwłaszcza zaś askarydozy nerkowej owiec.

Wsie ostrogożskiego rejonu – Olszany, Gumny, Pisariewka, Osipowka, Gniłoje, Sriednie-Woskriesienskoje, Rybienskoje, Łuki, Aleksandrowka – i innych rejonów całkowicie zrezygnowały z hodowania i wypasania owiec, ponieważ porażone powszechnie facjolożą, giną one tysiącami na bagiennych pastwiskach.

Niepełne dane za ostatnie dwa lata mówią o stracie około czterdziestu tysięcy owiec, porażonych askarydozą nerkową, w zaokrągleniu na ogólną sumę pięciuset tysięcy rubli.

Wszystkie preparaty, stosowane w farmakologicznej metodzie leczenia, nie przynoszą pożądanych rezultatów; hodowcy i personel weterynaryjny przekonali się o całkowitej bezcelowości jakiegokolwiek leczenia przy zabagnionych pastwiskach, bowiem owce w każdej chwili, z każdym żdźbłem bagiennej trawy wchłaniają coraz to nową porcję glist.

Z weterynaryjno-sanitarnego punktu widzenia oddawanie podmokłych terenów mikroboom i glistom dla ich bujnego życia i pozbawianie bydła zdrowej karmy, w którą tak ubogi jest

obwód ostrogożski, było niebezpieczne i ekonomicznie nieuzasadnione.

Biorąc to pod uwagę, obwodowy wydział weterynaryjny uważa w swych raportach i planach meliorację – osuszenie bagien i podmokłych pastwisk – za jedyny środek uwolnienia hodowli owiec od nieustannego zagrożenia pomorem i znajduje absolutnie niezbędnym natychmiastową organizację prac przy osuszaniu zabagnionych pastwisk, w pierwszej kolejności wzdłuż biegu rzeki Cicha Sosna i jej dopływów, ponieważ przecina ona cały obwód i jej zlewisko (o powierzchni trzydziestu tysięcy hektarów) po osuszeniu stanie się jego ekonomiczną bazą, a przy okazji zostanie rozwiązany problem hodowli michnowskiej owcy w całym obwodzie.

Kiedyś jednak w całym ostrogożskim obwodzie rozciągały się dziewicze pastwiska, chociaż działo się to nie tylko przed pojawieniem się tutaj owcy, ale i człowieka – przed pojawieniem się pierwszych osad ludzkich nad brzegami Cichej Sosny – albowiem na ów początkowy okres datuje się powstawanie parowów w kredowych warstwach osadowych w związku z gospodarczą działalnością człowieka. Parowy zaś skierowane swymi ujściami ku zlewisku rzeki, nanosiły do niej osady i w ten sposób powodowały spływanie rzecznej wody, rozpoczynając długą epokę powstawania bagien.

Jeśli przyjrzeć się całemu ostrogożskiemu obwodowi, to widać wielką gospodarczą klęskę, spowodowaną szybkim rozrastaniem się bagien.

Ale wraz ze śmiercią rzek nie tylko zdychają owce i upada hodowla zwierząt – zaczyna umierać także i człowiek. Złośliwa, chroniczna malaria jest bardzo rozpowszechniona wśród mieszkańców doliny Cichej Sosny.

Byłoby, rzecz jasna, małodusznością po uświadomieniu sobie tak groźnej klęski nie podjąć próby walki z przyrodą w celu odebrania jej olbrzymich terenów nieużytków, aby dać bydłu pożywną, nie zarażoną karmę, a pracującym ludziom produkcję i zdrowie.

Owa walka z przyrodą o dziesiątki tysięcy zabagnionych hektarów rozpoczęła się w 1925 roku. Projekt prac regulacyjno-osuszających nad Cichą Sosną obejmuje obszar zlewiskowy o długości 40 kilometrów i powierzchni 83 kilometrów kwadratowych. Mniej więcej jedną trzecią wszystkich robót już wykonano; od 1927 roku prace zostały zmechanizowane – rzekę oczyszcza i pogłębia nie człowiek, stojący z łopatą w wodzie, ale pływająca pogłębiarka, przy czym owa zagubiona wśród bagien maszyna może być przedmiotem dumy całej radzieckiej techniki prac ziemnych, bowiem ma ona oryginalną konstrukcję i po raz pierwszy wyprodukowana została w Związku Radzieckim (ani przed, ani po wojnie podobnych maszyn w Rosji nie produkowano, kupowano je zazwyczaj w Ameryce). Jednak radzieccy inżynierowie w walce z bagnami stosują nie tylko maszyny, ale także technikę minerską, wysadzając złogi osadowe i karpiny, duszące rzekę, dynamitem.

Jak bardzo tutejsi mieszkańcy zainteresowani są sukcesem robót, świadczy to, że ich udział w wydatkach, głównie w postaci pracy, stanowi 52 procent całego kosztorysu. Dane te odnoszą się jednak do epoki spółek melioracyjnych, czyli do czasów najprostszych celowych stowarzyszeń chłopskich; teraz zaś, kiedy w dolinie Cichej Sosny istnieją potężne kołchozy, należy oczekiwać znacznie wyższego tempa prac przy osuszaniu i jeszcze energiczniejszego uczestnictwa w nich miejscowych.

Tutejsze chłopstwo już w 1924 roku, kiedy byłem nad Cichą Sosną, wiedziało, że gospodarowanie na zlewisku, a tym bardziej stworzenie z bagna łąki nie jest możliwe dzięki indywidualnym wysiłkom, i w 1925 roku, do momentu rozpoczęcia robót, całe zainteresowane zbiedniałe chłopstwo połączyło się w spółki melioracyjne, czyli załączkową formę spółdzielni produkcyjnej.

Tak wyglądają bogate fakty owej biednej doliny, w której do tej pory toczy się ciężka walka o odtworzenie pierwotnej zniszczonej krainy michnowskiej owcy.

Wydostawszy się z tej zgodnie pracującej doliny na suche miejsca, wkroczyłem do kołchozowej wsi „Poranek Ludzkości”, ujęty zarówno celną nazwą, jak i dodatkowym hasłem

na tablicy, wziętym z systemu metrycznego:

„Wszystkim uciśnionym narodom – na długie lata”. Jasne, że odnosiło się to do kolchozowej organizacji życia i pracy.

Przy kolchozowej rogatce stał pewien stary już człowiek z miłym, ale groźnym obliczem i patrzył na mnie.

– Ktoś ty? – zapyta).

Odpowiedziałem mu w przybliżeniu, jako że pytanie nie było w istocie proste.

– A tyś nie kadra?

– Kadra.

– Gdzie pracujesz?

– W rozumie.

– Dobra instytucja – wchodź, proszę bardzo. Chodźmy, nakarmię cię jajecznicą. A czy wiesz, kim ja jestem?

– Kim?

– A toż przewodniczącym całej hecy nowego żyda, towarzyszem Paszka. Witaj!

– Witaj!

Wcześniej bałem się, czy nadam się do nowego żyda, a teraz widziałem, że im życie nowsze, tym ludzie w obejściu ze mną prostsi i serdeczniejsi.

Wesoła żona Paszki żywo i ze staraniem zrobiła nam jajecznicę, a my zaczęliśmy ją jeść. W czasie jedzenia zapatrzyłem się na połowicę Paszki – była tak ładna, że aż śliczna, chociaż ogólnie już postarzała; nie stąd jednak brały się jej przewagi, ale stąd, że była wesoła i przekonana do swego życia, a oprócz tego mądra i postępową, o czym dowiedziałem się później.

Zdarzało mi się już spotykać wiele kolchożnic podobnych tej kobiecie i zawsze zwracałem uwagę na ich poweselałe usposobienie. Skąd to się bierze, trudno sformułować, ponieważ na kolchożnicach spoczywa teraz więcej trosk i obowiązków niż na gospodyniach indywidualnych, które wszakże są w większości tylko tradycyjnymi, markotnymi i nieoświeconymi babami.

– A zatem jesteś kadra! – pojadłszy, wypowiedział się Paszka (imienia jego ojca jeszcze nie znałem) i tknął mnie w pierś.

– Jestem – potwierdziłem.

– No, a jakbyś tak był fałszywy? – domyślnie przestraszył się Paszka. – Odpowiedz mi na ogólne pytanie: ile potrzeba cegieł, żeby zbudować naukową chatę-czytelnię?

Następne pytanie sprawdzające Paszki było z innej dziedziny:

– Powiadają, że świat jest nieskończony i gwiazd jest bez liku! Błąd, towarzyszu! To burżuazyjna ideologia: dla burżujów wygodny jest taki szeroki świat, ażeby gadom żyło się nieciasno i żeby było gdzie uciekać przed proletariatem. A według mnie, świat ma swój koniec i gwiazdy też można ostatecznie porachować.

Potwierdziłem, że Paszka mówi całkowicie słusznie: wszechświat nie może być tak nieściśle nieskończony.

– A dlaczego elektryczność żelazo lubi, a szkła nie uważa?

– Czy w substancji są jakieś prawidła, czy też same tylko tendencje? Bo mówią, że można zrobić dwie laski równe jedna drugiej! Bzdura! Przez cztery tygodnie strugałem dwa patyki i jednakowoż na pół włoska nijak się nie pokrywały! I gdzie tu prawa równości? Same tylko tendencje i więcej nic!

W miarę możliwości odpowiadałam na wszystkie jego pytania.

– No, wystarczy! – po jakichś dwóch godzinach ustalił Paszka. – Zostań u nas jako kolchozowy technik – rozwiąż wielkie zadanie, żebyśmy dogonili, przegonili i nie umordowali się. Potrafisz? Bo my chcemy zrobić tutaj taki kolchoz, żeby był jak automobil ford i nadał się wedle formy organizacyjnej i dla chłopca z Afryki, i dla biedniaka z Indii.

Jasne?

– Jasne, jasne, tylko niepotrzebne; afrykański chłop sam nie jest głupi.

– On nie, ale ty tak! Przecież ZSRR to najbardziej przodowe po rewolucji państwo! Dlaczego mielibyśmy nie robić dla całego zacofanego świata socjalnych wzorników?! A już wedle naszych wzorników niech tam sobie potem wszechświatowa biedota dopasowuje życie na miarę i z pożytkiem!...

Pomieszkawszy i popracowawszy w „Poranku Ludzkości”, dowiedziałem się o towarzyszu Paszce wszystkich szczegółów jego minionego życia. Owe szczegóły określały Paszkę jako wielkiego człowieka, który wyrósł z pospolitego przyglupka – niechby nawet niektóre jego działania wydawały się niezręczne i śmieszne: mamy przecież przed sobą dopiero początek przyszłego człowieka.

Całe swoje wychowanie i oświecenie zawdzięczał wyłącznie żonie, która doprowadziła go do rozumu i aktywności. Oto, jak rzecz się miała.

W dawnych czasach, przed rewolucją, nikt w pełni nie znał Pawła Jegorowicza, chociaż osiągnął on już wiek dojrzały – wszyscy nazywali go Paszką, bo głupi był jak gleba albo małeletnie dziecko. W tych minionych czasach wy kupował on od wspólnot gminnych parowy i stare studnie – zapragnął choć cokolwiek mieć na własność, ażeby poczuć sens swego życia w państwie. Na nabycie rzeczywistych domów i prawdziwego inwentarza nie starczało Paszce środków i dlatego za swoje folwarki wypadało mu uważać parowy. Podobne miejsca dostawały mu się tanio: pewnego razu za pół wiadra wódki wykupił w gminie wszystkie bagna i piaski.

– Bierz i rządź – wypiwszy i otarłszy usta, powiedzieli gminni chłopci. – Jakaś tam mamizna wyrośnie. Będziesz się miał za gospodarza.

Potem Paszka spędzał życie w parowach i na zarosłych mokrych oparzeliskach. Było mu tam przytulnie, dookoła rozciągała się jego własność i mógł przyglądać się owadom, które bez reszty należały do niego.

Innym razem Paszka zdobył drzewo owocowe. Przechodził obok ziemiańskiego sadu i zobaczył, że po drzewie pełźnie czarny robak. Paszka przestraszył się, że robak zje na początek jedno drzewo, a potem cały pachnący wspaniale sad. A kiedy złączą zniknąć sady, to państwo osłabnie, po czym wtargnie jakaś bosa hałastrą i odbierze Paszce parowy i trzęsawiska.

Wówczas Paszka poszedł do ziemianina:

– Stefanie Jeremiejewiczu! Na twoim drzewie pojawił się czarny robak: on d pożre wszystkie owocowe pnie – pilnuj się!

– Powiadasz, czarny robak! – pogrążony w swym umyśle mówił Stefan Jeremiejewicz. – Cóż to: flora czy fauna? Czarny robak! I coż mam z nim zrobić? Wiesz, co, Paszka, weź to drzewo, wyrwij je z korzeniami i wynieś z majątku, a w domu je spalisz. Ale nie waz się gubić robaków, oglądaj się za siebie i zbieraj robaki w czapkę!

Paszka usunął z sadu zarobaczony drzewo i przeniósł je do swego parowu, gdzie wetknął je w glinę, pragnąc, aby wyrósł mu sad.

Drzewo jednak umarło i nadeszła rewolucja. Bezrolni zaczęli dręczyć Paszkę jako wroga ludu. Z parowu natychmiast go przepędzili, żeby go tam nie było.

I ruszył wtenczas Paszka po kraju, ażeby znaleźć dla siebie nie znane miejsce. Po drodze zdarł z siebie odzienie, poranił ciało i specjalnie nie jadł: będąc zacofanym wyzyskiwaczem, zauważył już, że aby dojść do znaczenia w państwie radzieckim, należy stać się gorszym z wyglądu człowiekiem.

I rzeczywiście – rady wiejskie miały go w poważaniu.

– Oto – mówiły rady wiejskie o Paszce – idzie do nas współbojownik, człowiek uciśniony. Gdzieś ty, towarzyszu, bytował?

– W parowie – odpowiadał Paszka.

Przewodniczący rady wiejskiej patrzył na Paszkę ze łzami w oczach.

– Pojesz mleczka z chlebkiem, a my cię wciągniemy do aktywu: podobni ludzie są nam bardzo potrzebni.

Paszka pił, najadał się i zostawał.

W pewnej wsi zatrzymano go, by prowadził spółdzielnię. Paszka zobaczył towary i żał mu się zrobiło je sprzedawać: ludność wszystko może zjeść i zniszczyć, a pożytek z tego jaki? Mienie zawsze należy przyoszczędzić: ludzi aż nadto, a materializmu mało.

Ze spółdzielni Paszkę usunięto. Po tym wydarzeniu uznał, że nie jest wystarczająco biedny, aby być godnym państwa radzieckiego, i zamienił się w żebraka. Najbardziej obawiał się, że pozbawi się tytułu obywatela i sensu życia w sercu.

Jednakże Paszkę oddano pod sąd jako włóczęgę i nieproduktywnego pracownika, który bezpłatnie marnuje proletariackie pożywienie. W sądzie Paszka powiedział, że szuka najniższego miejsca w życiu, ażeby rewolucja uznała go za swoją konieczność. Teraz chce umrzeć, aby uwolnić państwo od swej obecności i ułatwić mu tym sytuację, tym bardziej że nie ma na świecie proletariusza, który byłby biedniejszy od nieboszczyka.

Robotniczy sędzia wysłuchał Paszkę i powiedział mu:

– Kapitalizm płodził po równi i biednych, i głupich. Z biedotą sobie poradzimy, ale gdzie mamy podziąć głupków? I tutaj, towarzysze, dochodzimy do rewolucji kulturalnej. Dlatego uważam, że tego towarzysza, imieniem Paszka, należy wrzucić do kotła rewolucji kulturalnej, spalić na nim skórę ciemnoty, dobrać się aż do szpiku służalstwa, wleźć pod czaszkę psychologii i wlać mu we wszystkie otwory naszą ideologiczną substancję...

Tu Paszka zakrzyknął na okropności kaźni i położył się na podłodze, aby zawczasu umrzeć. Ale wstawiła się za nim pewna damulka, pomocnica sędziego:

– Nie wolno straszyć w ten sposób nie uświadomionego. Najpierw należy się nad nim ulitować, a dopiero potem uczyć. Wstawaj na nogi, towarzyszu Paszka, damy cię za męża pewnej uświadomionej kobitce, która ze współczuciem będzie cię uczyć, jak być towarzyszem i światłym obywatelem, dlatego że zrodziła cię kapitalistyczna pomroka.

Od tej pory oddano Paszkę babie za męża, a on ze strachu przed nią zaczął żyć jako uświadomiony pracownik, dziękując swemu losowi i władzy radzieckiej, w której rękach ów los się znajdował.

Poczynając od owego jasnego sądowego momentu aż do dziś Paszka wciąż szedł do góry i doszedł do stanowiska przewodniczącego kołchozu – tak bardzo powiększyła się w nim ilość rozumu dzięki wpływowi uświadomionej małżonki.

W rejonie też wysoko ceniono Paszkę jako oddolną sprężynę, która wypycha biedne i średnie masy do przodu; on sam zaś coraz bardziej się gnębił, że nie zna całej naukowości na świecie, i po pięciolatce zamierzał wyjechać, by się uczyć.

Spędziłem w kołchozie „Poranek Ludzkości” wiele czasu: byłem świadkiem zasiewu zbóż jarych w stu czterdziestu procentach w stosunku do planu i uczestnikiem trzech budów – grobli na stawie, spichrza zbożowego i silosu.

Po każdym kolejnym sukcesie Paszka występował na zebraniu kołchozowym i poruszał z grubsza wciąż ten sam temat:

– Ja, towarzysz Paszka, z wami wszystkimi, biedniakami i towarzyszami, dobiję się tego, żeby w ZSRR nigdy nie milkł ryk syren industrializacji, tak jak nad brytyjskim imperializmem nigdy nie zachodzi słońce. Nie koniec na tym: dobijemy się, żeby dym naszych fabryk zasłonił słońce nad Brytanią!... W przyszłym roku powinniśmy wziąć jakąś bohaterską fabrykę, żeby całkowicie zaopatrywać ją w pszeniczne ziarno z naszego kołchozu – niech nasz robotniczy towarzysz zostawi skisły czarny chleb i je nasz świeżutki najwyższej jakości! To mówię ja – towarzysz Paszka!...

★ ★ ★

Dociągnąwszy przy Paszce do początków jesieni i polubiwszy go aż po głęboką przyjaźń, albowiem stanowił żywy dowód, że głupota jest tylko przejściowym stanem społecznym, mimo wszystko jednak pewnego jasnego dnia podałem mu rękę na pożegnanie i pojechałem na uralskie stepy.

– Jedź, dokąd zechcesz – powiedział mi Paweł Jegorowicz. – Wszyscy gotujemy się w jednym klasowym kotle, to i dojdzie do mnie sok twojego życia.

Rozstając się z towarzyszami i wrogami, mam nadzieję, że komunizm nastąpi, zanim przeminie nasze życie, i że na grobach wszystkich wrogów, obecnych i przyszłych, spotkamy się z towarzyszami raz jeszcze i wówczas porozmawiamy o wszystkim ostatecznie.

POWIEŚĆ TECHNICZNA

(fragmenty)

I. CHLEB I LEKTURA

Żył na świecie rycerz biedny...
Puszkin

Były maszynista parowozowy Siemion Duszyn i jego pomocnik Dmitrij Szczegłow po zakończeniu wojny domowej zapisali się na wydział siłowni elektrycznych w Olszańsku. Wieczorem, po nauce, studentom instytutu rozdawano po kawałku chleba, a oni szli do domu, niektórzy zaś zostawali w opustoszałych audytoriach i zjadali chleb na miejscu. Ci, którzy zostawali, zbierali się razem i kredą na tablicy projektowali urządzenie przyszłego świata. Duszyn proponował stworzyć socjalizm w oparciu o zwykłą siłę rzek i wiatru, z których będzie się uzyskiwać elektryczność do oświetlenia i ogrzania mieszkań i do poruszania maszyn, macierzystej zaś, dziewiczej substancji ziemi należy nie niszczyć i nie ruszać – powinna ona posłużyć w przyszłości nauce do sformułowania sądu o niejasnych losach wszechświata i odpowiedzi na życiowe pytanie: czy właściwie działa indywidualny rozum ludzi i ich niewielkie uczucie w sercu, kiedy ludzkość pragnie wyregulować bieg świata, czy też człowiek jest tylko istotą urojoną, a wściekłość jego działań to zmagania czegoś zupełnie nieważkiego, podczas gdy żywioł wszechświatowej substancji znika gdzieś w niewiadomym grzmiącym kierunku ku własnemu podniosłemu końcowi.

Duszyn pragnął, aby ziemia przeleżała jak nietknięty grobowiec, w którym zachowałyby się żywa przyczyna rzeczywistości, tak by socjalistyczna nauka mogła otworzyć trumnę świata i zapytać o to, co kryje się w jej wnętrzu: o co chodzi? – a słuch nauk ścisłych usłyszy wtenczas być może cichą, żałosną odpowiedź.

Duszyn bał się w głębi ducha, iż potomna ludzkość rozwinie taką energię działań, że bez reszty zniszczy całą światową substancję i więcej nic się już nie wydarzy.

Szczegłow także godził się z nienaruszalnością kuli ziemskiej, dlatego że jego ojciec i matka, cztery siostry i siedmiu braci leżeli w mogiłach, a on żył w pojedynkę i miał teraz pociągać do naukowej odpowiedzialności wszystkie niszczycielskie siły niepojętej

przestrzeni. Kiedy wszakże Szczegłow rzucał spode łba spojrzenie w wysoką noc lub patrzył na wyczerpanie ludzi we wzajemnej wyniszczającej szarpaninie, rozumiał, że człowiek jest lokalnym, nędznym zjawiskiem, że natura jest obszerniejsza, ważniejsza od rozumu i że zmarli umarli na zawsze.

Podstarzały student Borgsenius, który zamienił żonę Szwedkę i dwoje dzieci na komunizm w Rosji, dokonał wyliczenia siły rzek i wiatru i siły tej okazało się wystarczająco, aby nakarmić i ogrzać dwadzieścia miliardów ludzi.

Dalej robotnicy studenci dochodzili do zagadnienia elektryczności. Tymczasem już po całym kraju rozchodziły się słuchy o owej tajemniczej sile, o piorunującym przedmiocie, przypominającym ściśle rewolucję październikową, wszyscy zaś myślący bolszewicy także popadali w zakłopotanie wobec faktu elektryczności. W niektórych wsiach, akurat w tych najbardziej odległych i zapomnianych, przewodniczący rad wiejskich razem z kowalami i biuralistami już budowali elektrownie obok publicznych studzien, wykorzystując motocykle, porzucone przez uciekających imperialistów – przy czym, z powodu braku benzyny, motory motocykli chodziły na samogonie, pędzonym ze zboża, ale jako że samogon palił się w motorach źle, to do motoru dodawana bywała miejscowa smykałka maszynisty i motory mimo wszystko pracowały, a w ciemnych chałupinach paliło się światło.

Studenci elektrycy wiedzieli, że owa motocyklowa chałupiana elektryczność jest od technicznej strony błędem, ale serce każdego drżało od wyobrażenia prądu pracującego wpośród mroku i nędzy biedniackiej ziemi. Dowiedziawszy się o czymś takim, Duszyn zaśmiał się z radości i powiedział wszystkim, że od elektryczności w krytej strzechą smętnej chałupce zacznie się, być może, cały socjalizm – że to rewolucja październikowa przekształcona z nadziei w substancję.

– Musimy – powiedział Duszyn – pójść do komitetu partii, niech bolszewicy postarają się o tym pomyśleć, niech nachuchają swoją polityką ciepła do tych elektrycznych chałupinek, żeby nie ostygły i nie zagasły w ciemnym panującym chłodzie.

Komunista Borgsenius zdecydował, że najlepiej, żeby do komitetu partii poszedł sam Duszyn – jest dobrym elektrykiem, choćby nawet na razie bezpartyjnym, niech objaśni ściśły swój pogląd. Duszyn poszedł następnego dnia do komitetu. Komitetem kierował były palacz centralnego ogrzewania Czuniajew, który odznaczał się taką ciekawością, że przeczytał wszystkie archiwa Urzędu Ziemskiego i Urzędu Miar i Wag – przed wrzuceniem ich do paleniska kotła wodnego. Czuniajew przyswoił oświadczenie Duszyna z całą olbrzymią siłą swej duszy, nieustannie gotowej na każde wspaniałe i majestatyczne przedsięwzięcie, i nawet popłakał się ze słabości ludzkiego serca. Jednego tylko nie zrozumiał – zapobiegliwej miłości Duszyna do tajemniczego punktu, który zapalił się w nużącym mroku nędznej przestrzeni, i tego, że być może niczego więcej nie będzie potrzeba do ustalenia komunizmu na ziemi poza rozwojem elektryczności z rzek i z wiatru. Komunizm jest już bliski, kryje się w przewodach rozwieszonych na zmurszałym płocie!

– A co to takiego ta elektryczność? – zapytał Czuniajew, zgodziwszy się już na wszystko.
– Tęcza czy jak?

– Błyskawica – wyjaśnił Duszyn.

– Aha, błyskawica! – przystał Czuniajew. – To tak! No i dobra! Bo to i prawda, że potrzebna nam jest błyskawica! Jakiś się domyślił? My tu już, braciszku mój, do takiej zatury doszliśmy, że naprawdę trzeba nam tylko błyskawicy, żeby rraz i gazu! Naukowo i wystawnie!... No, a tobie czego trzeba?

Duszyn wyraził pragnienie wyjazdu na wieś – żeby obejrzeć elektrownię, a potem doprowadzić do wytwarzania elektryczności w skali ogólnonarodowej.

– Burżuazja, towarzyszu Czuniajew, dlaczego była kulturalna? – zapytał Duszyn. – Miała proletariata, który pracował, a burżuazja tylko odżywiała się i rozmyślała.

– Ona nie rozmyślała, ona się rozmnażała – poprawił Czuniajew. – Udawała, że się

rozmnaża, a wychodziła z tego sama tylko rozkosz...

– Dobrze, nie rozmyślała – zgodził się Duszyn. – Ale miała czas na rozmyślania. A proletariats przecież nie ma nikogo – samemu wypada mu pracować i nie ma kiedy zastanowić się nad rozmaitymi problemami świata! Toteż niech teraz elektryczność popracuje, a klasa robotnicza pomyśli – czeka ją w jej przeznaczeniach wiele zadań!...

– Znowuż słusznie! – zawołał Czuniajew. – Niech klasa robotnicza popracuje ze światopoglądem, a nie z miotem, niech teraz elektryczność kanalia się pomęczy! Bo ona nie jest żywa?

– Nie wiadomo – odparł Duszyn. – Jest tajemnicza.

– A niech tam! Działaj! Jak co trzeba, przychodź do mnie – przez okrągłą dobę!

– A jak by tu zacząć działać? – zapytał Duszyn.

– Jak, jak! – zirytował się Czuniajew; on sam potrafił działać bez niczego, nawet bez wytycznych. – Powołuję komisję na całą elektryczność w guberni, a tyś jej przewodniczący! Jesteś członkiem partii?

– Nie.

– To nic. Będiesz wyjątkiem... A dlaczego nie jesteś członkiem?

– Sam nie wiem – odrzekł Duszyn.

– I niepotrzebnie! I na próżno! Do niczego! – wyraził się Czuniajew. – Coś ty, nie chcesz budować z nami sensu życia wpośród całej substancji? Obcys czy jak?

– Nie, jestem swój – powiedział Duszyn i zdumiał się, że całe masy, cała partia budują wszechświatową prawdę, a on myślał, że tylko on jeden tego pragnie.

– No, idź sobie – dziwnie popatrzawszy na Duszyna, ustalił Czuniajew. – Nie ma się co teraz bezpośrednio szarpać w potrzebie: zrobimy elektryczność i cały komunizm gotowy. Niczego mocniejszego od elektryczności przecież jeszcze nie ma?

– Nie ma – potwierdził Duszyn.

– No, to nam pasuje! Działaj, podążaj szybciej w dal, bo to żyje się i serce boli: ni to wszystko naprawdę, ni to na żarty...

– Co naprawdę? – zapytał Duszyn.

– A każdy przedmiot – objaśnił Czuniajew – i człowiek, i wicher... Bo przecież w pojedynkę nie rozstrzygniesz nigdy: rozumu przymało i horyzont za bliski, a z całym masami może i wyjaśnimy centralny punkt ogólnoswiatowego nieporozumienia. Myślisz, że burżuazję zwyciężyliśmy dla samego triumfu czy co: zwycięzcy, niby, i bohaterowie stuleci!? Dla dalszego postępu, oto dlaczego. Burżuazja to tylko jedna, najbliższa przegroda, a dalej jeszcze tysiące innych... Cóż począć: trzeba cierpieć, cały świat jest naukowym problemem, a masy rozwiązują go swoją mordęgą.

– A co, towarzyszu Czuniajew, jeśli nauka ujrzy w końcu, że świat składa się z samych problemów?

Zawziętość myśli pojawiła się na czerstwym, dobrym obliczu Czuniajewa:

– Ach tak?! Dlatego pewnie z całych miliardów lat nic nie wychodzi!... No i dobra! My wtenczas od razu z tych problemów zrobimy jedną załatwioną sprawę! Taki już ze mnie człowiek! I całe nasze masy takie! Wywiemy się akuratnie, skąd wziął się człowiek: od małpy albo jeszcze gorzej! Wykopiemy wszystkich nieboszczyków, samego ichniego naczelnika Adama znajdziemy, postawimy na nogi i zapytamy: skądęś się wziął, albo Bóg, albo Marks – gadaj, starowino! Jeśli powie prawdę, wskresimy mu Ewę, a jak nie – będziemy resocjalizować. Tacy z nas ludzie! My żyjemy odpowiedzialnie! My jesteśmy straszni!

Duszyn w milczeniu zbadał działanie elektrowni, nie zwracając się do zadumanego mechanika. Pod siodełkiem motocykla odczytał numer maszyny: JR-401 i zdziwił się, bo był to numer jego parowozu; pod numerem zaś znajdował się jeszcze drobny napis po angielsku, który w przekładzie oznaczał oddział wojskowy: „7. Brytyjski Królewski Dywizjon Kolonialny”.

Przewody od elektrowni szły przez wieś pod ziemią, w głuchym kablu, a wieczorem uroczyście jaśniały okna chałupek, chroniąc przed mrokiem rewolucję.

Wraz z rozpoczynającą się nocą Duszyn wszedł do pewnej biedniackiej sadyby: zobaczył, że czworo dzieci leży na ławkach i patrzy na mrugające światło elektryczne, z ciekawości nie chcąc spać; ich matka też popatrywała z pieca na światło, spodziewając się, że czegoś takiego być nie może i że wkrótce ono zgaśnie, sam zaś postarzały gospodarz siedział przy stole i czytał przy świetle książkę, powtarzając głośno sylaby kolejnego słowa: mo-mo-mo.

Duszyn przywitał się od progu ze wszystkimi i usiadł z boku, obserwując rzeczywiście palącą się dwudziestopięciowiecową żaróweczkę. Naczytawszy się, gospodarz siedliska złożył książkę, zawinął ją w stary herbowy papier i schował w kufrze pod kluczem: wysoko cenił drukowane myśli, bo pobudzały jego własny pomyślnik; nie wiązał nadziei z niczym oprócz nauki i kochał wolność sercem imperialistycznego niewolnika, zamkniętego tymczasowo w nędzarskiej lepiance.

Kiedy już nagadali się przez godzinę, dopiero wówczas mieszkaniac chaty podał gościowi rękę i wyszczególnił się: „Iwan Matwiejewicz Aguriejkin, bezkonny biedniak, żyję niespecjalnie, ale teraz mam nadzieję”.

– I na cóż to macie nadzieję? – zapytał Duszyn.

– Sprzęgają nas z nauką – odrzekł Aguriejkin i wskazał na światło elektryczne – myśl ogólnoswiatowa wychodzi nam naprzeciw, a ja na nią patrzę i mam nadzieję...

Tu Aguriejkin wykręcił żarówkę z oprawki i światło zgasło. Aguriejkin uważał, że nie należy tracić teraz bez umiarkowania narodowych sił, ponieważ są już one substancją naukową – elektrycznością. Dalsze rozmowy toczyły się już w ciemnościach, a dzieci wciąż nie spały i coś naszeptowały, coraz bardziej dziwiąc się trwodze życia ogarniającej ich drobne, chude ciała. Aguriejkin zaś, mimo że był półanalfabetą, zdążył w czasie rewolucji przeczytać tyle książek, że jego umysł ruszył z miejsca i dążył w taką dal poznania zagadek, gdzie nie wiadomo, co było. Elektryczność, astronomię, siłę ciężenia i inne dane naturalne Aguriejkin wyobrażał sobie nie w sposób logiczny, ale pod postacią kwitnącego burzana szalejących zjawisk, w którego gęstwinę wyprawi się błaznić na wieki nowa uczona ludzkość, uwolniona od powszedniej troski o własne wyżywienie.

Pozostawiwszy Aguriejkina, by myślał o wolności człowieka w gąszczu światowych sił, Duszyn ruszył dalej ulicą elektrycznych lepianek. Na całej przestrzeni rozpościerała się ciepła obszerna noc, niektóre dziewczyny chodziły po drodze ze swymi kawalerami i bezświadomie szumiały w parowie łopiany. Duszyn zszedł do parowu, postął tam na odludziu, wsłuchując się w robocze dudnienie oddalonego angielskiego motocykla, po czym skierował się do następnej ludzkiej sadyby.

Oprócz pożaru, wichury, ulewnej nawałnicy i innych wiejskich plag istniały najwyraźniej odmienne żywioły, które niszczyły chłopskie chaty z mocą i zawziętością huraganu. Obok jednej takiej chałupki Duszyn przeszedł był, ale potem wrócił do niej ze smutnymi odczuciami. Owa chata przypominała staruszkę, która pozostała sama na świecie, pogrzebawszy wszystkich swoich bliskich, i która nie ma dla kogo żyć, stoi więc w niechlujnej bezprzytomności, w omdleniu rozpacz. Wokół chaty nie było podwórza, odchody życia wylewały się wprost na ziemię, a grunt tak był nimi przesiąknięty, że trawa od dawna nie mogła rosnąć; wiatr albo czas usunął z dachu jakiegokolwiek resztki słomy, tak że nędza niczym nie potrafiła okryć cienkich żerdzi; tynk ze ścian, a nawet glinę wyżarły deszcze, tak że na zewnątrz widać było sam kościec chałupiny – krzywe kłocę, ułożone tutaj nie później niż w połowie dziewiętnastego wieku, bo od potarcia palcem sypało się z nich próchno; spośród trzech okien owego domostwa dwa zaślepione były na głucho jakimś barachłem, ale za to trzecie świeciło jasną elektrycznością, a na parapecie kwitła w doniczce roślina; ani fundamentu, ani przyzby chata nie miała, a jeśli nawet i coś miała, to już dawno zapadło się to w ziemię – tym sposobem owa zmurszała budowla pogrążała się we własną

mogile. Duszyn zaczął nasłuchiwać: w chacie ktoś niewyraźnie śpiewał, chyba kobieta.

W tej chatce Duszyn spotyka dziewczynę. Rozpoczynające się zbliżenie przerywa przybycie kilku młodych ludzi, w ślad za którymi przychodzi wkrótce ojciec dziewczyny²⁹

– Witajcie, kawalerka! – powiedział stary do wszystkich obecnych. – Patrzajcie no pannę! – zwrócił się do córki. – Dzisiaj w gościach u gospodarza był pop z gminy, a ja zlewki dopilem i resztki zebrałem dla córki...

Jego czarnowłosa córka natychmiast zaczęła zjadać zbywające kęski z dostatniego stołu, a starzec, podchmielony gospodarskimi niedopitkami, zaczął opowiadać wszystkim kawalerom o wielkiej idei ogólnoświatowej spekulacji, którą raptem nabił sobie dzisiaj głowę na widok biesiadnego świętowania darmozjadów.

Stary pobiegł zaraz do sąsiadów po papier i atrament, a wróciwszy, polecił jednemu z kawalerów pisać niezwłocznie list do Włodzimierza Iljicza Lenina. Kawaler usiadł przy stole naprzeciwko panny i zaczął pisać, nie interesując się ogólnoświatowym problemem. Starzec ze szczegółami wyłożył swoją ideę przekształcenia złej burżuazji w pokorną i biedną ludność, całkowicie uległą radzieckiej władzy. W tym celu należy w głównym banku kapitalizmu zastawić całą rosyjską republikę radziecką – i jej lądy, i całą wodę na nich, i nawet przestwór nad nimi. A kiedy bank kapitalizmu wyda obligacje na tysiące miliardów rubli, to te obligacje powierzyć Włodzimierzowi Iljiczowi, a on niech gra wtenczas proletariackimi talonami wśród światowych rekinów na scenie drapieżników giełdy. Jako że Włodzimierz Iljicz jest geniuszem i jako że będzie bogatszy od każdego imperialisty, to wynika z tego, że z łatwością ogra wszystkie te elementy, które rozkradły świat do swoich kieszeni. Czyli że całą burżuazyjną ziemię można całkowicie zawojować poprzez spekulację na ogólnoświatowej giełdzie, poprzez same tylko działania arytmetyczne na obligacjach w genialnym umyśle.

– Podpisz się teraz detalicznie za mnie! – z namiętnością swego triumfującego uczucia zawołał starzec. – Pisz. Pisz szczegółowo: parobek kułaka Bołdyriewa, Iwan Polikarpowicz Wieźliczew, sprzyjający w pełni kontratakowi przeciwko pasożytom... Włodzimierzu Iljiczu, spekuluj, proszę, doprowadź burżuazję do kapitalnego krachu, do całkowitej straty i nędzy, zagrab zagrabione, działaj ekonomicznie, mój staż życiowy lat pięćdziesiąt siedem, haruję ciężko od pół wieku, cała nadzieja – w marzeniu, stan rodzinny – wdowiec i córeczka Lida, duma republiki z powodu urody... Wszystkoś nadażył zapisać?

– Spokojnie – odpowiedział kawaler i nie wiadomo dlaczego na końcu listu narysował aeroplan.

Rankiem Duszyn i Lida postanawiają, że zostanie ona jego żoną i wyjedzie do miasta, gdzie będzie czekała na jego powrót. W polu napotykają procesję z powodu suszy. Duszyn rozmawia ze staruszką, która nie nadaża za procesją.

– Nie módlcie się, babciu, lepiej do nikogo. Natura nie słyszy ani słów, ani modlitwy, ona boi się tylko rozumu i pracy.

– Rozumu! – wyrzekła stara z jasną świadomością. – A toż ja tyle lat przeżyłam, że u mnie tylko rozum i kości – tyle wszystkiego! A całe ciało dawno zrzucone przy robocie i przy kłopotcie – we mnie i umrzeć mało czemu zostało, wszystko już pomalutku umarło. Popatrz na mnie, jaka jestem.

Starucha stanęła przed Duszyinem i uniosła spódnice, zapomniawszy o wstydzie, o miłości i o każdym innym nieuchronnym uczuciu. Pewne było, że na starej niewiele pozostało żywej

²⁹ Fragmenty wyróżnione kursywą pochodzą od nieznaney osoby, która w ten sposób streszczała nie zachowane (?) części utworu. Szerzej na ten temat zob. **Posłowie**.

substancji, nadającej się dla śmierci i do gnicia w ziemi. Jej kości przestały rosnąć już w dzieciństwie, kiedy brzemie pracy i głodu zaczęło niszczyć dziewczynkę; kości zaschły, zaostrzyły się i zamarły na wieki. Zyskane dzięki mleku matki ciało także wycieńczyło się później od ciężkiej harówki, zdolnej utrzymać nie tylko starą, ale jeszcze dodatkowo dwudziestu ludzi, gdyby tylko prawa natury i ludzkie nie rozkradały owoców jej przygarbionych wysiłków. Ale owa kradzież dotknęła nawet samego dała starej chłopki, które było teraz obłupione i zniszczone niemal bez reszty – tylko w wyobraźni można dojść, jak coś takiego się stało – ale tych, którzy mianowicie zjedli żywą wagę staruszki, można było zebrać faktycznie i zabić. I teraz oto Duszyn widział nędzną istotę, której kości nóg wyrznięły się jak noże poprzez brązową, poznaczoną bliznami skórę. Duszyn pochylił się w zwątpieniu i pomacał tę skórę – była już martwa i twarda jak paznokiec, a kiedy Duszyn, nie czując wstydu ze zgryzoty, jeszcze bardziej obnażył staruchę, to nigdzie nie zobaczył na niej włosa, a między ostrzami jej kościanych nóg leżały zwisające na zewnątrz ciemne, wysuszone resztki macierzyzny jej dzieci; od starej nie dochodziły ani zapach, ani ciepło. Duszyn zbadał ją niczym minerał i jego serce natychmiast zamarło, a rozum popadł w zatwardziałość. Starucha pokornie zdjęła chustkę z głowy i Duszyn ujrzał jej wyłysiały czerep, popękany na kostnych szwach, gotów rozpaść się i bezpowrotnie wydać prochowi oszczędnie nagromadzony cierpliwy rozum, który poznał świat w trudzie i nieszczęściu.

– Przyjdzie zima, to pójde się pokłonić sąsiadowi – powiedziała starucha – i u bogacza w sionce popłacę: może na jagłach przeżyję do lata, a latem już swoją zaturą będę się wypłacać – za worek, półtora worka... Alboż to my samemu Bogu tylko się kłaniamy? My i wiatru się boimy, i ślizgawicy, i ulewy, i suszy, i sąsiada, i postronnego przechodnia – na wszystko krzyżem się żegnamy! Alboż modlimy się dlatego, że kochamy? Nawet i kochać nie mamy już czym!

Zadarła kaftanik i pokazała pierś – wisiały na niej dwa ciemne martwe robaki, które wżarły się w głąb klatki piersiowej: pozostałości po sutkach – skóra zaś zapadła się między żebra, ale serca, jak bije, widać nie było, a cała pierś była tak mała, że mogło się tam pomieścić tylko coś mizernego i suchego – odczuwać cokolwiek starucha nie miała już czym, pozostawało jedynie męczyć się i odbierać świat myślowo.

Taka pierś niczego już nie mogła robić – ani kochać, ani nienawidzić, i tylko można było złożyć na niej głowę i zapłakać.

Duszyn odszedł precz, przepelniony duszną boleścią. Tłum narodu zbierał się ze spoczynku, a cała procesja, modląca się o deszcz, skierowała się z powrotem do wsi. Została tylko starucha, która rozmawiała z Duszynem, i jeszcze Lida Wieźliczewa, uciekająca z ojcowskiego domu.

Duszynowi udaje się przystosować wiejską stację motocyklową do napędzania pompy w celu podlewania pól wdów i czerwonoarmistów, ale ciśnienie wody okazało się niewystarczające.

Przewodniczący nie zmartwił się jednak i powiedział:

– Niech nauka tylko kroplę da, wyciśniemy morze masą mas!

Następnego dnia przewodniczący, referent i dwadzieścia kobiet wraz z wychudłymi mężczyznami biedniakami poprowadzili wodę pod szpadel w głąb pól, ale jej strumień zanikł już w pobliżu pompy. Ze szczelin w ziemi, bojąc się wilgoci, powyłaziły jaszczurki, pająki, suche rozczłonkowane robaki niewiadomego gatunku i twarde drobne owady, zupełnie jakby zrobione z miedzi – to one miały odziedziczyć ziemię, jeśli chmury nie zbiorą się w atmosferze.

Wdowy otoczyły Duszyna i zaczęły wymyślać mu za brak wody i za nędzną siłę maszyny. Duszyn wysłuchał ich bez obawy, a przewodniczący wygłosił słowo końcowe. Patrzył w przymglone, dręczące niebo zdziczałego lata i mówił wpośród ciszy beznadziei natury:

– O, obywatele, trwonić głos nie czas, kiedy susza gnębi nas... Stoi naszej władzy nauka na straży i jaszczurczy Babilon plagi wraży powalimy zręczną ręką wraz. Nie myśmy stworzyli nieszczęsny boży świat, ale my go urządzimy i będzie jak bajka. Życie potężne, piękne niby kwiat i wystarczy dla wszystkich kurzego jajka. Czuwa i myśli nasz komunista i rąk mu nikt nie połamie. O, nie – on ziemię całą do czysta w nauki weźmie władanie... Ogromne jest nasze serce bojowe, odrzuć, zgłodniały biedniaku, bolączki, przeminą te czasy grobowe, będziemy jeść ciastka i pączki. Ja też trzy dni głodny chodzę, żona moja do grobu wpędzona, dziecińy biegają ku niebodge na mogiłę spojrzeć, gdzie srodze matka przeklina swą dolę rodzona! Ale się serce smutkowi nie podda, łaza moja pali się w głowie, o tu! i myśl światowej sprawie odda, jej olbrzymiemu hu-hu!...

Przewodniczący wyczerpał się od upału i rodzinnej rozpaczki po zmarłej żonie, ale jego oblicze nie utraciło dobroci swoich zmarszczek, i babom-wdowom, które patrzyły na niego z przerażeniem jako na dziwowisko i z uśmiechem miłości jako na swoją władzę, powiedział prozą:

– Idźcie, kobiety, kopać kanał dalej, ta maszyna to enterwentka, była z białymi, to i nie chce teraz dawać wody na proletariackie pola...

Duszynowi udaje się udoskonalić swoją pompę, która zaczyna dawać duży strumień wody, ale wybucha bimbrownicza aparatura.

– Idźcie no teraz – powiedziała staruszka – idźcie i chłopa mojego postawcie na nogi: chłopina cały struchlał, obalił się i serce w nim nie bije... Cały czas dla was, cholery, ten zajzajer warzył...

Duszyn obojętnie zwrócił się do mechanika motocykla, ucząc się zachowywać zimną krew w gąszczu wydarzeń. Mechanik przedstawił staruszkę jako żonę starego, który przez okrągłą dobę pędzi samogon specjalnej mocy do motoru. Z braku przyrządu, który by mierzył procenty mocy, staruszek brał zazwyczaj w jedną rękę kubek, w drugą kawałek posolonej zakąski – cokolwiek, na przykład kartofel – i czekał z naczyniem przy odprowadzającej rurce kotła, dopóki nie zacznie stamtąd kapać. Ale tym razem starowina nie od razu określił jakość paliwa; zakręcił kranik na rurce, dołożył drew do ognia i zasnął z opróżnionym kubkiem i kartoflem w rękach; w kotle wzrosło ciśnienie, nastąpił wybuch i potężne gazy wyrzuciły staruszkę z bimbrowniczej chałupki razem z drzwiami i dwoma okiennymi ramami. Teraz staruszek leży i stopniowo dochodzi do siebie, a jutro zacznie się remont uszkodzonej aparatury.

– I czego byście chcieli? – zapytał Duszyn staruszkę. – To awaria i rada wiejska nie ma nic do tego.

– Jakiej by ulgi – odpowiedziała wyrzekająca stara.

– Dobrze, zapiszę – odrzekł Duszyn i wyjąwszy notes, zapisał: „Jak najszybciej trzeba pokojowo zorganizować świat”.

Stara od razu się uspokoiła. Duszyn dał mechanikowi ustną instrukcję co do pompy i ruszył na piechotę wśród ciepłej nocy do Olszańska.

Duszyn wraca do Olszańska. Tam między Lidą a Szczegłowem zaczyna następować zbliżenie.

W ciągu lata Duszyn pisał wedle wskazówek Czuniajewa książkę o budowie komunizmu w oparciu o siłę elektryczności, przy czym wyobrażał sobie elektryczność jako potężną umocnioną osłonę, wzniesioną wokół przyszłej pokojowej sadyby ludzkości w celu obrony jej przed śmiertelnym zamętem natury.

Lida uczyła się w grupie przygotowawczej szkoły partyjnej, ale wieczorami była wolna i często spotykała się ze Szczegłowem, który żył bez zmian. Chodzili we dwoje po polach,

siadywali nad parowami i mówili rozmaite nic nie znaczące rzeczy; Szczegłów nijak przy tym nie mógł zgłębić ani umysłu, ani zalet Lidy – niczym się nie interesowała, szybko zapomniała, czego ją nauczono, była głupia i piękna jak anioł na cerkiewnej ścianie. Ale w zamian za to prostota, jak ożywczy wiatr, mieszkała w duszy Lidy i często obejmowała ona Szczegłowa przyjaźnie i nie odmówiłaby mu niczego, gdyby tylko zechciał, bo nie ceniła się i niczym się nie chlubiła.

Duszyn i Szczegłów skończyli kurs. Odbył się wieczór pożegnalny. Wystąpienie Czuniajewa.

Czuniajew odsłonił przed obecną milkliwą młodością nieskończoność historii i pod koniec oświetlił ją elektrycznością, reflektorem proletariatu.

– W jednej ręce klasa robotnicza trzyma miecz władzy – wyrzekł Czuniajew w pograżoną w milczeniu i w marzeniach salę instytutu – a w drugiej... a drugą ręką chwyta błyskawicę nauki, żar-ptaka całej pracującej ludzkości... Niech żyje nasz robotniczy inżynier, uzbrojony rozum proletariatu!...

Po przemówieniu przyszała pora na zabawę. Pojawiła się nieliczna orkiestra armii pracy i zaczęła nieśmiało grać pierwsze walce pokojowego życia. Studenci odwykli od tańczenia z powodu wojny i zajęć teoretycznych i nie szło im do muzyki – jedynie Lida od razu poczuła melodię i szybko dopasowała do niej ruchy nóg. Jednakże na dźwięki orkiestry do sali instytutu napchało się wkrótce z dworu jakichś odkurzonych powojennych dziewoi kuchennego gatunku, które przyprowadziły ze sobą pod rękę przyszłych bikiniarzy. Towarzystwo energicznie opanowało salę i pokazało klasę taneczną młodym inżynierom, którzy trzymali się na uboczu od tej żywiołowej ulicznej młodości. Tylko Lida nie wytrzymała, przyłączyła się do tańczących i wziął ją najprzystojniejszy chłopak, oceniwszy wartość jej urody, a pozostawiona przyjaciółka owego chłopaka poszła do toalety, żeby popłakać sobie tam z zazdrości i przyszykować dla swojego adoratora chemicznego lubczyku przeciwko czarnowłosej rozłącznicy.

O północy Duszyn wziął Lidę pod rękę i poszedł z nią spacerować, korzystając z jasnej nocy. Razem z nimi szedł Szczegłów, niosąc na piersi swą bezsilną rękę, zupełnie jakby trzymał niewidzialne dziecko.

Wszyscy troje szli w milczeniu, w niejasności swego dalszego życia, albowiem rewolucja w tych latach była jak przestrzeń – otwarta, wolna, ale jeszcze nie wypełniona – i jej pustka ciążyła na sercu strachem i zagrożeniem. Duszyn naszeptywał w myślach słowa o elektryczności i w swej wyobraźni zasiedlał nią całą rewolucję. Popatrywał od czasu do czasu na odległe gwiazdy i uznawał z uspokojeniem, że są to krótkie spięcia prądu w chaosie sił nieskończoności.

– Sienią, uczyli was, ile jest gwiazd na niebie? – zapytała Lida męża. – Tam na pewno jest ciekawie!

– Jest ich nieskończona liczba – odrzekł Duszyn.

– Jakże to? – z rozczarowaniem ponownie zapytała Lida, bo nie wiedziała, ile to jest: nieskończoność. – To ile w końcu?! – dopytywała się.

– Mówi się tobie – nieskończona ilość!

Lida jednak nie przestawała się dziwić: zwykła była wyobrazać sobie wszystkie słowa w postaci przedmiotów i dopiero wówczas w nie wierzyła, nieskończoności zaś wyobrazić sobie nie mogła.

– Jak tak, to niech tam! – powiedziała Lida, odrzucając nieskończoność jako rzecz nie istniejącą.

– To błąd – odezwał się Szczegłów – nieskończoności nie ma, my po prostu nie wiemy jeszcze, ile jest gwiazd na niebie, i to wszystko... A ta liczba jednak istnieje. Gdyby gwiazd było bez liku, to ani jedna nie świeciłaby na niebie...

– A pewno! – powiedziała Lida, nie rozumiejąc, ale ze zdumieniem wyczuwając proste założenie Szczegłowa.

– Ale jak cały świat zaczął być?

Szczegłow popatrzył na nią z właściwą mu łagodnością.

– Na pewno nie było niczego i żadnych reguł też nie było – powiedział. – I wydarzyło się coś bez ładu i składu – wszystko naraz, jak wybuch, i zrobiło się ciekawie...

Szczegłow sam nie wiedział, dlaczego wydawało mu się to prawdą; jego umysł pracował czasami bez impulsu, przypadkową siłą swych wewnętrznych rezerw, i z łatwością ukazywał jasne przestrzenie rzeczywistości.

Duszyn zmilczał niezadowolony: postanowił nie trwonić więcej swoich sił na rozmyślania o nieskończoności, ponieważ nie ma ona związku z ludzkością na powierzchni ziemi, ze zorganizowaną budową wspaniałego życia.

Wyszli w pole; światło księżycy oświetlało kamienie bitej drogi i obwisłe zapyłone liście przydrożnej wikliny. Droga uchodziła gdzieś w powiat, w mrok nieokrzesań i spustoszenia, gdzie właśnie spali ludzie, którzy utracili sens swego życia w ciężarach wyniszczającej pracy dla burżuazji, wpośród tyfusu i wojennych pobojozwoisk. I dopiero teraz – od kilku miesięcy – mogli zobaczyć, że na ziemi zrobiło się cicho, zaczęli orać, siał i trudzić się tylko dla siebie, a siła znużonego ludu gromadziła się w jego wnętrzu na nowo. Ponownie powracał spokojny byt natury, swobodne tchnienie wszystkich jej materiałów.

Łakomie spoglądał Duszyn w ową mętną okolicę: znał sposób ustanowienia powszechnego szczęścia dla wszystkich spokojnych, pracujących zgodnie ludzi, była to – elektryczność; i ślina zebrała się w ustach Duszyń od przecucia triumfu pożytku i rozumu. Warsztat szewca, piec do wytopu metalu, lampka na stole naukowego wodza, ciepła woda dla dziecka, pług, mknący pociąg, nawadnianie, kwitnące jabłoniowe sady – wszystko to powinna wywoływać potęgę elektryczności, rozedrgana siła wszechświata, działająca pod rękami człowieka.

Przypuszczając, że medycyna też rozwinie się dzięki elektryczności, Duszyn ścisnął łokieć Lidy i postanowił kochać ją dzisiejszej nocy, zużywając nieco samego siebie, a w przyszłości elektryczna medycyna potrafi odtworzyć jego ciało poświęcone dla kobiety.

Zaczęli wracać i ruszyli najbliższą drogą. Pod miastem przeszli przez tory kolejowe i minęli parowozownię. Za parowozownią szyny uchodziły prosto w step, ale nie było tutaj jazdy, a na szynach zarosłych burzanem stały martwe parowozy – zajmowały całą wiorstę. Dwaj młodzieńcy i młoda kobieta wraz z nimi przechodzili powoli przed frontem ostygłych, niemych parowozów, wymieniając ich imiona i przydomki. Siegl, Baldwin, Szczupak, Voquelin, Owieczka, E-pięćoosiowy, Compound, znowu Owieczka...

Zatrzymali się. Mieli przed sobą maszynę „O-w 401”. Z dziwną zadumą Duszyn i Szczegłow obmacali swój parowóz i poszli spać; obydwaj ze smutkiem poczuli, że rewolucja coraz bardziej blaknie i stopniowo się przeżywa, maszyny umierają ze znużenia, a pola stoją puste. Duszyn jednak wierzył w ekonomiczne, całościowe odtworzenie wszystkiego, co zniszczone i utracone. Szczegłow zaś żegnał się z tym, co ginie, na zawsze.

Czuniajew polecił skasować na wieki niewielkie etapowe więzienie przesyłowe, gdzie mieszkało teraz dziesięciu postarzałych kontrrewolucjonistów. W owym opróżnionym więzieniu umieszczono następnie komitet do spraw organizacji elektryczności w guberni, a piwnice starego budynku przeznaczono na magazyny i warsztaty montażowe tegoż komitetu.

Duszyn porzucił kolejową budkę i razem z Lidą rozlokował się w więziennej wieżycie strażniczej, gdzie znajdował się mały pokój i rozciągał się widok na wszystkie strony świata.

Po przeniesieniu się do więziennego mieszkania Lida całymi dniami przesiadywała przy południowym oknie i wpatrywała się w puste, jakby ze snu, pola późnego lata. Uczyć się w szkole partyjnej zaprzestała – nie miała zrozumienia dla nauki, lubiła bowiem o niczym nie myśleć, nudzić się sama ze sobą, nucić piosenki, wpatrywać się w przestrzeń albo odczuwać

coś prostego i smętnego w swoim leniwym ciele. Wykładowca statystyki zakochał się w niej ze łzami w oczach i kilka razy całował ją na korytarzu szkoły partyjnej, mimo że Lida nie znała nawet słowa „statystyka”.

– Niech sobie będę głupia, niech sobie będę puszczańska, niech tam przepadnę – mawiała do siebie Lida i opuszczała głowę na parapet.

Szczegłow przynosił jej książki, ale czarnowłosa kobieta nie mogła ich długo czytać – chciało się jej samej działać i odczuwać, a nie przyglądać się, jakie uczucia mają inni: to zbyt nudne i zazdrość bierze. Wieczorami spodobało jej się chodzić w gości do jednego z dawnych towarzyszy Duszyna z instytutu – inżyniera Stronkina, który miał dziewiętnastoletnią piękną żonę, piękność-trzpiotkę, która wstawiała codziennie o czwartej po południu.

Siemion Duszyn widział, jak jego żona się smęci, ale nie mógł nieustannie dbać o jej nastroje, bowiem bez przerwy, z całą namiętnością doznającego rozkoszy umysłu, pracował nad projektami elektrowni. Nie mógł chodzić z nią w gościnę, bo po pracy starał się natychmiast położyć spać, aby zachować zdolności umysłowe na kolejny dzień pracy i nie trwonić ich na głupstwa rzekomych rozrywek. Dlatego Lida chodziła w gości do Stronkinów sama. Zastawała tam młode towarzystwo: młodzieńczy gospodarz włączał stary zagraniczny patefon, ujmował za ręce dziewczyny i kobiety i wciąż nucąc o radości życia, zaczynano poruszać dolnymi częściami tułowia. Lida tańczyła bez ustanku, pocąc się w ruchu, tracąc przytomność w kolejnych obcych objęciach, w wytężonym natłoku triumfujących dźwięków melodii, w bezmyślności swego bijącego serca. Roztrzepana gospodyni, czarnowłosa jak Lida i jej rówieśnica, płaśła w męskich spodniach i śpiewała ochryple, wspaniale, jak Cyganka.

Po wieczorze Lida i Szczegłow zbliżają się ze sobą ostatecznie. Dochodzi do tego z powodu litości Lidy do jednorękiego, cichego Szczegłowa.

O pierwszej w nocy nieoczekiwanie przyszedł Duszyn; przyprowadził ze sobą ogromne chłopisko z różowymi dziewczymi policzkami, lat około dwudziestu pięciu. Chłopisko to, obejrzawszy zabawę i Lidę w spodniach, zwróciło się do wszystkich:

– Ach, wy, łajdackie nasienie! Wlepić by wam gwoździa, żeby przed każdym stanął zaraz problem żyda albo śmierci!...

Ponieważ Lida była ze wszystkich najładniejsza, faciura z miejsca do niej podszedł:

– Ej, ty, pępuszek, podaj mi do ust bułeczkę ze stołu!

Lida nie wiedziała jeszcze, co to za jeden, więc dała mu jaglany placuszek:

– Masz, wtrząchaj: jakiś nienormalny!

Ale ledwie przybyłe chłopisko doniosło jedzenie do ust, jak dostało zaraz „gwoździa” od kucharki – ścierką po twarzy. Chłopisko odwróciło się do niej, w mgnieniu oka pochwyciło babę w pół i obok gości, którzy się przygięli, rzuciło ją w stronę drzwi; kucharka w locie otworzyła drzwi i gruchnęła gdzieś w korytarzu na kufer.

– Jak równouprawnienie – objaśniło chłopisko – to faktycznie.

Duszyn w milczeniu oglądał dziwny dla niego stan ludzi – przecież ich zabawa nie miała podstaw w jakimkolwiek osiągniętym już sukcesie i wydawała się Duszynowi prostackim i podłym żywiołem – jak na przykład burżuazyjna lubieżność kulinarna. Na widok żony, śmiejącej się wespół takiej głupoty, a przy tym obciążonej w spodnie przesiąknięte zapachem nieznanego mężczyzny, w Duszynie z początku żałośliwie zapłakało serce, ale wsłuchał się w nie i odrzucił: o losie ludzi decyduje nie serce, ale elektryczność, a prócz tego w Lidzie interesuje go tylko malutki fragment, detal, i to tylko po to, żeby nie tracić zdolności do pracy przez czepiającą się go z natury miłość – od czasu do czasu niszczył ją w akcie małżeńskim.

Duszyn przedstawił żonie i Szczegłowowi różowego potężnego chłopaka – był to jego służbowy pomocnik, starszy elektromechanik Iwan Żarienow; po poznaniu Lidy Żarienow nie przeprosił jej za chamstwo przy stole, ale odwrócił się i stał się purpurowy od przyływu siły

wstydu.

Wyszli we czworo od Stronkinów i na ulicy Duszyn poprosił Lidę i Szczegłowa, by pomogli jemu i Żarienowowi ograbić stary grobowiec księcia Mecklemburg-Schwerin.

– Potrzebne nam są olbrzymie środki na organizację elektrycznej gospodarki w guberni – wyjaśnił Duszyn. – Prosiłem towarzysza Czuniajewa, a on mówi: zaczekaj, nie ma budżetu. A ja czekać nie chcę, nie mogę marnować na próżno czasu rewolucji...

– Tam u księcia leży złota szabla, a jej rękojeść jest cała w brylantach! – powiedział Żarienow. – Dziadek mi mówił: sam widział szablę, bo przy nim chowali księcia w cynkowej trumnie.

– A stalowy nóż gdzie masz? – zapytał Duszyn.

– W domu – odpowiedział Żarienow. – Sznury też tam leżą. Chodźmy szybciej, dopóki jest noc.

Zdobyć szpady od razu się nie udało, bo szukali nie w tej trumnie. Kontynuowane są poszukiwania środków.

W południe przyszedł Żarienow; ukradł gdzieś rurę kanalizacyjną i złożył ją w piwnicznej magazynowej kazamacie pod kancelarią elektrycznego komitetu. Żarienow nie miał na razie co robić, zwlekał więc zewsząd rozmaite techniczne dobra, gdziekolwiek tylko wpadły mu w ręce: do robót elektryfikacyjnych dużo potrzeba sprzętu i urządzeń. Tam, gdzie Żarienowowi stawiano opór, groził siłą władzy albo dawał oponentowi po prostu „gwoździa” i taszczył na ramionach metalowe wyroby do zasobów przyszłych urządzeń elektrycznych. Pieniądzy jednak w elektrycznej kancelarii nie było w ogóle i przystąpić do budowy choćby pierwszej elektrowni było nie sposób. Żarienow obiecywał przynieść dzisiejszego wieczora kilkaset milionów rubli z 1920 roku, ale nie było pewne, co z tego wyjdzie. W Pałacu Pracy organizował duży płatny wieczór „cudów naukowo-technicznych”, przy czym jako główny cud rozgłoszono to, że publiczność przez trzy godziny będzie znajdowała się pod wodą. Dla dokonania owego cudu Żarienow zamierzał powiesić pod sufitem na haku wiadro z wodą – wówczas publiczność niewątpliwie i rzeczywiście znajdzie się pod wodą. Przed tym numerem Żarienow chciał zaś pograć trochę na harmonii, opowiedzieć jakąś bajkę z życia i krótko podyskutować w duchu naukowego lotu na księżyc.

– A nie pobiją cię potem? – zapytał Duszyn.

– Toż przecie nie na śmierć – zaprzeczył Żarienow. – No i co takiego! A ja ile gwoździ wrzepię! Ja też, braciszku, będę czerpał z mięsem – na całego!... Daj mi tylko na jakie dwie, trzy godziny twoją Lidę!

– A po co?

– Niech sprzedaje ze mną bilety, a potem ucieknie z pieniędzmi do domu!... Bo mnie niewygodnie będzie bić się z pieniędzmi w rękach – jeszcze odbiorą!

Duszyn poszedł do pokoju Lidy w wieży strażniczej, przeszklonego dookoła – ze wszystkich stron świata. Lida leżała na swoim łóżku i obserwowała, jak kręgiem toczy się czas w postaci światła słonecznego, które zmierzało już ku wieczorowi.

– Czego ty wciąż leżysz jak jaka głupota? – zwrócił się Duszyn do żony. – Naukę rzuciłaś, niczego nie robisz, nam tacy nie są potrzebni.

– Niepotrzebni? – zapytała Lida. – A ja wam siebie nie oddaję, to i nie musicie mnie brać. Jestem potrzebna sama sobie... Trudzę się tak ciężko, jakbym ziemię orała...

– I czym się tak trudzisz?

– Rosnę. Przecież z głodu w dzieciństwie nie dorosłam!

Mówić o tym, że nosi już w sobie zarodek dziecka, Lida nie chciała – postanowiła ukraść je mężowi, uciec stąd daleko, ukryć się z nim i urodzić je w tajemnicy i w samotności.

– Wiesz co – powiedział Duszyn – idź z Żarienowem do Pałacu Pracy i przynieś stamtąd pieniądze w worku. Masz worek?

– Znajdzie się – odpowiedziała Lida i wstała z łóżka.

Kiedy wyszli, Duszyn długo chodził po pustej starej więziennej forteczce; w wielu celach okna były teraz rozbite, przez kraty wlatywały ptaki i nocowały na miejscu dawnych więźniów. Potem Duszyn zszedł do pomieszczenia piwnicznego, do ceglanej przestronnej kostnicy, chłodnej i przygnębiającej, przypominającej wspólny grobowiec dla biedaków. Tutaj w dawnych czasach z pewnością wykonywano wyroki na tych strasznych, skoncentrowanych ludziach, którzy do tego stopnia nie lubili bezsensownego żyda na świecie, że bez trwogi przyjmowali śmierć, dlatego że ich ciała były częścią skażonej rzeczywistości, myśl zaś, promieniejąca prawdą, nie mogła się męczyć i mroczniała w przeszłym, wychudłym ciele z dumą niezwykłości, jakkolwiek zabijała na zawsze.

Teraz w piwnicy leżały rury, deski, żelazne fajki kranów, zwoje przewodów, części silników, motory maszyn parowych i nawet jeden nieduży dzwon cerkiewny. „Może on też się przyda dla przyszłej techniki!” – powiedział Żarienow, kiedy przytoczył ów dzwon. A Duszyn uznał, że dzwon przydać się może: jako przeciwwaga, jako obciążenie albo dla jeszcze innego celu.

Duszyn usiadł na korpusie silnika i zapatrzył się na ów miły mu świat żelaznej mocy, na owe uchwyty dźwigni, zdolnych poruszyć żałosny ciężar ziemi, na ów spokój pewnej, chłodnej dyktatury człowieka. Serce Duszyna stało się lekkie, nikt mu teraz nie był potrzebny – ani żona, ani ludzka przyjaźń, i nie trzeba więcej rozmyślać nad przestworem żyda – jest ono oświetlone zwyczajnym światłem pracującej nauki, po ziemi trzeba iść i działać, a nie dręczyć się znieruchomiałą medytacją, i nie przywiązywać się sercem do urojenia serdecznego pociągu.

Duszyn wyjął z marynarki notes, przeliczył dobytek według spisu, wytarł szmatą kurz i pogładził ręką metal, upewniając się co do jego faktu, co do realności swego szczęśliwego poczucia prawdy.

Ściemniło się. Duszyn starannie zamknął piwnicę, sprawdził kilka razy solidność zamka i poszedł do pokoju w wieży strażniczej. Położył się na łóżku Lidy i z cichą rozkoszą pomyślał o chwili, kiedy skromny, rozumny klucznik całej zorganizowanej ludzkości zamknie w wiecznym magazynie wszechświatowo-historyczną prawdę, równie faktyczną, naturalną i pewną, jak inwentarz.

Duszyn zapadł wyczerpany w drzemkę, przez cały czas obserwując gasnące niebo, narodziny gwiazd, smagłe, spalone światło suchego lata na odległych polach; widział w tym wszystkim przyszłość, widział to jako bliski dorobek ekonomii politycznej i bał się, że przepadnie tam coś bez zarachowania i przeznaczenia.

Lida przyszła i roześmiała się. Przyniosła worek z milionami pieniędzy zebranych na wieczorze „cudów nauki i techniki”. Duszyn przeliczył zaraz dokładnie wszystkie pieniądze i posegregował je w paczki.

– Sienią, daj mi rubelków na bluzkę i pantofle, spekulanci sprzedają – poprosiła Lida. – Przecież chodzę prawie bosa, a bluzka całkiem kusa, zaraz zaczną cycki wyłazić.

Duszyn poczuł żar gniewu w całym ciele; mógłby oddać Lidzie milion w złocie, gdyby miał tyle własnych pieniędzy, ale oddać środki przeznaczone na elektryczność mógł tylko po zniszczeniu swego serca, dlatego że w Wierczowce i po całym świecie noszą ikony i żyją kościane staruszki.

– Nie ważyć się! – zakrzyknął, przyciskając do siebie worek niczym dziecko. – Nie ruszaj niczego, to nie nasze pieniądze... Będziemy budować elektrownię w Wierczowce! – dodał spokojniej. – Tam twoja ojcowizna.

– A na diabła mi teraz ojcowizna! – odrzekła Lida głęboko urażona. – Chcę bluzkę; na ojcowiznie głodowałam... A tyś chciwy, tyś posiadacz, ty już teraz nie jesteś mi mężem, tyś kadet!...

– Poszła, ty, ścierwo jedno! – obojętnie już powiedział Duszyn, myśląc jedynie o

pieniądzach i o pracy. – Sprzedaj moją zimową kurtkę i kup sobie, co chcesz... A gdzie Żarienow?

– A ile dadzą za twoją kurtkę? – pocieszona nieco, pytała Lida. – Pewnie mało!

– Na spódniczkę ci starczy.

– A Wańkę Żarienowa, zdaje się, zaczęli tam bić – mówiła Lida. – Kazał mi szybko uciekać, złapałam pieniądze i w nogi...

– Za co tu bić? – zapytał Duszyn. – Czego oni szarpią człowieka?

– To już nie wiem, wszystko, co było, oszustwo, a pieniądze dawaj, powiadają, z powrotem.

Duszyn przewidująco odniósł pieniądze w niedostępne miejsce więzienia i przyłożył je cegłami w wyrwie w ścianie. Kiedy poszedł, zjawił się Żarienow, pobity, z poszarpanym nie tylko ubraniem, ale i żywym mięsem, szczęśliwy jednak, że uratował pieniądze.

Szpadę znaleźli, ale do powrotu Duszyina Żarienow i Lida zdążyli wyjąć z niej kilka kamieni i sprzedać spekulantom. Nakupili strojów dla Lidy, jedzenia, wódki. Duszyn przepędził ich oboje.

Po śniadaniu Duszyn poszedł do Czuniajewa porozmawiać o dalszych perspektywach elektryczności – czekać i żyć w takim położeniu dłużej nie sposób: naród wszędzie słaby i trzyma go nie ciało, ale rewolucyjna dusza – zapas radości i nadzieja. A nam potrzebna jest nie tyle radość, co ekonomia polityczna, oparta na elektrycznej technice.

Czuniajew, kiedy przyszedł do niego Duszyn, powiedział wszystkim wojskowym, którzy byli w jego gabinecie:

– Wyjdźcie na pół godziny. Dajcie mi zamienić słowo z naszym inżynierem!

– Siadaj, inżynierze!... Paskudnie rzeczy stoją.

– Co paskudnie? – zapytał Duszyn.

Czuniajew nabił machorką drewnianą fajkę i zapalił, uśmierzając dymem niepokój w umyśle.

– Wszystko paskudnie. Chłop cały się morduje – z biedy, z suszy, z dumoty – i nas też umordował. Gdzie twoja błyskawica, żeby biedę przeciąć? Obiecywałeś przecież... Napisałeś książkę?

– Napisałem, już jest drukowana.

– Jutrzejszego dnia przeczytasz ją na głos naszemu aktywowi po zebraniu partyjnym... Przyjdź! Ja teraz wieczorem położę się w komorze i przemyślę twój problem. Nic u ciebie nie wychodzi?

– Nie – odrzekł Duszyn. – Próbujemy zbierać środki, trudno... Mamy wszystkiego jakieś tysiąc rubli w złocie...

– To głupstwo – w zamyśleniu wyrzekł Czuniajew. – Z budżetu państwowego nic ci dać nie możemy, tu pies pogrzebany! Bo i zresztą żadnego budżetu nie mamy – żyjemy jakoś tak sumarycznie i chaotycznie, dojadamy czerwonoarmijne resztki... Posłuchaj, a nie można by bez pieniędzy dostawać elektryczności?

– A jak, towarzyszu Czuniajew?

– A prosto z nieba, z jakiejś otchłani w naturze – skąd chcesz!

– Nienaukowo, towarzyszu Czuniajew!

– Jak tak, to nie trzeba!... Zaczekaj, a nie można by nauki wymyślić lepiej, żeby była dostępna dla biedoty?

– Elektryczność to najtańsza nauka, towarzyszu Czuniajew. Elektrotechnika to najwierniejsza przyjaciółka biednych mas!

– Dobrze powiedział! – ucieszył się Czuniajew. – Lubię żyć, lubię, kiedy rozum się przede mną iskrzy... Ciężko nam, ale ze wzruszeniem w sercu: chleba tylko mało, czarnego diabła! Patrzę, uważasz, na chleb i widzę w nim kułaka: leży ciemne głupie ciało i pachnie nawozem.

Łajdactwo, a nie pokarm! A rewolucja głoduje! Oto idiotyzm drewnianego życia!... No, idź, daj mi się zająć bandytyzmem, przyjdź jutro do klubu naszej partii... Nie, zaczekaj!

I tutaj ze skrepowaniem, z nieochotą Czuniajew skarcił Duszyzna za wieczór w Pałacu Pracy.

– Po co ty tak, towarzyszu Duszyn?... Na tym niczego nie zbudujesz, na haniebnych kopiejkach! Zbierz wokół siebie ludzi, zorganizuj ich siłę, wyjaśnij im naszą myśl – oto, gdzie będą twoje miliardy! A oszukiwać nie potrzebujemy, kantować swoich towarzyszy nie należy – kto wtedy będzie budował elektryczność, jeśli ty ich oszukasz!

Czuniajew odwrócił się do okna i zamilkł. Duszyn wyszedł, nie powiedziawszy ze zgryzoty niczego.

Po drodze do więzienia Duszyn wstąpił do Szczegłowa do fabryki dachówek; ów w zamyśleniu kreślił lewą ręką parowy młyn, a w sercu marzył o Lidzie. Duszyn doczekał końca pracy, a potem ruszył ze Szczegłowem po wieczornym mieście – tą samą trasą, jaką chadzali, będąc jeszcze chłopcami; wydawało im się wówczas, że na świecie trwa nieprzerwanie lato; zima i deszcze nie zachowały się w ich pamięci.

*Spacer Duszyzna i Szczegłowa na cmentarzysko parowozów, gdzie stoi ich parowóz.
Rozmowa przy parowozie.*

– Mitia! – rzekł Duszyn. – Tak żyć nie można: spójrz, jaki mrok dookoła! Czyżby mieli nas pogrzebać w mogiłach bez śladu? Przecież na świecie żyje Lenin!... Zbudujmy elektrownię! Szybko zorganizujemy socjalizm i przewycięzimy samą istotę materii!

Szczegłow milczał: nie podobała mu się pycha Duszyzna, który dążył do absolutnego technicznego podboju całego wszechświata; nie czuł w sobie takiej cenneści, która byłaby bardziej ważką niż cały świat i godną panowania. Szczegłow miał w duszy skromność, a człowieka umieszczał w ogólnym i długim szeregu przypadków natury, nie wstydząc się żyć w takich okolicznościach; przeciwnie, owa skromność świadomości pozwalała mu myśleć nad szalejącymi żywiołami naturalnej materii z maksymalną starannością i pilnością, bez obawy o utratę własnej godności. Nie wierzył w to, że kosmos rozpoznał się w człowieku i od tej chwili dąży rozumnie do swego celu: Szczegłow uważał to za reakcyjne odrodzenie światopoglądu ptolemejskiego, który ubóstwia człowieka i rozbija go wobec strasznej, skrzeczącej rzeczywistości, nie liczącej się z pocieszycielskimi kombinacjami w ludzkiej głowie. Dlatego Szczegłow milczał.

– Nie chcesz? – zapytał Duszyn. – No cóż, obejdę się i bez ciebie.

– Obejdź się! – odrzekł Szczegłow.

– Jesteś więc przeciwny elektryczności i komunizmowi? Nie wierzysz?

– Nie, nie jestem przeciwny... Powiedz mi, ile – wedle twojego projektu – potrzeba miedzi na przewody?

– Dobrze, powiem: około miliona ton na początek!

– Do widzenia! – rzekł Szczegłow. – Z takimi projektami nie pokonasz nawet gubernialnych ciemności, gdzie tu do mroku wieczności, jak mówisz...

– Jesteś głupcem i łajdakiem!

Szczegłow blisko i bez wzburzenia podszedł do Duszyzna.

– Siemionie, spójrz tylko – wskazał w noc nad pustymi gruntami ornymi. – Patrz, jakie wszystko ciche i ciemne, obok nas martwy parowóz, w brzuchach ludzi przelewa się nie oczyszczone proso, a z głodu nie starcza nawet sił, by normalnie biło serce – ono bije wolniej... Czy rozumiesz z tego cokolwiek?

– Dalej!

– Dalej, no cóż... Kiedy będziemy mieli choćby tysiąc ton miedzi, to najpierw trzeba z niej robić kopiejkę, a nie przewody...

– Nędzny i nieszczęsny człowieku! Siedzi w tobie mieszczański rozumek, dlaczego byłem

ci towarzyszem – pojąć nie mogę!

Na moście turkotała czyjaś samotna furmanka, księżycowa poświata pojawiła się na wschodzie. Szczegłow zniósł w milczeniu słowa Duszyna, po czym powiedział:

– Gdybyś wsłuchiwał się nie w swój rozum, ale w cały ów świat, który dla jakichś celów chcesz podbić – pewnie po to, by go zniszczyć – gdybyś stał się prostym, smutnym, być może, człowiekiem, wówczas nawet furę, która jedzie teraz po moście, mógłbyś wykorzystać dla elektryczności... Siemionie! Wiesz, co! Na świecie jest dużo wszystkiego... I u nas w guberni znajdują się dobra! Nie dręcz się próżnymi fantazjami, patrz na zwykłe przedmioty, zestawiaj je po nowemu dla swoich potrzeb! Oto rzeka, po moście przejechał chłop, tam masz torfowisko, dalej więzienie – spróbuj z tego zrobić elektrotechnikę...

– Kanalia z ciebie i głupi człowiek, Dmitriju, i żaden tyś elektryk.

– Niechby nawet... Tylko się nie obrażaj. Cóż, żegnaj!

– Teraz i na wieki – odrzekł Duszyn i nie podał Szczegłowowi ręki.

Szczegłow w milczeniu zszedł z tendra i poszedł nocować – kątem u obcych ludzi.

Duszyn przez całą drogę do więzienia wypowiadał głośno przekleństwa i śmiał się z łajdaka – dawnego towarzysza – dobijając w sobie stygnący pociąg do niego.

Zebranie partyjne w Olszańsku przeciągnęło się do późna i dlatego referat Duszyna o elektryfikacji guberni trzeba było odłożyć. Duszyn dowiedział się o tym od Czuniajewa wcześniej i o jedenastej wieczorem skierował się do domu. Na ulicy padał jesienny deszcz, nie było żadnych ludzi, koło klubu paliła się w latarni świeczka. Jedynie w pobliżu latarni chodził tam i z powrotem samotny człowiek, trzymając zgiętą prawą rękę na wysokości piersi; skulił się od zimnego deszczu i zwalniając kroki, wsłuchiwał się w żałośliwie skrzypiące gdzieś w zaułku okiennice, szarpane wiatrem niepogody. Duszyn od razu poznał Szczegłowa, ale poszedł w milczeniu swoją drogą. Szczegłow przeczytał zapewne w gazecie, że będzie referat Duszyna o elektryczności i czekał teraz na zakończenie zebrania, żeby wpuszczono go do sali.

W domu, w więziennej wieży, Duszyn długo wpatrywał się w ciemne pola, zalewane deszczem, i myślał o Lidzie, która zniknęła mu w owej mgłę; nie zadreślał się sprawą swej byłej żony, ale ogarniało go rozdrażnienie z racji psychicznego nieuporządkowania ludzi i wyraźnie uświadamiał sobie znikomą wagę smutku swego serca.

– Płacz, płacz – radził własnemu skarżącemu się uczuciu – ale pamiętaj: nie tylko ty płaczesz na świecie i pocieszał cię nie będę!

Położył się spać i zaczął myśleć o oświetlonych nocach komunistycznej ludzkości, kiedy marsz życia będzie trwał przez okrągłą dobę... Zbudził się we łzach; deszcz przestał padać – na dworze było cicho i ciemno, wszyscy ludzie jeszcze spali, jedynie gdzieś daleko, w więziennych podziemiach, piszczący szczury.

Duszyn otarł łzy, zapalił ogień w lampie i zaczął czytać elektromagnetyczną teorię światła Maxwella; jego serce się uspokoiło, był rad, że nikogo przy nim nie ma – ani Lidy, ani towarzysza – i nikt nie kradnie mu siły, niezbędnej dla polepszenia sytuacji całej pracującej ludzkości. Przeczytał w książce: „Przestrzeń, nasycona światłem słonecznym, bardziej przewodzi elektryczność niż ciemność i jednocześnie tylko w oświetlonym świecie, a nie w ciemnościach, rozwija się życie. Przypomnijmy teraz, że światło słoneczne jest elektromagnetyczną pulsacją fal o wysokiej częstotliwości...” Duszyn czytał z rozkoszą i odwracając stronicę, wyglądał je ręką i przetykał ślinę zachłanności na naukę. Wkrótce nadszedł ranek. Duszyn ubrał się i rzucił się do działań w walce ze światowym zamętem...

Po miesiącu w biurze partii odbył się odczyt Duszyna o elektryfikacji guberni. W gazecie „Czerwona Gubernia” przez dwa dni drukowano ogłoszenie o tym odczycie, dlatego w klubie zawczasu zebrali się poważni ludzie Olszańska: wykwalifikowani robotnicy, starzy i młodzi inżynierowie, bolszewicy, wykładowcy politechniki, gdzie uczył się Duszyn, agronomowie,

lewi eserzy, dowódcy armii pracy i inni rozmaici obywatele. Szczegółow także znalazł się na tylnej ławce. Za czerwonym stołem prezydiąlnym stanął Czuniajew i powiedział:

– Towarzysze! Sensem życia rewolucji październikowej była wojna z burżuazją wszystkich krajów i narodów i rozgromienie jej na śmierć.

Teraz to zadanie wykonane zostało doskonale, w czym więc dzisiaj będzie dalszy centralny sens Października – niech każdy z was zakłopocze się tym zwyczajnym pytaniem i co wyjdzie! Jasne, że ja myślałem mocniej od wszystkich, że ludziom trzeba dać w pierwszym rządzie chleb i lekturę, trzeba ich karmić i oświecać. Dalej – trzeba uruchomić fabryki, naprawić linie kolejowe, pomyśleć o nowych armatach, o suszy, o kulach i karabinach, bo wrogowie żyją za granicą cali, a my straciliśmy broń, nie ma się czym bronić, a wojna będzie jeszcze nie jedna, ale cała seria... I tu staje przed wami zagadka życia rewolucji październikowej! W czym rzecz, pytam was! Rzecz pachnie śmiercią!... Przychodzi do mnie rozmaita siła robocza, nie znani ludzie: agronomowie, hodowcy bydła, doktorzy, lewi eserzy i inna inteligencja. Jeden mówi, że cała zagadka, cały korzeń życia w zagospodarowaniu terenu, drugi chce wielopolówki (a reszta, niby, niech, przepadnie!), trzeci człowiek uważa, że trzeba kopać więcej studni na polach, wtenczas rewolucji od razu zrobi się lżej, jeszcze jakiś, jakby eser, aż włosy rwie z siebie, żeby tylko chłopu dali spokój na sto lat i żeby robotnik żył jako siła pomocnicza dla rolniczych osad, żeby niby proletariackie miasto stało się kolektywnym parobkiem wsi... Ale nic z tego, wara, mówię takim... z bolszewicką zachłannością na ogólnoswiatową gospodarczą prawdę! Tylko towarzysz Duszyn, nasz radziecki młody inżynier, myślowo zahaczył mi serce o elektryczność, jako że ten fakt może i orać, i siać, i wodę ciągnąć, i poruszać pociągi, i oświetlać książkę czytającemu ludowi, i – wszystko! Ta siła, towarzysze, pracuje niesamowicie – sama i za wszystkich, jak proletariat w ludzkości, a wszystkie inne siły natury są pasożytami elektryczności!... No, niech teraz Duszyn przeczyta nam swoją książkę, a my posłuchamy i zastanowimy się. Dawaj, Duszyn, poruszaj w pierwszym rządzie, jak mamy zorganizować więcej chleba i lektury...

Do stołu podszedł wychudły, skromny Duszyn. Zaczął niegłośno czytać swoje dzieło o zastosowaniu elektryczności dla socjalizmu, a ludzie w sali wstrzymali oddechy z uszanowania dla słów inżyniera, który w skupieniu zaszczeptał elektrotechnikę i substancję gospodarczą swojej ubogiej, zbolałej, ale ukochanej ojczyźnie. Duszyn napisał książkę z suchym żarem powagi, z czujnością jedynej wiary pośród licznych przesądów, ze smutnym odczuciem cierpienia prostego ludu, rozbrojonego przez wojnę i nędzę w obliczu natury i burżuazji, z ostatecznym wyrachowaniem na opanowanie całej nieskończonej natury, tak aby przekształciła się na zawsze w ogrodzone, uporządkowane podwórko ludzkości...

We wzruszających miejscach lektury Czuniajew otwarcie ocierał łzy na rozrzwionych oczach, a niektórzy z obecnych w tym samym czasie uśmiechali się.

Duszyn dostrzegł jedynie te uśmiechy ironii i od czasu do czasu popatrywał z nienawiścią na salę; jedynie łzy i ciepło dużego ciała Czuniajewa, siedzącego obok, uspokajały go. Kiedy Duszyn raz się pomylił i zaniepokoił, Czuniajew pomógł mu, jakby wszystkiego się domyślając:

– Czytaj, czytaj... Coś ty! Przecież władza w naszych rękach: niech się szczerzą, my też nie zapłacemy!

Duszyn zrozumiał, że należy być obojętnym na uśmiech wroga proletariatu i elektryczności i kontynuował czytanie swego dzieła z godnością posiadacza prawdy. Duszyn mówił o absolutnej ekonomii w stosunku do przyszłego świata ludzi, albowiem jest to znacznie ważniejsze od dzisiejszej miłości i radości: wszak ludzkość raczkuje jeszcze w dzieciństwie, dlatego zdolna jest rozdrapać cały świat na swoje zabawki i przyszła społeczność ocknie się bez dobytku i zginie bezdomna. Duszyn natężył myśl i mówił więcej, niż było w książce: elektryczność to uchronienie ogólnoswiatowej substancji przed

szaleńczym roztrwonieniem jej w śmiertelnym prochu i chłodzie przestrzeni; trzeba okiełznać bezużytecznych włóczęgów natury – podniebne kaskady wiatru i przyziemne strumienie wody – i żyć na ich rachunek, nie marnując i nie spalając materii. Materia owa przyda się dla socjalizmu i dla naukowej oceny istoty i przeznaczenia całego wszechświata, dla podniosłej namiętności skoncentrowanego społecznego zadumania. Nasza przejściowa zaś, pomocnicza epoka powinna starać się żyć za pomocą wykorzystywania rzeczy nieużytecznych albo niezniszczalnych – wspomnianego wiatru, płynącej wody, starych drzew, które przeszkadzają rosnać nowemu lasowi, i martwej trawy – torfu; w epoce przejściowej, jako w czasach małoważnych, konieczne jest żyć skąpo, z cierpliwością ubóstwa, z wyczerpaniem całego ciała w trudzie instalowania nowego świata, z przeświadczeniem w sercu, że obecny człowiek jest jedynie przejściową, nie wartą wzmianki nędzotą, która nie będzie miała ogólnoswiatowo-histerycznej wartości i przypadnie w zapomnieniu jak niebyły kłopot, jak przestarzała figura...

Czuniajew z czułością patrzył na zebranie, ale nie chciał żyć w innej, triumfalnej, zwycięskiej epoce – godził się na to, by zginąć bez pamięci w okresie bieżącym: pał je licho, to przyszłe szczęście, kiedy nieznanymi ludziami, może jakieś sukinkoty, zaczną bytować w doskonałości; pracował, by uratować biedotę dzisiejszą, a nie jutrzejszą. A jednocześnie Czuniajew dumny był, jako partyjny ojciec, z błyskotliwego, głębokiego inżyniera radzieckiej szkoły, który wyrósł całkowicie pod ciepłą ręką partii. Patrzył z wyższością na salę, kiedy Duszyn poruszał sprawy teorii albo wyliczenia sił elektrycznych, i śmiał się powściągliwie, usuwając z oczu łzy rozrzewnienia. Porażały go zwłaszcza pojęcia drżącej częstotliwości prądu, wysokiego napięcia i zbłąkanej fali elektromagnetycznej – zachichotał wprost z radości, a potem, mamrocząc, wymyślał sam sobie za niewłaściwe zachowanie.

Przebrnąwszy przez część z wyliczeniami, Duszyn ponownie wrócił do ludzi i radził żyć teraz bez zbytku, w większym nacyłku, albowiem podstawowe prawdy życia już zostały ustalone: w społeczeństwie jest to Lenin, w produkcji zaś – elektrotechnika. W celu urzeczywistnienia owych prawd niezbędne jest zużycie bez litości w walce i w pracy jednego albo dwóch pokoleń: litość i delikatność, jeśli tylko przeważą, przyhamują zapał i robotniczą wolę ludzi i niechybnie doprowadzą do kapitalizmu z maszyną parową.

Wiele z tego, co przedkładał Duszyn, Szczegółów słuchał ze wstydem i ze strachem: nie podobała mu się już sama posepna wiara dawnego towarzysza w elektryczność, obiecująca – choćby nawet na pewien czas – przygiąć ludzi w nieszczęściu nędzy, w daremności życia osobistego i w cierpieniu. Szczegółów nie rozumiał konieczności takiej bezdusznej potulności, a ponadto Duszyn niewłaściwie pojmował energię elektryczną.

Dawni wykładowcy Duszyna siedzieli przycichli, z wyrazem pokory na twarzach wobec ignorancji, którą w zamęcie wojny sami wpoili owemu studentowi. Jeden tylko postarzały elektrofizyk Prieobrażeński otwarcie uśmiechał się zrozumiawie, bo wiedział, że elektryczność może to i owo robić, ale bynajmniej nie wszystko – orać pola, na przykład, nie może. Świat, wedle wyobrażeń Prieobrażeńskiego, już dawno zmurszał, a ludzkie marzenia nie dają w ostatnich tysiącach rezultatu: przykładowym nieudacznikiem był Jezus Chrystus, który z rozpaczą po zmarłym przyjacielu Łazarzu wynalazł wskrzeszenie martwych, ale zrealizował ów wynalazek jedynie w skali doświadczalnej – w przypadku Łazarza i samego siebie; jednakże samego siebie Chrystus wskrzesił nie całkiem skutecznie: po wskrzeszeniu nie było już po nim śladów na ziemi, a to oznacza, że zginął. I w ciągu dwóch tysięcy lat nikt następny nie został wskrzeszony z martwych: tak powolnie wdrażane są najbardziej niezbędne wynalazki w obecnej epoce zubożających, wymęczonych pokoleń. Świat był wspaniały przed jego stworzeniem albo przed wielkim potopem, ale w organizacyjnej chłodnej dyscyplinie, koniecznej dla stworzenia świata (zapewne ogólnoswiatowego imperium z „Bogiem” na czele), a może później, w mętnych wodach potopu, została raz na zawsze okaleczona, przestraszona, rozdarta świeża twórcza energia życia – „dusza”, a teraz „dusza”

zamarła w starczym zramoleniu, w trwodze i w milczeniu na tysiące lat. Z rzadka tylko przez „duszę” ludzkości przepływają fale wspomnień o jej dawnej wolności – i wtedy pojawiają się Aleksander Macedoński, Jezus, Lenin. Tak przypuszczał inżynier Priebrażeński w swej sklerotycznej, kostniejącej głowie, pocieszając się, że bliska mogiła nie jest mu straszna, ale nie spodziewał się, że nieznana szeregową „dusza” zada mu po upływie kilku minut nieodwracalną klęskę: okazuje się, że „dusza” nie pamiętała o swoich biblijnych plagach. Czasami Priebrażeńskiemu wydawało się, że Biblia – jego ulubiona księga – stanowi zbiór czastuszek starożytnych narodów, i wtedy popadał w rozdrażnienie niewiary.

Duszyn kończył. Zaproponował zbudowanie trzech dużych gubernialnych elektrowni spalających torf, ażeby ziemie zajęte przez torf zwolnić dla łąnów zboża; pierwsza elektrownia budowana jest już w dawnym przesyłowym więzieniu gubernialnym.

Po wysłuchaniu wielu nie wiedziało, co powiedzieć, a ci, którzy wiedzieli, przez pewien czas milczeli. Kilku robotników niepewnie zaklaskało Duszynowi w dłonie; spodobała im się nadzieja na pewny i obfity maszynowy chleb, bo mieli już dosyć głodu z kapryśnym, nerwowym chłopem.

Czuniajew surowo przyjrzał się zebraniu.

– No i co milczycie jak nieuki? Co, Duszyn najmądrzejszy? A może opowiadał tutaj głupoty!...

– Absolutna racja – powiedział z miejsca Priebrażeński – inżynier Duszyn mówił tutaj głupstwa...

– To wyjdź no tutaj – zaproponował Czuniajew – objeżdż Duszyna głośno, żebyśmy nie zdurnieli od tej magii...

Elektrofizyk inżynier Priebrażeński wyjął suwak logarytmiczny i zwrócił ku zebranim swoją mądrą, smętną twarz, która wydawała się wciąż jeszcze młoda za sprawą wyrazistości ostrych, bladych rysów. Dzięki nauce prostej jak przyzwyczajenie, podając z pamięci wszystkie wyliczenia, a suwak trzymając jedynie gwoli rzadkiego gestu, Priebrażeński zburzył całą fantazję Duszyna.

– Oświetlić książkę żaróweczką można – oświadczał Priebrażeński. – Zorganizowanie czytelnictwa wśród mas pracujących poprzez wprowadzenie elektryczności jest całkowicie do pomyslenia. Potrzeba na to dwieście tysięcy ton miedzi. Jednakże zorganizować chleb, jak wyraża się towarzysz Czuniajew, nie sposób – na wprowadzenie elektrycznej orki potrzebne są już miliony ton tejże miedzi, nie licząc stali na liny i pługi, specjalnych urządzeń przesyłowych i tak dalej. Trudności konstrukcyjnych tutaj nie poruszam. Chleb, uzyskany w taki sposób, będzie tak drogi, że gdyby zachciało nam się orać, wprzegając do pługa miliardy owadów, ów chleb wydałby się nam strasznie tani w porównaniu z chlebem elektrycznym...

– Ach, wy, sukinsyny! – powiedział Czuniajew o wszystkich, widząc, że elektryczność ginie. – Duszyn, to prawda, co on mówi?

– Prawda, jeśli chodzi o miedź – odpowiedział Duszyn.

– Nieprawda – odezwał się z miejsca Szczegłow.

– Wyjdź tutaj, jak nieprawda! – ucieszył się Czuniajew. – Przyłóż teraz staremu, żeby cud życia nie przepadł na próżno. Wykorzystaj cokolwiek!

Szczeków też wyjął suwak logarytmiczny i przytrzymując go podbródkiem i lewą ręką, zaczął liczyć metal. Wyszło mu, że miedzi potrzeba po dziesięć kilogramów na dziesięćcinę i po pięć kilogramów na obejście, żeby w całej guberni zorganizować chleb i czytelnictwo – orkę i światło. Wypadło wszystkiego trzydzieści tysięcy ton na gubernię, a nie miliony ton.

– Fałsz, ignoranckie brednie! – zawołał z miejsca Priebrażeński. – Nie jest pan elektrykiem!

Szczegłow odrzekł:

– Bo i nie chcę być elektrykiem, jeśli wesz, w którą proponuje nam pan orać, Georgiju Michajłowiczu, orze taniej niż elektryczność. Takiej elektryczności nie potrzebujemy...

– Słusznie, towarzyszu – ponuro i obco powiedział Czuniajew.
– Taką elektrotechnikę należy wyplenić, a nie uczyć jej nas. To pan nie jest elektrykiem, Georgiju Michajłowiczu.

– Jest pan chłopaczkiem! – wyrzekł Priebrażeński i skamieniał na twarzy, zaciskając swoje serce cierpieniem nienawiści.

– Nic takiego, ja też wkrótce się zestarzeję – powiedział Szczegłow, czerwieniąc się ze wstydu swego wieku. – Towarzyszu Czuniajew, kiedy znowu będą u nas dni targowe?

– A cholera ich wie: władzy mi brakuje, bo już dawno bym je przywrócił. A po co ci?

– Są mi potrzebne...

Noc zagłębiała się w swój czas. Cztery duże lampy dopalały się w partyjnym klubie, a na dworze, ziębnąc, skomlał z głodu jakiś piesek – widział światła w oknach i miał nadzieję na sytość. W reszcie miasta było spokojnie, niczego nie było słychać, naród spał, zbierając siły we śnie; z rzadka tylko pokrzykiwał parowóz manewrowy na stacji. Znieruchomiali ludzie, którzy przepracowali cały dzień na samym krupniku, słuchali Szczegłowa, nie pamiętając o swej nędzy, z oczami zasnutymi marzeniami.

...W guberni jest zima. W dni targowe setki wiejskich podwód wraca pustych z bazarów do swoich chłopskich obejść. Na bazarach znajdują się budki do nabijania, gdzie ładuje się akumulatory elektrycznością. Potem chłop wstawia akumulatory do sań i jedzie do swej chałupy. W ciągu miesiąca powinien przewieźć wszystkiego pięć pudów akumulatorów, żeby oświetlać swoje mieszkanie dwoma lampami. A zatem, czytelnictwo można zorganizować prawie bez przewodów...

– Chleb jest ważniejszy od czytania, czego tu różnić głupka! – powiedział ktoś z zebranych z rozdrażnioną mocą w głosie.

– Georgiju Michajłowiczu! – zwrócił się Szczegłow, ośmielony bylejąkością i błędnością codziennego życia. – Proszę sprawdzić mnie, w czym tu nie mam racji! – I zaczął kreślić kredą na tablicy figury i spirale energii. – Zdawaliśmy u pana kolokwia w instytucie, zdajemy je teraz przed głodującą klasą robotniczą...

– Nie mam zamiaru zdawać z panem żadnych kolokwiów! – odpowiedział Priebrażeński.

– Jak to nie mam zamiaru? – zawołał Czuniajew. – Wyjdź tutaj, jak ci mówią! Tutaj stoi nie chłopaczek Szczegłow, ale dorosła klasa robotnicza!

Priebrażeński wyszedł do tablicy.

Szczegłow zapytał go:

– Jeżeli przez cienki miedziany włoszek skierujemy bardzo słaby prąd o niezbyt wysokiej częstotliwości i dużych drganiach, taki prąd bywa w radio – to co stanie się z powietrzem wokół naszego miedzianego włoska?

– Powietrze z dielektryka zamieni się w stosunkowo dobry przewodnik! – natychmiast obojętnie odpowiedział Priebrażeński. – Warstwa powietrza wokół miedzianego włoska będzie posiadała zdolność przewodzenia energii porównywalną z grubsza do węgla... I co z tego?...

– Co z tego? – powtórzył pytanie Szczegłow i poczerwieniał od szczęśliwego bicia serca: natura ulegała jego bezpretensjonalnemu rozumieniu. – My, Georgiju Michajłowiczu, nie zamierzamy przesyłać na pola silnych prądów przez grube miedziane kable. Przeprowadzimy tam włoski o średnicy setnej części milimetra! A silny prąd będziemy przesyłać przez powietrze obok tych włosków! Pan potrzebuje miliony ton miedzi, a my dwa, trzy dziesiątki tysięcy!

Czuniajew przyjrzał się zebraniu i otarł oczy od przyływu samopoczucia.

– Uczony – zwrócił się do Priebrażeńskiego. – Czy według ciebie możliwa jest orka na włosku, czy też jest to głupota?

Priebrażeński sprawdzał rachuby Szczegłowa na tablicy; zajęło mu to trochę czasu, po czym odwrócił do publiczności bezbroną, dziwną twarz, pobladłą tak bardzo, że widoczne

stały się cienie kości, i odpowiedział wpośród ciszy czujnego, milczącego narodu:

– Trzeba sprawdzić w konkretnej pracy. Ale jest to słuszne! – I Priebrażeński osunął się na podłogę zmartwiałym korpusem: świadomość natychmiast zaprzestała w nim myślenia, a serce utraciło rytm swej dumy.

– To nic: dojdzie do siebie! – ustalił Czuniajew, kiedy ludzie pośpieszyli na pomoc Priebrażeńskiemu.

Tutaj do sali wszedł z ulicy człowiek i dał Czuniajewowi do rąk papier. Czuniajew przeczytał go najpierw sam, a potem obwieścił głośno:

– Przestańcie no tam się grzebać!... Z Moskwy przyszło przez powietrze radio: za cztery dni zaczyna się tam Ogólnorosyjski Zjazd Rad i wystąpi Włodzimierz Iljicz! A potem inżynier towarzysz Krzyżanowski³⁰ wygłosi referat o... o czym to tutaj?... Serce kanalia zużyło się na wojnie, ani muzyki słuchać, ani geniusza czytać – nijak nie mogę: łąza się pcha i koniec! Czytaj no sam! – Oddał telegram radiotelegraficznie.

– Referat towarzysza Krzyżanowskiego o elektryfikacji całego kraju – powiedział ów z pamięci.

Zebrani ludzie unieśli się ze swych siedzących miejsc i zadumali się na stojaka.

– To znaczy, że prawdę tutaj myśleliśmy! – z trwogą własnej radości wyrzekł Czuniajew. – Takim sposobem socjalizm to elektryczność w biedniackich rękach. I więcej nie ma niczego! To błyskawica, towarzysze! Niech żyją teraz nasi wszyscy inżynierowie – Duszyn, Szczegłow i ten leżący towarzysz Priebrażeński! Niechaj republika przyzwyczai się teraz jeść chleb i czytać książki wielkich umysłów!... Wszystko! Idźcie spać do swoich rodzin!

Zebranie obróciło się do inżynierów i zgotowało im owację. Priebrażeński, który się był podniósł, także klaskał w dłonie Szczegłowowi, nie usłyszawszy słów Czuniajewa.

Na ulicy królowała sucha zamieć krzepnącej ciemnej zimy. Duszyn i Szczegłow przypadkowo wyszli razem. Duszyn nie miał za złe Szczegłowowi sukcesu; jego umysł skoncentrował się teraz na uświadamianiu sobie swoich braków talentu i jeszcze bardziej utwierdził się w tym, że światu najbardziej potrzebne jest takie staranne i przemyślane urządzenie, przy którym prawda i dobro wytwarzane byłyby automatycznie, bez męczącego śmiertelnego napięcia; to, że jeden mdleje, a drugi wykorzystuje przypadkowe skojarzenie – to właśnie jest dowodem ogólnoswiatowego zamętu i nędzą szaleństwa; i Duszyn znowu z zadowoleniem czuł w sobie teraz prawdę i kochał elektryczność.

– Mitia! – powiedział do Szczegłowa. – Bądźmy znowu przyjaciółmi!

– Bądźmy – zgodził się Szczegłow. – Ja się z tobą nie rozstawałem, to ty odpędziłeś mnie od siebie.

– Och, świat jest straszny, dookoła żywioł natury, kontrrewolucja, nie ma żadnych rzeczy... My też jesteśmy przedmiotami, nie wolno nam tracić siebie wzajemnie i rozstawać się...

– Nie wiesz niczego o Lidzie? – zapytał Szczegłow.

– Nie – powiedział Duszyn. – Co tu ma do rzeczy Lida? Że ładna? Wszyscy ludzie powinni być piękni – to problem proletariatu i elektrotechniki.

– Nie tęsknisz za nią?

– Nie. Okazała się głupia. Jak wynalazłeś przekazywanie dużych mocy przez włoski?

– Nie wynalazłem. Czytałem Maxwella, potem Marconiego i zaproponowałem wykorzystać ich myśli dla naszej orki. Ty przecież też studiowałeś z Priebrażeńskim światło i wysoką częstotliwość!

– Tak, my też studiowaliśmy – odrzekł Duszyn.

W domu Szczegłow rozebrał się bezgłośnie, żeby nie budzić śpiącej rodziny gospodarza, i

³⁰ Krzyżanowski Gleb Maksimilianowicz (1872-1959) – uczonek energetyk, od lutego 1920 przewodniczący Państwowej Komisji do spraw Elektryfikacji Rosji (GOELRO). Z referatem, o którym mowa, wystąpił 23 grudnia 1920 r. na VIII Ogólnorosyjskim Zjeździe Rad.

wszedł pod kołdrę w swoim kącie. Ręka bolała go na niepokodę, przez całą noc kręcił się, mamrotał i śniły mu się różne krótkie sny: nagle przyjechała z powrotem Lida i podchodzi do niego: „Mitia! Jak możesz tak żyć? Przecież nie masz bielizny, śpisz na kufrze, jest ci twardo, kołdra się wyszmelcowała, łażą po tobie pluskwy... Chodź do mnie!” Szczegłow budził się i rzeczywiście strącał z siebie pluskwy, a potem szybko zasypiał, żeby znowu śniła mu się Lida, ona jednak zniknęła na całą noc. Dopiero nad ranem – na chwilę, mimo hałasujących dzieci gospodarza, które się zbudziły – zobaczył w majaczeniach drzemki nową, młodą Lidę, czarnowłosą, niewinną i prostą, a gdzieś dalej stała stara Lida, siwa matka, i wołała ich oboje – Szczegłowa i swoją młodą córkę – gdzie jednak ich wołała, nie było słyhać.

Szczegłow zbudził się. Ubrawszy się, wyszedł na ulicę. Powszedy leżał jasny, daleki śnieg, drzewa stały przycichłe; głosy ludzi brzmiały szczęśliwie w chrupkim mroźnym powietrzu zimy. Szczegłow wyszedł w pole i chodził tam przez cały dzień, zapomniawszy o pracy w fabryce dachówek. Wieczorem przyszedł do swego zimnego parowozu nr 401, wdrapał się do jego kabiny i zasnął tam obok pustego koła, niczego nie jedząc.

W nocy wstał, doprowadził się do porządku i chciał natychmiast pójść na dworzec i wyjechać do Moskwy, żeby zobaczyć tam Lidę, żyć w środku rewolucji i rozkoszować się jakimkolwiek szczęściem. Długo rozmyślał skłopotany, a potem zapłakał i roztarł łzy, opuściwszy twarz na rękaw uschłej prawej ręki.

Cierpliwe zapomnienie rozpościerało się wokół niego po całej guberni. Szczegłow rozejrzał się i oprzytomniał.

Nie, będę żył tutaj...

Wszyscy najważniejsi bezimienni ludzie pracują dla rewolucji tutaj, w najbardziej beznadziejnych miejscach świata, a sława albo zadowolenie byłyby dla nich w obecnych czasach hańbą.

Szczegłow porzucił parowóz i poszedł do domu obok cmentarza, gdzie leżeli w ziemi jego ojciec i matka, bracia i siostry, martwi na zawsze, zapomniani przez całą ludzkość. Postanowił pożyć jeszcze na świecie około dwudziestu albo trzydziestu lat; chciał zobaczyć kiedyś Lidę i jej dorosłą córkę w letnim świedze nowego świata, kiedy nastąpią na ziemi nieznaną radość i nieznaną ból. W całkowite, miażdżące podporządkowanie wszechświatowej materii Szczegłow, jako prawdziwy inżynier, nie wierzył, odbierał człowieka jedynie jako mało znaczącą istotę pośród zwyczajnych wydarzeń natury – był on dla człowieka bezstronnym towarzyszem, pragnącym dla niego wyzwolenia z królestwa wszelkich złudzeń, nawet złudzenia własnej wszechmocy.

POSŁOWIE

Gdzie jest jednak wolność? Daleko w przyszłości – za górami trudu, za nowymi mogiłami martwych.

Andriej Płatonow (1899-1951) wciąż jest pisarzem tajemniczym. To paradoksalne na pozór stwierdzenie (opublikowano wiele jego nie znanych utworów, wydrukowano w prasie i w formie książkowej setki artykułów, szkiców i rozpraw naukowych na temat twórczości) dotyczy zarówno biografii, drogi twórczej, jak i interpretacji utworów pisarza. A zatem: niedostatecznie zbadana biografia, nie tylko okres rewolucyjny, ale i późniejszy, kiedy pracował w guberniach woroneskiej i tambowskiej jako elektrotechnik, hydrolog i meliorator. Mało znana jest również jego działalność racjonalizatora i wynalazcy z lat trzydziestych, kiedy to, pracując jako starszy inżynier-konstruktor w „Rosmietrowiesie” (Republikański trust wytwarzania i naprawy urządzeń pomiarowych i wag), opatentował wiele wynalazków i ulepszeń technicznych, m.in. różne rodzaje wag. Doświadczenia te wykorzysta w *Szczęśliwej Moskwie*. Dalej: w wielu przypadkach nie znana historia powstawania i późniejszych losów jego utworów. Z tytułów znamy przynajmniej dwie powieści, co do których można podejrzewać, że zostały napisane lub że prace nad nimi były zaawansowane (opowieść o Stratiłacie i *Podróż z Leningradu do Moskwy*). Ślady drobniejszych utworów, opowiadań, szkiców, artykułów, esejów, sztuk teatralnych, ich wersji, przeróbek, poprawek, ich losów w redakcjach kolejnych czasopism, do których trafiały, by w końcu się nie ukazać, gubią się często i wikłają tak, że dopiero żmudne badania archiwalne i tekstologiczne mogłyby tu być pomocne. Zasadniczym, podstawowym źródłem wiedzy o autorze i jego twórczości są notatki pisarza, ale i one nie są dotąd opracowane i wydane w całości – znamy je tylko fragmentarycznie.

Wreszcie tajemnica największa Andrieja Płatonowa – tajemnica jego utworów, ich języka, wyrażonego w nich światopoglądu i filozofii, dręcząca i czytelników, i interpretatorów jego twórczości. W tej chwili, po ukazaniu się wszystkich najważniejszych dzieł Płatonowa, nie ulega wątpliwości, że był to jeden z największych prozaików rosyjskich – pewni tego byli już współcześni mu pisarze, miał także tego świadomość zapewne sam Płatonow, który powiedział kiedyś: „Nie ma wszak ani jednego pisarza, który miałby taki dostęp do tajników dusz i rzeczy, jak ja”.

Rzecz w tym, że twórczość ta zupełnie nie poddaje się jednoznacznym, pewnym i wiarygodnym interpretacjom, trudno porównać ją z czymkolwiek już znanym i oswojonym, niełatwo znaleźć dla niej konteksty literackie i filozoficzne. Płatonow jest pisarzem całkowicie osobnym, „samoswoim”, „kosmitą” literatury XX wieku.

Przyczyny owej „tajemniczości” czy też nieprzenikalności Płatonowa są dosyć oczywiste. Pierwsza z nich, najdotkliwsza i najboleśniej uderzająca w pisarza, to prześladowania ze strony systemu stalinowskiego i jego biurokratycznego aparatu, przybierające najrozmaitsze formy – od napastliwych artykułów prasowych, poprzez ingerencje redaktorsko-cenzuralne w tekstach, zakaz druku, rewizje, przesłuchania – po aresztowanie ukochanego syna pisarza, Płatona, 29 kwietnia 1938 roku. (Chłopiec miał wówczas 16 lat, a oskarżono go o kierowanie

antyradziecką organizacją młodzieżową o charakterze terrorystycznym i szpiegowsko-sabotażowym). W tych warunkach wiele utworów Płatonowa nie mogło ukazać się w ogóle (przypadek *Szczęśliwej Moskwy*), wiele innych po licznych przeróbkach i poprawkach ukazywało się w postaci bardzo odbiegającej od swego pierwowzoru (na przykład *Spor*), niektóre (jak *Podróż z Leningradu do Moskwy*) zaginęły, niektóre zaś „przechowano”... w archiwach Łubianki (jak *Powieść techniczną*). Manipulacje i opresja cenzury nie ustały zresztą wraz ze śmiercią Płatonowa. Dopuszczone do publikacji w latach 60. i 70. utwory po raz kolejny poddano „poprawkom” redakcyjnym. W wielu zatem przypadkach nie do końca wiadomo, co przynależy Płatonowowi, a co cenzurze.

Spośród zamieszczonych w niniejszym tomie trzech większych tekstów Płatonowa każdy ilustruje jakiś rodzaj ograniczeń czy represji, jakie dotknęły pisarza. Jedyne, który ukazał się za życia autora (i, nawiasem mówiąc, stał się główną przyczyną prześladowań, jakie nań spadły), *Spor*³¹ opublikowany został w czasopiśmie „Krasnaja Now” (1931 nr 3). Nie jest to największe osiągnięcie literackie Płatonowa, ale też należy pamiętać, że tekst, jaki trafił na biurko Stalina i został opatrzony przez tego ostatniego opinią: „Kanalnia!”, daleko odbiega od pierwowzoru. O jego historii opowiadał sam pisarz na wieczorze autorskim w Związku Pisarzy Radzieckich, który odbył się 1 lutego 1932 roku:

„Nad środkową Wołgę pojechałem latem 30 r., «Spor» był napisany przed Wołgą, wiosną (...), a historia jego jest taka. Oddałem go do czasopisma «Oktiabr'», tam go nie przyjęto. Równocześnie maszynopis znalazł się w GICHL-u (Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej). Powiedziano mi, że w takiej postaci nie można drukować i że trzeba będzie przerobić, co będzie nawet korzystne ideologicznie; wyznaczono 3 osoby – redaktorów, z którymi owej przeróbki dokonałem. (...) Następnie w redakcji doszło do zmian organizacyjnych, nowy redaktor przejrzał, zażądał przeróbek, ponownie zaczęło się przerabianie i znowu nie wydrukowano”.

Kiedy jednak w końcu wydrukowano i tekst przeczytał Stalin, na głowę autora posypały się gromy. Pierwszy, po awanturze, jaką zrobił mu Stalin, zareagował Aleksander Fadiejew, wówczas członek zespołu redakcyjnego „Krasnoj Nowi”, artykułem „O pewnej kułackiej kronice”. Tytuły innych „recenzji” były równie wymowne, nie warto ich jednak tutaj przytaczać. Warto natomiast powiedzieć, że cała owa „kronika biedniacka” jest polemiką, niekiedy zjadliwie ironiczną, z trzema słynnymi artykułami Stalina, dotyczącymi kolektywizacji: „Rok wielkiego przełomu”, „Zawrót głowy od sukcesów” i „Odpowiedź towarzyszom kołchoźnikom”. To całkowicie wystarczyło, choć ów argument – wyśmiewanie „kanonicznych” tekstów – w recenzjach bezpośrednio nie pada, obwinia się za to autora o wszystkie inne grzechy, spośród których „oderwanie się od mas” czy „nihilizm” to jedne z łagodniejszych.

Płatonow, jeśli chciał nie tylko dalej publikować, ale w ogóle mieć jakiegokolwiek warunki do żyda, musiał się wytłumaczyć. Próby takie podjął. Jedną z nich był list otwarty, który wysłał 9 czerwca 1931 roku do redakcji „Prawdy” i „Litieraturnoj Gaziety” z prośbą o opublikowanie. Listu nigdzie nie zamieszczono, bowiem kając się, pisarz czynił to w sposób dwuznaczny, a przy tym wyjaśniał źródła swoich wątpliwości ideologicznych. Kolejna próba to wspomniany już wieczór autorski w Ogólnorosyjskim Związku Pisarzy Radzieckich, gdzie przyznając się i tłumacząc ze swych błędów, pisarz próbuje je bagatelizować:

„Krytyka odnotowała trzy błędy, jakie popełniłem – to «CCzO», «Małowierny Makar», «Spor». (...) Te trzy rzeczy zostały odnotowane przez krytykę proletariacką jako rzeczy o wciąż narastającym stopniu błędności. To rzeczy najslabsze, ponieważ wszystkie noszą charakter felietonowy, pisane były bardzo szybko, na przykład «CCzO» w dwa dni, «Spor» w

³¹ Ten zapomniany już w polszczyźnie rzeczownik, używany jeszcze gwarowo, a oznaczający „korzyść, nabytek, przybytek, skutek dobry” (por. sporzyć, przysporzyć), wydaj mi się najbliższy znaczeniowo rosyjskiemu „wprok” (przyp. H. Ch.).

10 dni”.

I dalej:

„To oczywiście, że musiałem przerwać ów *potok utworów, który ze mnie wypływał*. Musiałem przerwać nie tylko zewnętrzne wydawanie, ważne było zatrzymanie go wewnątrz siebie. *Wydaje mi się, że udało mi się to zrobić*” (*kursywa moja – H.Ch.*)

Nie był to ten rodzaj samokrytyki, który mógłby w tamtych okolicznościach wystarczyć. Płatonow skazał się na izolację i na ostracyzm środowiska literackiego. Na szczęście, nie udało mu się przerwać „potoku utworów, który z niego wypływał”. Kiedy to mówił, miał już gotowy materiał do *Juvenilnego morza*, zaczął pracę nad powieścią o Stratiłacie, pojawiły się pierwsze pomysły, związane ze *Szczęśliwą Moskwą*. Jak sam powiedział: „Mimo, że wokół mnie wytworzyła się rujnująca sytuacja, trzymałem się i pracowałem”.

Trzymałem się i pracowałem... Jeden z owoców tej pracy, *Powieść techniczną*, wydobyl z archiwów Łubianki w 1990 roku Witalij Szentalski. Do tego momentu o istnieniu utworu nikt nie wiedział, choć w informacji dla „gruppkoma” przy moskiewskim Stowarzyszeniu Pisarzy z 3 stycznia 1934 roku Płatonow, wyliczając utwory, napisane w ciągu minionych trzech lat, wymienia również opowiadanie „Chleb i lektura” (taki tytuł nosi pierwszy i jedyny zachowany rozdział *Powieści technicznej*). Wiadomo, że tekst został skonfiskowany autorowi przez NKWD w czasie rewizji w 1933 roku (kiedy dokładnie?). Znajdują się w nim krótkie streszczenia brakujących części, nie zachowanych na Łubiance. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że dokonała ich ręka kogoś z łubiankowskich „literaturoznawców”, który uznał je za zbyt mało obciążające, by przechowywać w teczce pisarza.

W tej samej informacji Płatonow pisze również, iż „«*Szczęśliwa Moskwa*» także będzie wydawana”. Poza zapiskami w notatnikach z 1932 roku, z których można wnioskować, że pisarz przystępuje do pracy nad nowym, jeszcze nie znanym dziełem, jest to bodaj pierwszy dokument, który wymienia powieść wraz z tytułem. Nie była to wszakże informacja ścisła – praca nad powieścią przedłużała się, w 1933 roku Płatonow napisał prawdopodobnie pierwszych sześć rozdziałów, dalej, zapewne w związku z wyjazdem w 1934 roku do Turkmenii, nastąpiła przerwa, później, w roku 1936, ślady pracy nad powieścią znikają. Ostatnią ścisłą informację o niej przynosi plan tematyczny wydawnictwa „Sowietskij Pisatel” na 1937 rok, w który włączono *Szczęśliwą Moskwę*, określając jej objętość na 20 arkuszy autorskich i przewidując nakład 10 000 egzemplarzy. Do wydania nie doszło, a nie dokończony maszynopis utworu spoczywał w archiwum domowym autora do 1991 roku, kiedy został opublikowany w 9 numerze miesięcznika „Nowyj Mir”, stając się natychmiast rewelacją literacką. Dlaczego Płatonow powieści nie ukończył, możemy się tylko domyślać – wiele wskazuje na to, że pisarz postanowił włączyć ją jako istotną część do powieści *Podróż z Leningradu do Moskwy*, nad którą zaczął pracować w początkach 1937 roku.

Każdy zatem z publikowanych tutaj utworów niesie zagadki i każdy z nich ma swoją własną, odrębną historię. Nie ułatwia tutaj zadania badaczom i sam Płatonow, który, szykanowany i izolowany, zamykał się w sobie, bardzo skąpo wypowiadał się publicznie na temat swych planów twórczych i poza bardzo wąskim kręgiem przyjaciół niewiele mówił o swych poglądach i nękających go wątpliwościach. „Prawdziwego siebie nigdy jeszcze i nikomu nie pokazywałem i wątpliwe, czy kiedykolwiek pokażę...” – to jedna z najczęściej cytowanych wypowiedzi Płatonowa.

Wydaje się wszakże, iż prawdziwego siebie Płatonow pokazał w swych najwybitniejszych utworach, m.in. w *Szczęśliwej Moskwie*. Tu przede wszystkim ukryty jest klucz do jego osobowości.

Jedna z badaczek twórczości Płatonowa, Świetlana Siemionowa, sądzi, iż idei i filozofii Płatonowa szukać należy przede wszystkim w jego języku, w samej frazie, w leksyce i frazeologii, doborze określeń i porównań, a dopiero potem w wypowiedziach bohaterów,

konstrukcji utworów i podejmowanych tematach. U źródeł tego poglądu leży przekonanie o absolutnej odrębności i absolutnym nowatorstwie stylistyki Płatonowa. Wypada się z tym zgodzić – Płatonow na poziomie językowym narusza wszelkie normy poprawnościowe, odrzuca istniejące schematyzmy i automatyzmy, rozbija i łamie utarte połączenia frazeologiczne, posługuje się neologizmami, nakłada na siebie i krzyżuje odległe związki semantyczne, eksperymentuje ze składnią. Potwierdzenie tych ustaleń niczego jednak nie wyjaśnia ani nie załatwia. Tekst taki w pierwszym zetknięciu się z nim może sprawiać na nie przygotowanym czytelniku wrażenie chaosu i dezorganizacji i nacechowany jest niemal wyłącznie negatywnie (odrzuć reguły). W przypadku Płatonowa wyczuwamy jednak intuicyjnie, że kryje się za tym przemyślany w najdrobniejszych szczegółach i bardzo precyzyjny system. Rzecz w tym, by ten nowy system organizujący tekst odtworzyć i ustalić rządzące nim zasady, a to już nie jest równie proste, jak konstatacja negatywna. Jedną z tych zasad, nazwijmy ją „ideologiczną”, jest oczywista i narzuca się sama: to przyporządkowanie tekstu regułom, które zapewniają mu spójność z punktu widzenia światopoglądu autora, jego oceny i sposobu rozumienia rzeczywistości. Z ustaleniami takimi pozostają w pozornej sprzeczności niektóre zapisy z notatnika Płatonowa z 1931 roku:

„Pisać należy nie talentem, ale «człowieczością» – bezpośrednim odczuciem życia”.

I dalej:

„Bardzo ważne!!

Cały artyzm zawiera się w tym, żeby wyjść poza granice swej głowy, wypełnionej żalostną, rzadką, umęczoną substancją. Subiektywne życie – w obiekcie, w innym człowieku. W tym cała tajemnica”.

Pierwsza opinia mogłaby być sprzeczna wewnętrznie, gdyby nie sformułował jej pisarz rangi Płatonowa – „bezpośrednie odczucie życia” bez talentu może bowiem zaowocować co najwyżej grafomanią.

Druga, choć postuluje uwolnienie się od ograniczeń jednostkowego doświadczenia, z tegoż jednak doświadczenia wypływa i w nim się mieści.

Inna zasada, którą wydaje się kierować Płatonow przy językowej organizacji swych utworów, to zasada poszukiwania nowych pól, zestawień, sprzężeń semantycznych, które uniosłyby z jednej strony niezwykłość doświadczenia, jakim był bolszewizm końca lat 20. i 30., z drugiej zaś potrafiłyby udźwignąć cały bagaż filozoficzny i etyczny, jaki kryje się za myślą pisarza. Charakterystyczne przy tym dla Płatonowa jest tutaj kilka zabiegów, czy też kilka kierunków, które zdają się owe semantyczne „dziwności” regulować. Pierwszy z nich to (cytat wyżej) zniesienie lub przynajmniej próby zniesienia opozycji „ja” i „nie-ja”, szczególnie wyraźne w *Szczęśliwej Moskwie* (Moskwa, Sambikin, wreszcie Sartorius-Graniachin), a także opozycji „ja” i „świat”, a nawet szerzej: „ja” i „wszechświat”. W ślad za tym idzie zakwestionowanie rozgraniczenia między światem wewnętrznym a zewnętrznym, które, przynajmniej na poziomie języka, stapiają się niekiedy całkowicie. Jeszcze inny to próba zacierania granicy między materią martwą a ożywioną – przedmioty, rzeczy, a nawet pojęcia żyją u Płatonowa z nie mniejszą intensywnością niż ludzie.

Zabiegom owym służy przebogaty zestaw środków językowych: Płatonow to podszywa się pod język ludowej mądrości, tworząc nie istniejące przysłowia, wyrażenia, aforyzmy, porzekadła, to doprowadza do absurdu ulubione zwroty komunistycznej nowomowy, która właśnie się rodziła i kształtowała, to posługuje się wreszcie najrozmaitszymi stylizacjami: od języka Ewangelii poprzez język kancelaryjny po język naukowy i techniczny.

Zawsze charakterystyczne jest jednak to – i tu przechodzimy do kolejnej reguły rządzącej światem Płatonowa – że wraz z zakwestionowaniem schematyzmów i automatyzmów języka zakwestionowane są jednocześnie uproszczenia i uroszczenia potocznego doświadczenia życiowego, choć nie zawsze te dwa zabiegi są tożsame: czasami „ludowa mądrość” jest u Płatonowa czynnikiem weryfikującym wybujałe pretensje ideologiczne systemu. Zasadniczo

jednak Płatonow kwestionuje i odrzuca logikę codzienności i rzeczywistości widzialnej, która narzuca się właśnie poprzez utarte konstrukcje językowe.

„Dawniej Fro prosiła nawet specjalnie, żeby nauczył ją mądrych zdań, a mąż napisał jej cały zeszyt mądrych i pustych aforyzmów: «Kto powiedział ,a’, powinien powiedzieć ,b’» (...) – itp. Ale Fro domyśliła się oszustwa. Spytała go: «Dlaczego po literze ,a’ trzeba koniecznie powiedzieć ,b’? A jeśli nie trzeba i ja nie chcę?»”

Ów cytat z opowiadania „Fro” w przekładzie Seweryna Pollaka bardzo dobrze oddaje stosunek Płatonowa do języka – słowa bohaterki można bez obawy odnieść do metody twórczej w całym jego dorobku.

Niezwykle ważne są tutaj również wskazówki, jakie daje nam Płatonow w swych notatnikach z 1931 roku, gdzie pisze między innymi:

„Bardzo ważne.

Istota!!

Istotnością, suchym strumieniem, bezpośrednią drogą należy pisać. W tym moja nowa droga” (kursywa moja – H.Ch.).

W innym zaś miejscu mówi o „nadkonkretności”, jaką chciałby osiągnąć w swych utworach.

Ową „istotność” i „bezpośredniość” pisarz osiąga dzięki niezwykłemu zagęszczeniu semantycznemu, o którym była mowa wyżej, przy czym osiąga ów efekt bardzo oszczędnymi środkami, „suchym strumieniem”, bez metafor, bez jakichkolwiek ozdóbek czy ornamentów stylistycznych, bez eksklamacji i bez liryki.

Jednak w świecie kolektywizacji i przyspieszonej industrializacji, gdzie język został zawłaszczony i stał się narzędziem manipulacji i indoktrynacji ideologicznej, podobne zabiegi, obnażające owe mechanizmy, nie mogły być dobrze widziane – zamach na język oficjalnej propagandy był jednocześnie zamachem na głoszone w nim jedyne prawdy.

A prawdy te, skądinąd dość dobrze nam znane, decydowały na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych o życiu i śmierci dziesiątków milionów ludzi, obywateli Związku Radzieckiego. Świadek i sędzia tej epoki, Andriej Płatonow, był u jej początków żarliwym wyznawcą bolszewizmu i świetlanej przyszłości, jaką miał przynieść ze sobą komunizm.

Od początku nie była to jednak wiara ściśle ortodoksyjna – przeważały w niej raczej szlachetnie utopijne idee Proletkultu i jego przywódcy, Aleksandra Bogdanowa, niż bardzo pragmatyczne i trzeźwe pomysły Lenina. Pierwsze rozczarowanie nastąpiło, kiedy Płatonow, wybrany 29 września 1920 roku na delegata woroneskiego Proletkultu, znalazł się w październiku w Moskwie na I Ogólnorosyjskim Zjeździe Pisarzy Proletariackich, gdzie doszło do ostrego starcia między zwolennikami Bogdanowa i niezależności organizacji a aparatem partyjnym z Leninem na czele, któremu w końcu udało się ów potężny ruch spacyfikować i podporządkować. Ale już wówczas pisarz potrafił zaznaczyć swą niezależność, bowiem na pytanie w ankiecie zjazdowej: „Do jakich kierunków literackich przyznajecie się albo należycie?” odpowiedział: „Do żadnych, mam własny”.

Tak naprawdę jednak ów własny kierunek pojawia się gdzieś około roku 1926, kiedy w twórczości Plafonowa następuje wyraźny zwrot historiozoficzny – utopijne widzenie świata zastępuje coraz wyraźniejszy antyutopizm i coraz bardziej krytyczne spojrzenie na założenia i uroszczenia ideologiczne systemu. Przyczyny tego zwrotu, który można kojarzyć z tomem opowiadań *Jepifańskie śluzy* (1927), nie są do końca jasne, w każdym razie sporą rolę odegrał tutaj z pewnością pobyt pisarza w Tambowie (opisanym później w opowiadaniu „Miasto Gradów”), gdzie, skierowany służbowo przez Ludowy Komisariat Rolnictwa, pracował na stanowisku kierownika podwydziału melioracji w Gubernialnym Zarządzie Ziemskim w latach 1926-1927. Ów prowincjonalny Tambów okazał się dla pisarza miejscem zesłania: „Bardzo mi tutaj ciężko”, „Swary i intrygi straszne”, „...teraz zasnąłem, a moim koszmarem – Tambów”, „...znowu jestem w «Tambowie», który w przyszłości stanie się dla mnie jakimś

symbolem, jak ciężki sen w głuchą tambowską noc...” – pisze w kolejnych listach do żony. Nie wiedział jeszcze, że ów koszmarny duchowy „Tambów” może być wszędzie.

Wstrząs światopoglądowy z tych lat zaważył na całej dalszej twórczości Płatonowa. Pośrednio potwierdza to sam autor w czasie cytowanego już wyżej wieczoru autorskiego w 1932 roku:

„Moja ideologia artystyczna *od 1927 roku* to ideologia bezpartyjnego zacofanego robotnika najbardziej narażonego na te formy burżuazyjnej ideologii, którymi burżuazja oddziaływała na klasę robotniczą: – to anarchizm, nihilizm, itp. ...” (*kursywa moja – H.Ch.*).

Ani to jednak anarchizm, ani nihilizm – Płatonow, broniąc się, powtarza tutaj zarzuty krytyki radzieckiej tych lat, omijając te kwestie, które z punktu widzenia komunistycznej ortodoksji można byłoby zarzucić mu rzeczywiście. Nihilizm tak, tyle że nihilizm systemu komunistycznego, ukazany w utworach pisarza, nie zaś nihilizm samej jego postawy twórczej, co usiłowano mu insynuować.

Jakież bowiem świat wyłania się z utworów Płatonowa? Jest to świat (zwłaszcza w *Szczęśliwej Moskwie*) całkowicie pozbawiony historii, pamięci i religii, świat, który chce zbudować wszystko na nowo, ale – pozbawiony zasadniczych fundamentów – zmuszony jest wciąż uciekać w przyszłość, w deliryczne mrzonki, i tam lokować swoje nadzieje. Owa przyszłość jest piękna, wspaniała i bezproblemowa, ale jakoś trzeba do niej dotrzeć, przebić się przez bezwład materii i ludzkiej ułomności. Okazuje się jednak, że totalna negacja nie jest najlepszym na to sposobem. Utopijny ideał przyszłej powszechnej szczęśliwości prowadzi bohaterów w zupełnie innym niż zamierzony kierunku – w pustkę i nicość. Trzeba tu podkreślić, że wszyscy bohaterowie *Szczęśliwej Moskwy* są „nowymi ludźmi”, pokoleniem wychowanym już w rzeczywistości bolszewickiej, nie podzielającym rozterek i wahań moralnych ich ojców, ludzi, którzy rewolucję październikową przeżyli świadomie.

Przystępując do pracy nad *Szczęśliwą Moskwą*, Płatonow zanotował w 1932 roku:

„Istnieje taka wersja. Nowy świat realnie istnieje, ponieważ jest pokolenie szczerze myślących i działających w planie ortodoksji, w planie ożywionego «plakatu*», ale on jest lokalny, ów świat, miejscowy jak jakiś kraj obok innych krajów, innych światów. Ogólnoświatowym, uniwersalno-historycznym ów nowy świat nie będzie i być nie może”.

Nowi ludzie budują nowy świat, lecz w pewnym momencie uświadamiają sobie niejasno, że brakuje im budulca, brakuje fachowców i w ogóle zapodział się gdzieś plan budowy. Tytaniczny, nieludzki wysiłek nie przynosi spodziewanych rezultatów. Stąd tęsknota niemal wszystkich bohaterów za jednym uniwersalnym rozwiązaniem, ustaleniem czy formułą, która raz na zawsze rozstrzygnie wszelkie wątpliwości, umożliwi odzyskanie utraconej więzi z naturą, ze światem. Idee, którymi żyją bohaterowie *Powieści technicznej* (elektryfikacja + władza rad) czy *Sporu* (kolektywizacja) nie wystarczają, nie dają odpowiedzi na najważniejsze pytania ontologiczne. Ba, nie wystarcza już i sama ogólnikowa, utopijna idea komunizmu. Owej uniwersalnej drogi bohaterowie szukają na różne sposoby: albo epistemologicznie, poprzez poznanie (jak Sambikin, poszukujący eliksiru nieśmiertelności i miejsca, gdzie przebywa w człowieku dusza, czy też Sartorius, który chciałby ująć problemy świata w jedną formułę mechaniczną), albo poprzez proletariacki mesjanizm (Bożko, Sartorius), albo na sposób etyczny, poprzez swoistą osmozę i połączenie się z innymi ludźmi (Sartorius i Moskwa), wreszcie poprzez próby tworzenia proletariackiej kosmogonii i eschatologii. Idea komunistyczna nabiera w tych poszukiwaniach dziwnie „substancjalnego” i cielesnego charakteru: zwłaszcza Moskwa i Sartorius wciąż tęsknią za „tłumnością ludzi”, tak jakby komunizm był równie materialny, jak ciała jego wyznawców i rodził się z ich bliskości.

Ów problem zacierania różnic ontologicznych między światem nieożywionym a ożywionym, między światem idei i symboli a światem rzeczy jest charakterystyczny dla całego pisarstwa Płatonowa, a jego tłem filozoficznym jest empiriomonizm Aleksandra Bogdanowa, którego myśl towarzyszyła Płatonowowi od początku jego drogi twórczej.

Notabene w *Szczęśliwej Moskwie* pewne jego cechy nosi chirurg eksperymentator Sambikin (Bogdanów był z wykształcenia lekarzem, a zmarł w 1928 roku, przeprowadzając na sobie eksperyment medyczny w kierowanym przez siebie Instytucie Przetaczania Krwi).

Innym źródłem myśli i światopoglądu Płatonowa jest dzieło Nikołaja Fiodorowa, *Filosofija obszczege diela* („Filozofia wspólnej sprawy”), a zwłaszcza zawarty w nim system poglądów etycznych. Stałe płatonowskie motywy, powtarzające się w całej jego twórczości – motyw umierania, śmierci, wskrzeszania zmarłych, dążenia do nieśmiertelności i motyw sieroctwa („sieroty kuli ziemskiej”), bezdomności, poszukiwania utraconego „braterstwa” i „jedni” z innymi ludźmi wyraźnie nawiązują do poglądów tego filozofa, którego główne dzieło, wspomniane wyżej, było stałą lekturą pisarza.

By obraz był pełniejszy, należy wymienić tu jeszcze, jako źródło inspiracji Płatonowa, myśl rosyjskiego kosmizmu, reprezentowaną przede wszystkim przez Władimira Wiernadskiego i Konstantina Ciołkowskiego – z niej wyrasta obsesyjnie dręczący pisarza motyw osvajania przez człowieka natury i harmonijnego stapiania jej z techniką, by w rezultacie przejść do wyższych, niejako „czystszych” form istnienia (główny motyw *Powieści technicznej*).

Wszystkie wymienione wyżej systemy filozoficzne mają wiele cech wspólnych, najistotniejsze jednak dla Płatonowa, jak się wydaje, jest ich dążenie do przezwyciężenia zaszczipionego człowiekowi dualizmu, który, z jednej strony, przeszkadza w życiu codziennym, z drugiej zaś nie pozwala zespolić się z naturą i z kosmosem. „Ludzie jak bogowie” – tak siebie widzą, a przynajmniej tak chcieliby siebie widzieć bohaterowie Płatonowa. Stan ów wydaje się bliski osiągnięcia, w zasięgu ręki, wystarczy niewiele, jeszcze trochę wysiłku – może nie to pokolenie, może następne. A może jeszcze następne?

Czyta się tę prozę z trudem – ale nie tylko dlatego, że jest trudna do zinterpretowania – przede wszystkim dlatego, że jest to p r o z a o k r u t n a . Autor nie ma litości ani dla siebie i własnych, nie spełnionych nadziei, ani dla kreowanego świata i jego bohaterów. Ich życie, ich oczekiwania kończą się zazwyczaj całkowitą klęską, upadkiem, a oni sami zmierzają do jakiegoś dziwnego zatracenia, entropii egzystencjalnej. Mierzą bardzo wysoko, w kosmiczne dale, ku absolutowi, gdy tymczasem ich życie codzienne jest jednym pasmem udręki i rozpacz. Są biedni, bezdomni, zaniedbani. Troszcząc się o losy ludzkości, doświadczają całkowitej samotności i opuszczenia.

Nie przypadkiem jednym z głównych słów-kluczy w twórczości Płatonowa jest „skuka”, która oznacza zarazem nudę, udrękę, beznadzieję, smutek i nieokreśloną tęsknotę.

To, co napisałem, nie wyczerpuje ani katalogu występujących w prozie Płatonowa motywów, ani możliwości interpretacyjnych. Jest ich wiele. Osobno należałoby zająć się toposem i obrazem miasta, obrazem Moskwy, i to nie tylko w *Szczęśliwej Moskwie*. Całą rozprawę należałoby zapewne poświęcić kwestii płci i seksualizmu w tej twórczości (miłość, która staje się katalizatorem zguby i zniszczenia bohaterów). Możliwa jest także interpretacja utworów Płatonowa w kategoriach myśli religijnej i teologii prawosławnej – takie próby były już podejmowane, choć jak dotąd bez szczególnie udanych rezultatów.

W każdym razie Andrieja Płatonowa nie sposób traktować tylko jako pisarza, Płatonow był świadkiem i prorokiem raju, który zamienił się w piekło; był świętym i męczennikiem systemu, który w młodości uznał za własny, a później musiał się z nim ciężko zmagać – i we własnej świadomości, i w życiu codziennym.

Henryk Chłystowski